

# Conan Konsanz



Lin Carter  
L. Sprague de Camp

# Spis treści

Karta tytułowa

Powieść wykorzystuje...

CONAN

WSTĘP KORSARZE I CZARNOKSIĘŻNICY

PROLOG SEN O KRWI

ROZDZIAŁ I STARY ZINGARAŃSKI ZWYCZAJ

ROZDZIAŁ II NÓŻ W CIEMNOŚCI

ROZDZIAŁ III ŚMIERĆ „KRÓLOWEJ MORZA”

ROZDZIAŁ IV BEZIMIENNA WYSPA

ROZDZIAŁ V NA KRAWĘDZI ŚWIATA

ROZDZIAŁ VI PŁONĄCE OCZY

ROZDZIAŁ VII ROPUCH

ROZDZIAŁ VIII KORONA KOBRY

ROZDZIAŁ IX WIATR W ŻAGLACH

ROZDZIAŁ X CZARNE WYBRZEŻE

ROZDZIAŁ XI PAJĘCZYNA PRZEZNACZENIA

ROZDZIAŁ XII MIASTO WOJOWNICZEK

ROZDZIAŁ XIII KRÓLOWA AMAZONEK

ROZDZIAŁ XIV CHŁOSTA

ROZDZIAŁ XV CZARNY LABIRYNT

ROZDZIAŁ XVI ŻARŁOCZNE DRZEWO

ROZDZIAŁ XVII WRAK „ŁOBUZA”

ROZDZIAŁ XVIII KRÓLESTWO W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

ROZDZIAŁ XIX KRÓL THOTH-AMON

ROZDZIAŁ XX CZERWONA KREW I ZIMNA STAL

**LIN CARTER**  
**L. SPRAGUE DE CAMP**

**CONAN**  
**KORSARZ**

Tłumaczył: Andrzej Porzuczek

**PIK: 1992**

*Powieść wykorzystuje postacie i wątki stworzone przez Roberta  
E. Howarda.*



CONAN  
THE BARBARIAN



WSTĘP

## KORSARZE I CZARNOKSIEŻNICY

Akcja tej powieści rozgrywa się w świecie, w którym nie ma debat telewizyjnych, podmiejskich pociągów, podatków dochodowych, zanieczyszczenia powietrza, kryzysów atomowych ani zamieszek studenckich czy spódnic midi. Beztroski to świat, wolny od reklam proszków do prania, trzydziestocentowych opłat za metro, mów Spiro T. Agnew, mrożonej kawy, elektrycznych szczoteczek do zębów, duńskich filmów pornograficznych, czeków, ulotek, Ruchu Wyzwolenia Kobiet i obwodnicy Los Angeles.

To świat, którego nigdy nie było, ale z pewnością powinien być. Wspaniały, nieprawdopodobny, romantyczny świat, w którym wszyscy mężczyźni są przystojni i heroiczni, wszystkie dziewczęta niesłychanie piękne i chętne do flirtu z tym czy innym gladiatorem na zapleczu areny. Świat zbudowany z nieprzebytych dżungli, potężnych gór i lśniących mórz, gdzie miasta olśniewają barbarzyńską świetnością. Można tam być uczestnikiem niezwykłych podróży, a przygoda jest częścią codziennego życia. Świat pełen niesamowitych potworów, złych czarnoksiężników i wojowników o posepnych obliczach; świat, w którym czary działają naprawdę, a bogowie istnieją w rzeczywistości, nie zaś jedynie w wyobraźni ich wyznawców.

To właśnie świat nowego, popularnego nurtu beletrystyki



znanego pod nazwą powieści magii i miecza. Zapraszamy!

Jeśli jesteś jednym z tych niewielu nieszczęsnych, którzy nigdy dotąd nie przeczytali ani jednej powieści magii i miecza, przygotuj się na ucztę; ucztę duchową, która pomoże Ci uciec na godzinę lub dwie od wspomnianych wyżej składników współczesnego życia do wspaniałego, nierealnego świata. Powieść magii i miecza jest bowiem jedynie eskapistyczną lekturą. Nie ma w niej żadnych ukrytych znaczeń. Nie proponuje ona wygodnych, gotowych recept na żadną z wielu chorób współczesnego świata. Nie ma w niej żadnych „-izmów” czy „-logii”, żadnego przesłania. To coś rzadkiego, a zarazem godnego uwagi w dzisiejszych czasach.

To właśnie jest ROZRYWKA.

Dziś wielu ludzi — w tym (niestety!) wielu z moich znajomych pisarzy science-fiction — wydaje się uważać, że jest coś niewytłumaczalnie niemoralnego w pisaniu wyłącznie dla przyjemności. Mądrzy ci ludzie twierdzą, że powieść musi dotyczyć czegoś naprawdę ważnego, jak wyciek ropy w Laguna Beach lub też wymierający żółtoczuby brodziec piskliwy. Radzą też, by bohaterem głównym był przynajmniej Murzyn walczący o wyzwolenie swej rasy, homoseksualista usiłujący zdobyć społeczne poważanie, zaangażowany student wysadzający w powietrze pracownię literatury angielskiej w ramach protestu przeciw niegodziwościom Pentagonu, bądź też Indianin odpłacający bladym twarzom za krzywdy poprzez opanowanie Alcatraz.

Współczesna proza obfituje w problemy społeczne jak pierwsze strony dzienników. Powieściopisarz natomiast — utrzymują — powinien opuścić swą wieżę z kości słoniowej i stanąć na barykadzie.

Ja jednak nie zgadzam się z tym.

Świat pełen jest kłopotów od czasu, gdy człowiek zszedł z drzewa i wymyślił cywilizację. niesprawiedliwość społeczna rozkwita co najmniej od ostatniej epoki lodowcowej. Nie wydaje się prawdopodobne, by nasze lub następne pokolenie było w stanie rozwiązać któryś z wielkich problemów współczesnej polityki. Nie znaczy to, że powinniśmy je ignorować i udawać, że nie istnieją, należy jednak patrzeć na nie w kontekście historycznego rozwoju i zdawać sobie sprawę, że są one częścią ludzkiej egzystencji.

Weźmy na przykład wojny. Istniały one zawsze, a niewiele z nich prowadzono ze szlachetnych pobudek. A przestępczość? Zawsze była obecna na ulicach, odkąd je wymyślono. Podobnie zresztą jak korupcja w urzędach państwowych od czasu ich zaistnienia, o ile nie wcześniej. Nie widzę więc powodu, dla którego mielibyśmy od rana każdego dnia rozwodzić się nad złem współczesnego świata. Musicie przyznać, że przyjemniej jest rozsiąść się w deszczowy wieczór w wygodnym fotelu, zapalić fajkę, ustawić obok popielniczki lampkę schłodzonego Martini i choć na godzinę lub dwie zagłębić się w stronicie niebanalnego romansu.

Potrzebę taką odczuwano już w czasach, gdy ślepy Homer śpiewał pieśni o dzielnych wojownikach, porywanych pięknościach i zaczarowanych wyspach na nieznanym morzach.

Najprościej mówiąc, my, praktycy tej literatury, uważamy opowieść za utwór z gatunku magii i miecza, jeżeli akcja jest wartka a barwna, przygodowa fabuła umieszczona jest w świecie, w którym nie jest jeszcze znany przemysł, gdzie działają czary i bogowie, a dzielny wojownik zmagają się w bezpośredniej walce z siłami nadprzyrodzonego zła.

Oczywiście taki typ opowieści jest popularny od czasów Homera. Wojownik walczący z nikczemnymi potworami jest elementem fabuły występującym już w staroangielskim eposie „Beowulf”, w którym geatycki książę zмага się z Grendelem, czy w starogermańskim utworze „Niebelunglied”, gdzie Siegfried zabija smoka Fafnira.

To prawda, podstawowe elementy składowe powieści magii i miecza są tak stare jak sama literatura.

Nikt już dziś nie pisze poematów epickich długich jak powieść. Dlatego też wszystkie elementy tych poematów ułożono na nowo tworząc to, co nazywamy powieścią magii i miecza.

Człowiekiem, który to uczynił, był powieściopisarz Robert Ervin Howard, tworzący w latach trzydziestych dla brukowych czasopism przygodowych. Howard urodził się w roku 1906 w mieście Peaster w Teksasie, a większość swego krótkiego, nieszczęśliwego życia spędził w Cross Plains, w sercu Teksasu, pomiędzy Brownwood i Abilene. Tam też zmarł w roku 1936, gdy byłem małym chłopcem. Nigdy go nie poznałem.

Howard był pisarzem przygodowym starej szkoły, wychowanym na wspaniałych tradycjach Talbota Mundy’ego, Harolda Lamba, Edgara Rice Burroughsa i innych ówczesnych twórców literatury popularnej. Właściwie chciał pisać opowiadania o piratach u wybrzeży Hiszpanii i opowieści z czarnych dżungli Afryki, albo też o magii i tajemnicach niezbadanego Tybetu. Próbując jednak dostać się na stronicę „Niesamowitych Opowieści” Farnswortha Wrighta, musiał — podobnie jak jego koledzy, H. P. Lovecraft i Clark Ashton Smith — zmodyfikować swe ciągoty do pisania opowiadań z wartką akcją przez włączenie elementów magii i nadprzyrodzonej grozy.

Jego kolega po piórze, Clark Ashton Smith, odnosił w tym

czasie sukces za sukcesem, zamieszczając w „Niesamowitych Opowieściach” cykle opowiadań, których scenerią był egzotyczny świat najbardziej odległych starożytnych cywilizacji — Hyperborei i Atlantydy. Te romantyczne, baśniowe krainy obfitowały w fantastyczne, znane tylko z bajek bestie, cuda, czarnoksiężników oraz tajemniczych bogów i demony. Mniej więcej w tym samym czasie jego przyjaciel Lovecraft sprzedawał opowieści pełne grozy, w których ludzie współcześni zmagali się z kosmicznym złem przybyłym z odległych planet. Były to dobre rozrywkowe opowiadania wzbudzające dreszczyk emocji...

Zasługą Howarda, jak się zdaje, było połączenie wszystkich tych koncepcji we własnym gatunku prozy przygodowej. Wynikiem tego był spektakularny sukces, jaki odniósł cykl wspaniałych opowieści o Conanie Cymeryjczyku, potężnym wojowniku barbarzyńskiego pochodzenia, który z mieczem w ręku kroczy przez prehistoryczny, legendarny świat. Zaczyna od niegodnych profesji złodzieja, rozbójnika, pirata i najemnego wojownika, by dojść do godności królewskiego generała i wreszcie do własnego tronu.

Łącząc w jedno elementy nadprzyrodzonej grozy, starożytnej magii i legendarnej prehistorycznej cywilizacji z szybką akcją brukowych opowiadań przygodowych, Howard stworzył nowy gatunek literacki. Nazywamy go powieścią magii i miecza.

Howard rozpoczął samodzielną działalność literacką w roku 1932. W grudniu tegoż roku w „Niesamowitych Opowieściach” ukazało się jego opowiadanie zatytułowane „Feniks na mieczu”. Był to pierwszy z serii utworów o Conanie i natychmiast stał się on wydarzeniem. Czytelnicy byli zachwyceni i domagali się następnych. Howard rozpoczął więc tworzenie swej „ery hyboryjskiej” i kroniki przygód jej najznamienitszego

przedstawiciela. Nie wiedział wtedy, że zostały mu tylko cztery lata życia.

W ciągu tych czterech lat stworzył jednak żywą legendę. Czytelnicy pochłaniali natychmiast każdy kolejny utwór o Conanie i wołali o następne. Dziś, trzydzieści dziewięć lat później, zarówno oni, jak i ich następcy wciąż wołają o jeszcze; stąd właśnie wzięła się niniejsza powieść Sprague de Campa i moja.

Bardzo niewielu pisarzom udało się stworzyć legendę. Conan Doyle wymyślił Sherlocka Holmesa, Edgar Rice Burroughs — Tarzana. Być może (choć chyba jeszcze za wcześnie, by o tym mówić) to samo udało się Ianowi Flemingowi z Jamesem Bondem. Tymczasem, w ciągu zaledwie czterech lat, Robert Ervin Howard z Cross Plains w Teksasie stworzył legendę, która miała przeżyć nie tylko swego twórcę, ale również czasopismo, w którym ukazała się po raz pierwszy i wydawnictwo, które zachowało ją w chwale twardej oprawy.

Tak jak w przypadku Sherlocka Holmesa, Tarzana, a nawet nowego w gronie „nieśmiertelnych bohaterów” komandora Jamesa Bonda z Tajnej Służby Jej Królewskiej Mości, inni pisarze nie potrafili powstrzymać się od zajęcia się Conanem.

Pierwsi z post-howardian zadowalali się prostą imitacją howardowskiego bohatera. Tak było w przypadku historyjek Henry’ego Kuttnera o Elaku z Atlantydy, opowieści o Jirelu z Joiry żony Kuttnera, C. L. Moore i dwóch krótkich powieści Norvella W. Page’a z Wanem Tengrim. Później i inni pisarze zainspirowani zostali do pracy nad własną koncepcją magii działającej w świecie zbliżonym do ery hyboryjskiej Howarda, z bardziej jednak oryginalnymi postaciami, np. Fritz Leiber ze swą wspaniałą sagą o Fafhrdzie i Szarym Kocie-Łowcy, Michael

Moorcock z opowieściami o Elryku z Melnibone, złowrogim, przeklętym księciu-albinosie, czy mój współpracownik, L. Sprague de Camp, ze swymi zgrabnymi, zwięzłymi, dowcipnymi opowiadaniem z ery pusadyjskiej, bezpośrednio poprzedzającej upadek Atlantydy.

Sprague dopiero niedawno stał się miłośnikiem powieści o Conanie, podczas gdy ja sam czytałem je już jako nastolatek. Istnieje między nami znaczna różnica wieku — jest starszy ode mnie o dwadzieścia trzy lata — zadziwia więc fakt, że czytałem i kochałem twórczość Howarda na dziesiątki lat przedtem, zanim on w ogóle zaczął się nią interesować. Będąc entuzjastą fantastyki przez całe życie, Sprague — sądząc po wyglądzie okładek „Niesamowitych Opowieści” wystawionych w kioskach — nabrał przekonania, że czasopismo to składa się z opowieści o duchach, do których nigdy nie podchodził z entuzjazmem. Dopiero próbny egzemplarz „Conana Zdobywcy” w twardej oprawie, dostarczony mu przez kolegę, Fletchera Pratta, zainteresował Sprague’a magią i mieczem. Od tej pory stał się on gorącym entuzjastą gatunku, a gdy odkrył, że nie opublikowane, a w niektórych przypadkach nie ukończone rękopisy opowiadań o Conanie spoczywają w zbiorach manuskryptów w całym kraju, zaczął tropić je wszędzie, uzupełniać; korygować i wydawać z pomocą agenta Howarda, Glenna Lorda.

W tym czasie dorosłem, odbyłem służbę w piechocie w Korei, a następnie wyjechałem do Nowego Jorku, by ukończyć kurs pisarski w Uniwersytecie Columbia. W roku 1965 zadebiutowałem książką zatytułowaną „Czarnoksiężnik z Lernurii”, którą dość łaskawie określono jako „rezultat czołowego zderzenia Howarda z Burroughsem”.

Moja pierwsza powieść lemuryjska zapoczątkowała serię

sześciu książek, a oprócz tych opowieści o Thongorze Potężnym, walecznym królu Zaginionej Lemurii, napisałem jeszcze sześć czy siedem innych powieści magii i miecza.

Nasz wspólny entuzjazm dla fantasy w ogóle, a zwłaszcza heroic fantasy, zbliżył Sprague'a i mnie na licznych konwencjach science-fiction i poprzez okazjonalną korespondencję. Później, w roku 1967, wydałem i uzupełniłem zbiór opowiadań Howarda „King Kull”, który zawierał serię nieudanych utworów z gatunku magii i miecza, powstałych przed zaistnieniem Conana, przedstawiających Kulla, dzikusa z Atlantydy.

W tym samym roku Sprague zaprosił mnie do współpracy w przygotowaniu „kilku nowych opowieści o Conanie, które pomogłyby wypełnić większe luki pomiędzy ocalałymi utworami cyklu”. Od tamtego czasu wciąż się tym zajmujemy.

Współpraca z L. Sprague de Campem była i jest fascynującym doświadczeniem i wielką przyjemnością (czytałem również L. Sprague'a de Campa już jako nastolatek. Bardzo interesujące było bezpośrednio zapoznanie się z pracą jego umysłu podczas tworzenia nowego dzieła. Myślę, że wiele nauczyłem się obserwując go przy pracy, gdyż jest on jednym z największych żyjących mistrzów tej dziedziny, a wiedza, którą zdobyłem podczas tej współpracy, jest nieoceniona. Niniejsza powieść o korsarzach i czarnoksiężnikach jest szóstą z kolei częścią kroniki życia i kariery Conana. Historia ta służyć ma przedstawieniu niezbyt dokładnie opisanego okresu w życiu Conana — dwóch lat, gdy był on korsarzem w Zingarze. Książka ma na celu wzmocnić powiązania pomiędzy poszczególnymi wątkami sagi. Tu po raz pierwszy pojawia się prostoduszny Van i Sigurd, z którym spotkamy się ponownie w dwunastej, ostatniej księdze, pt. „Conan z Wysp”. Tutaj też ponownie mamy do czynienia z

jednym ze starych przyjaciół Conana, mężnym czarnym wojownikiem Jumą, który po raz pierwszy pojawił się w opowiadaniu „Miasto Czaszek”, pierwszym utworze zbioru „Conan”. Wzmocniliśmy też wewnętrzną spójność sagi, wprowadzając postać Zarona (pojawi się on znów w opowiadaniu „Skarb Tranicosa” w tomie ósmym „Conan Uzurpator”) i — jako główny czarny charakter — wielki Książę Czarnoksiężników, Thoth-Amona ze Stygii, który często przewija się na kartach poszczególnych tomów cyklu. Conan podczas tych wydarzeń ma lat trzydzieści siedem lub trzydzieści osiem.

Howard doczekał wydania drukiem osiemnastu swych opowiadań o Conanie. Osiem innych, od kompletnych rękopisów po drobne fragmenty czy ledwie szkice, znaleziono w jego papierach. Zespół de Campa i Cartera dodał do tego jeszcze osiem utworów, w tym dwie dłuższe powieści, nie licząc dzieł drobnych, takich jak „Ręka Nergala” Howarda i Cartera i „Pysk w ciemności” Howarda, de Campa i Cartera. Ogólnie rzecz biorąc, Sprague (we współpracy z Howardem, ze mną i z Björnem Nybergiem) wniósł prawdopodobnie do sagi więcej tekstu niż oryginalnie uczynił to sam Howard. Teraz jednak, jak sądzę, przynajmniej widać już koniec.

Nie mam tu rzecz jasna na myśli samego Conana.

Będzie on istniał jeszcze przez wiele lat. Te książki z pewnością będą drukowane latami... może nawet dłużej niż się nam dziś wydaje.

Oprócz książek, Conan zadomowił się w komiksach, dorabiając się nawet własnego czasopisma (pytaj o „Conana Barbarzyńcę” Marvela).

Również Hollywood wydaje się od czasu do czasu odkrywać dzielnego, niezniszczalnego Cymeryjczyka. Przez okrągły rok



prorowadziliśmy na ten temat rozmowy z producentem filmowym. Od ludzi kina napłynęły nowe spostrzeżenia i uwagi. Bez wątpienia jeszcze więcej czai się w niewidocznych korytarzach przyszłości.

A czytelnicy wciąż proszą o więcej

Lin Carter  
Hollis, Lond Island, New York

# PROLOG

---

## SEN O KRWI

Księżniczka Chabela przebudziła się dwie godziny przed północą. Hoża córka Ferdruga, króla Zingary, leżała spięta i drżąca, naciągając cienką kołdrę na nagie ciało. Wpatrywała się w mrok, a złowieszczy lęk przeszywał ją zimnym dreszczem. Na zewnątrz deszcz bębnił po pałacowych dachach. Co przedstawiał ten mroczny, koszmarowy sen, z którego posępnych objęć jej dusza wyrwała się z tak wielkim trudem? Teraz, kiedy się skończył, ledwie potrafiła przypomnieć sobie jego szczegóły. Była ciemność, złowrogie oczy świecące w mroku, błyski noży — i krew. Wszędzie krew: na pościeli, na wykładanej kamiennymi płytami posadzce, przeciekająca pod drzwiami — czerwona, lepka, leniwie płynąca krew.

Chabela otrząsnęła się z tych makabrycznych myśli. Jej wzrok przyciągnął błysk nocnego światła. Pochodziło ono z cienkiej woskowej świecy stojącej na niskim, ozdobnym kłęczniku w drugim końcu komnaty. Obok lichtarzyka połyskiwała niewielka kolorowa ikona Mitry — Pana Światła i głównego bóstwa kordafańskiego panteonu.

Jakiś impuls do poszukiwania nadprzyrodzonej drogi kazał jej stanąć, drżącej, na posadzce. Owijając zmysłowe, namaszczone olejkami ciało koronkową kołderką przemierzyła komnatę i uklękła przed bóstwem. Strumień czarnych jak noc włosów spływał po plecach jak kaskada płynnej północy.

Na klęczniku stało małe, srebrne naczynie z kadzidłem. Otworzyła je i wsypała kilka ziarenek w migoczący płomień. Mocny zapach nardu i mirry rozszedł się w powietrzu.

Chabela złożyła ręce i skłoniła się jak do modlitwy, nie wypowiedziała jednak żadnych słów. W głowie miała zamęt. Za nic nie potrafiła utrzymać spokojnej wewnętrznej samokontroli, potrzebnej dla skutecznych modlitw do bóstwa.

Wydało się jej, że już od wielu dni posępna groza czai się w pałacu. Stary król wydawał się być daleko, zajęty niezrozumiałymi problemami. Zdumiewająco się postarzał, jakby jego siły witalne wysysała jakaś urojona pijawka. Niektóre z jego dekretów zupełnie nie zgadzały się z dotychczasową linią jego panowania. Czasami wydawało się, że duch innej osoby patrzy jego przygasłymi, starczymi oczami, mówi jego wolnym, chropawym głosem, czy gryzmoli rozchwiany podpis na podyktowanych przed chwilą dokumentach. Myśl ta, choć absurdalna, tkwiła w niej.

A potem te straszne sny o nożach i krwi, o tych świecących oczach, o wyłaniających się z mroku przyczajonych cieniach, które patrzyły i szeptały.

Nagle jej świadomość rozjaśniła się, jakby świeży morski wiatr rozwiał mgłę w jej umyśle. Odkryła, że potrafi określić uczucie strachu, który ją prześladował. To było tak, jakby jakaś mroczna siła usiłowała zawładnąć jej umysłem.

Ogarnęło ją przerażenie. Dreszcz obrzydzenia wstrząsnął jej ciałem. Jej młode, pełne piersi gwałtownie wznosiły się i opadały pod koronkami. Żarliwie upadła u stóp ołtarza, a jej czarne włosy rozsypały się po posadzce. Rozpoczęła modlitwę:

— Mitro, Panie nasz, obrońco Domu Ramiro, ostojo łaski i sprawiedliwości, który niegodziwość i okrucieństwo

przemieniasz w cnotę, błagam, pomóż mi w godzinie potrzeby! Powiedz, co mam czynić, zaklinam cię, potężny Władco Światła!

Wstając otworzyła złotą szkatułę stojącą na klęczniku obok naczynia z kadzidłem i wyjęła tuzin cienkich patyczków z rzeźbionego drewna sandałowego. Niektóre z tych magicznych pałeczek były krótkie, inne długie, niektóre powyginane, jeszcze inne gładkie i proste.

Cisnęła wszystkie na posadzkę przed ołtarzem. Trzask delikatnych drewnienek rozbrzmiał głośno w ciszy. Księżniczka wpatrzyła się w płataninę pałeczek na podłodze. Jej oczy nagle zaokrągliły się ze zdumienia, a na młodej twarzy okolonej czarnymi włosami odbił się lęk. Patyki ułożyły się w słowo T-O-V-A-R-R-O. Dziewczyna powtórzyła imię.

— Tovarro — wymówiła powoli. — Jedź do Tovarra... W jej ciemnych oczach błysnęła determinacja.

— Pojadę — zdecydowała — jeszcze dzisiaj. Wezmę kapitana Kapelleza...

Gdy przemierzała komnatę, błyskawice szalejącej burzy raz po raz rozświetlały wnętrze. Wyjęła szaty ze skrzyni. Zabrała pendent z rapierem w pochwie i ciepłą pelerynę. Szybko, bez zbędnych ruchów prześliznęła się przez sypialnię.

Z ołtarza szklanymi oczyma patrzył Mitra. Czy w tym malowanym spojrzeniu skrywał się niewidzialny błysk nadprzyrodzonej inteligencji? Może nieuchwytny wyraz smutku i żalu na wyrzeźbionych wargach? Nikt tego nie wiedział.

W ciągu godziny córka Ferdruga opuściła pałac. W ten sposób rozpoczął się łańcuch fantastycznych wydarzeń, które miały doprowadzić do szczególnej konfrontacji na krańcach tego świata pomiędzy potężnym wojownikiem, budzącym grozę czarnoksiężnikiem i dumną księżniczką.



# ROZDZIAŁ I

## STARY ZINGARAŃSKI ZWYCZAJ

Wiatr wzmagał się zacinając strugami deszczu. Teraz, po północy, wilgotna bryza szalała po brukowanych alejach biegnących od portu, kołysząc malowanymi szyldami nad drzwiami zajazdów i tawern. Wygłodzone kundły chowały się przed wiatrem i deszczem w sieniach, kuląc się i trzęsąc z zimna. O tej późnej porze zabawy kończyły się. Niewiele świateł paliło się w domach Kordafy, stolicy Zingary nad Oceanem Zachodnim. Ciężkie chmury przesłoniły księżyc, a postrzępione pasma mgły sunęły po mrocznym niebie jak duchy. Był to czas ciemności i tajemnic; pora, w której gotowi na wszystko przestępcy szepczą o zdradzie i grabieży, a zamaskowani zamachowcy wkradają się do uśpionych domów z zatrutymi sztyletami w dłoniach odzianych w czarne rękawiczki. Noc spisku, noc zbrodni.

Wśród wycia wiatru i deszczu dał się słyszeć odgłos kroków i cichy brzęk oporządzenia. Oddział straży nocnej — sześciu ludzi w wysokich butach i pelerynach, z rondami kapeluszy naciągniętymi mocno dla ochrony przed deszczem i wiatrem, z pikami i halabardami — kroczył po uśpionych ulicach. Nie robili wiele hałasu poza krótkimi zdaniami, wypowiedzanymi od czasu do czasu ściszone głosem w płynnym języku zingarańskim. Rozglądali się bacznie na lewo i prawo, czy nie widać gdzieś śladów wyważania siłą drzwi lub okien, nasłuchiwali

podejrzanych odgłosów i szli dalej, rozmyślając o dzbanach wina, które wychyła, gdy wrócą już z deszczowego patrolu.

Gdy oddział minął opuszczoną stajnię z zapadniętym do połowy dachem, dwa cienie stojące nieruchomo wewnątrz nagle ożyły. Jeden z nich wyjął spod peleryny niewielką lampkę. Odsłonił płomyk umieszczonej w niej świecy, który rzucił snop światła na podłogę w stajni. Uklękawszy, mężczyzna z lampką zmiotł warstwę brudu z części podłogi i odsłonił kamienne drzwiczki, do których przymocowany był krótki łańcuch zakończony kółkiem z brązu. Obaj mężczyźni chwycili kółko i z wysiłkiem unieśli drzwi. Dał się słyszeć pisk nie naoliwionych zawiasów. Dwa cienie zniknęły w czeluści, a drzwi z hukiem wróciły do poprzedniego położenia.

Wąskie kamienne schody prowadziły spiralnie w dół. Ciemności rozjaśniane były słabym płomykiem ciemnej lampki. Kamienie, z których zbudowano schody, były stare i zniszczone, a zaokrąglone stopnie pokryte były śliskim mchem i grzybem. Ferment wielu wieków rozkładu owiewał cały korytarz.

Dwóch ludzi w czarnych pelerynach schodziło po schodach uważnie i cicho. Jedwabne maski skrywały ich twarze. Wyglądali jak widma, schodząc tak prawie po omacku, a mokra bryza z dolnych korytarzy tajemnych przejść wychodzących na otwarte morze wydymała ich peleryny, unosząc je jak skrzydła gigantycznych nietoperzy.

Wysoko ponad uśpionym miastem wieże zamku Villagra, księcia Kordafy, wzbijały się w mroczne niebo. Nieliczne światła paliły się w wysokich oknach, gdyż niewielu lokatorów nie poszło jeszcze spać. Daleko w dole pod owym dziełem starożytnej murarki pewien człowiek z uwagą przeglądał pergaminy w świetle wysokiego złotego kandelabru, którego ramiona

przypominały splecione węże.

Nie szczędzono wydatków, aby kamienna krypta opływała w bogactwo. Na ścianach z grubego surowego kamienia zawieszane były bogato haftowane gobeliny. Zimne, kamienne płyty podłogowe ukryte były pod grubym, miękkim dywanem w kolorach szkarłatu, złota, szmaragdu, lazuru i fioletu, zdobnym w złożone motywy roślinne odległej Vendhyi.

Na taborecie z pozłacanego drewna, ozdobionym reliefem przedstawiającym subtelnie zmysłowe grupy nagich postaci wyrzeźbionych z wielką drobiazgowością, umieszczono srebrną tacę: wino z Kyros w kryształowej karafce, owoce i słodycze na srebrnych talerzykach.

Ogromne biurko, przy którym siedział pogrążony w lekturze mężczyzna, było ozdobnie rzeźbione w stylu północno-wschodniego imperium Akwilonii. W złoto-kryształowym kałamarzu tkwiło pawie pióro do pisania. W poprzek biurka leżał wysmukły miecz używany jako przycisk do papieru.

Człowiek ów, w średnim wieku, może około pięćdziesiątki, był szczupły i elegancki. Jego smukłe nogi odziane były w czarne, jedwabne pończochy i zgrabne buty z pięknie wyprawionej kordafańskiej skóry. Sprzączki wysadzone klejnotami połyskiwały, gdy niecierpliwie stukał stopą w podłogę. Żyłasty tors mężczyzny okrywał kubrak z turkusowego aksamitu, którego bufiaste rękawy skrojone były w taki sposób, że widać było atlasowe podbicie koloru brzoskwini. Śnieżnobiała koronka pieniała się na szczupłych nadgarstkach, a na każdym palcu starannie wypielęgnowanych rąk błyszczał ogromny klejnot.

Wiek mężczyzny można było rozpoznać po obwisłej skórze policzków i ciemnych workach pod chłodnymi, bystrymi, czarnymi oczami. Widać było, że starał się ukryć swe lata, gdyż



włosy miał gładko zaczesane na ramiona i ufarbowane, a warstewka pudru wygładzała linie jego arystokratycznych rysów. Makijaż nie był jednak w stanie ukryć zwiotczenia ciała, odbarwień pod zmęczonymi oczami i pomarszczonej szyi. Jedną zdobną w klejnoty ręką przerzucał pergaminy zapisane pochyłym pismem. Były to oficjalne dokumenty opatrzone złotymi i purpurowymi pieczęciami i powiewającymi wstążkami.

Mężczyzna stuknął stopą w posadzkę i raz po raz spoglądał na elegancki zegar wodny na kredensie, co zdradzało jego niecierpliwość. Co jakiś czas posyłał też ponure spojrzenie w kierunku ciężkiego arrasu w kącie sali.

Za mężczyzną przy biurku stał milcząc kuszycki niewolnik. Silnie umięśnione ramiona założone miał na odkrytych piersiach. Złote obręcze lśniły w naciągniętych uszach, a płomień świecy oświetlał muskulaturę na wspaniałym torsie. Na purpurowej szarfie zawieszony miał obnażony sejmitar. Z brzękiem delikatnego mechanizmu zegar wodny wybił godzinę. Była druga po północy.

Tłumiąc przekleństwo, człowiek za biurkiem cisnął na podłogę szeleszczący pergamin, który przeglądał. W tym momencie arras odsunięto na bok, odsłaniając wejście do tajemnego korytarza. Stanęli w nim dwaj mężczyźni w czarnych maskach i pelerynach. Jeden z nich trzymał małą lampkę. Światło kandelabru iskrzyło się na mokrych pelerynach przybyłych.

Siedzący mężczyzna położył rękę na gardzie leżącego na biurku rapiera, a Kuszyta uniósł swój sejmitar. Gdy jednak tamci dwaj weszli do sali i zdjęli maski, stary człowiek odetchnął.

— W porządku, Gomani — powiedział do Murzyna, który znów skrzyżował ręce na piersiach i przyjął poprzednią,

obojętną postawę.

Przybysze zrzucili peleryny na podłogę i złożyli pokłon mężczyźnie za biurkiem. Pierwszy z nich zsunął kaptur swej szaty, odsłaniając łysą lub wygoloną czaszkę, jastrzębi nos, czarne, beznamiętnie patrzące oczy i wąskie usta, a następnie złożył dłonie przed sobą i skłonił się. Drugi odstawił lampę i szurnął nogą z dworską galanterią, zdejmując kapelusz z pióropuszem w głębokim ukłonie i mamrocząc: — Bądź pozdrowiony, książę!

Gdy wyprostował się i stanął nonszalancko z ręką wspartą na wysadzanej klejnotami rękojeści miecza, można było spostrzec, że jest mężczyzną wysokim i smukłym, o czarnych włosach, ziemistej cerze i drapieżnej twarzy o ostrych rysach. Jego cienkie, czarne wąsiki przycięte były z taką precyzją, że wydawało się, iż umieścił je na jego twarzy artysta. Zdradzał ślady fałszywej uprzejmości, było w nim trochę teatralnej kwiecistości i więcej niż trochę piractwa.

Villagro, książę Kordafy, zmierzył ponurego Zingaranina lodowatym wzrokiem.

— Mistrzu Zarono, nie zwykłem być trzymany w oczekiwaniu — stwierdził.

Jeszcze jeden dworski ukłon.

— Po tysiąckroć przepraszam, Wasza Miłość! Za wszystkie łaski bogów nie chciałbym wprowadzić cię w niezadowolenie.

— To dlaczegóż to, panie, spóźniliście się pół godziny?

Kolejny dworski gest.

— To nic, głupstwo.

Mężczyzna z czaszką wygoloną jak mnich wtrącił:

— Burda w tawernie, Książę Panie.

— Burda w podłej knajpie? — spytał książę. — Czy postradałeś

zmysły, łajdaku?! Jak do tego doszło?

Z rumieńcem na ziemistych policzkach Zarono spiorunował wzrokiem mnicha, który odpowiedział mu podobnym spojrzeniem. — Nic takiego, Wasza Miłość! Nic, co mogłoby przeszkodzić ci...

— Ja to osądzę, Zarono — rzekł książę. — Niewykluczone, że ktoś zdradził nasz plan. Jesteś pewny, że to — hm — zajście nie było prowokacją?

Dłonie księcia zacisnęły się na złożonym liście, aż zbieleły kostki. Zarono uśmiechnął się łagodnie.

— Na pewno nie, Panie. Słyszałeś może o tępym barbarzyńcy zwanym Conanem, który awansował na dowódcę okrętu korsarskiego, mimo że jest niczym więcej, jak tylko szczenięciem jakiejś flądry z mrocznej Północy?

— Nic nie wiem o tym łajdaku, mów dalej.

— Jak już powiedziałem, to nic takiego. Wchodząc do Gospody pod Dziewięcioma Nagimi Mieczami, by spotkać się z wielebnym Menkarą, dostrzegłem pieczęć skwierczącą na rożnie, a jako że nie posilałem się od świtu, postanowiłem połączyć przyjemne z pożytecznym. Ponieważ człowiek mojej rangi nie może tracić czasu na oczekiwanie, przywołałem oberżystę Sabrala i kazałem mu podać udziec. Wtedy ten cymeryjski gbur, upierając się, że to jego obiad, ośmielił się mi sprzeciwić. Trudno przecież wymagać, by dżentelmen mógł ścierpieć, że daje się pierwszeństwo jakimś parszywym cudzoziemcom...

— Co dalej? Do rzeczy! — przerwał książę.

— Była drobna sprzeczka, a potem od słów przeszliśmy do czynów. — Zarono zachichotał dotykając ciemnego siniaka pod okiem. — Facet jest silny jak byk, jednak, pochlebiam sobie, ja też naznaczyłem jego szpetną gębę. Zanim zdołałem pokazać mu

twardość mojej stali, karczmarz i kilku gości rozdzieliło nas, nie bez wysiłku, bowiem trzeba ich było czterech czy pięciu, by utrzymać każdego z nas. W międzyczasie przybył wielebny ojciec Menkara i zajął się uśmierzaniem naszej wściekłości. Co też, tym i owym...

— Rozumiem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to zwykły przypadek. Powinieneś jednak mieć na tyle rozumu, by nie prowokować takich burd. Nie zamierzam tego tolerować. A teraz do rzeczy. Stoi przede mną jak mniemam...

Zingaranin podkręcił wąsiki.

— Wybacz mi mój brak dobrych manier, Wasza Miłość; pozwól przedstawić sobie wielebnego Menkarę, kapłana Seta, którego namówiłem do wzięcia udziału w naszym szczytnym przedsięwzięciu i który nie szczędzi wysiłków dla naszej sprawy.

Wygolony mężczyzna raz jeszcze złożył dłonie i skłonił się. Villagro chłodno skinął głową.

— Dlaczego nalegałeś na osobiste spotkanie, wielebny ojcze? — zapytał z niezadowoleniem. — Wolę korzystać z agentów takich jak Zarono. Czy coś jest nie w porządku? Czy proponowane ci wynagrodzenie jest wystarczające?

Szkliste oczy Stygijczyka wyrażały tylko tępą obojętność.

— Złoto to tylko śmieci. Jednak mimo to ziemską powłoka musi jakoś utrzymywać się na tym nędznym padole. Nasza religia uczy, że świat jest jedynie iluzją — maską na nagim obliczu chaosu... Ale wybacz marnemu człękowi, Książę Panie. Dyskusje teologiczne są zwyczajem z naszych stron, ale moja obecność tutaj spowodowana jest zwyczajem waszego kraju, nieprawdaż?

Blady, nieznaczny uśmiech Stygijczyka wskazywać miał, że powiedział coś zabawnego. Książę Villagro uniósł brwi pytająco.

Menkara mówił dalej:

— Mam tu na myśli plan Waszej Miłości zmierzający do zmuszenia zacnego, ale sędziwego króla Ferdruga, aby oddał ci rękę księżniczki Chabeli, zanim zakończy swój żywot na tym świecie. Odniosłem się do znanej sentencji: „Spisek i zdrada to szczytne zwyczaje Zingary.”

Grymas Villagra sugerował, że nie uznał dowcipu za szczególnie śmieszny.

— Tak, tak, ojcze, to wszystko wiemy. Jakie wieści przynosisz? Czy są postępy w walce o zawładnięcie umysłami królewskiej rodziny?

Stygijczyk wzruszył ramionami. — Niewielkie, panie. Umysł Ferdruga łatwo zdominować, gdyż jest on stary i schorowany. Napotkałem jednak pewien problem.

— Mianowicie?

— Gdy mam króla w orbicie oddziaływania mojej woli, potrafię doskonale nim sterować. Mogę zmusić go, by oddał ci rękę księżniczki. Księżniczka jednak, zresztą nie bez racji, zważywszy różnicę wieku pomiędzy wami, niweczy nasze plany.

— Więc zmusz także jej umysł do posłuszeństwa, głupia, łysa pało! — warknął Villagro, rozdrażniony przytykiem do swego wieku.

Zimne płomienie rozjaśniły beznamiętne oczy Stygijczyka, ale szybko zostały stłumione.

— Tej właśnie nocy próbowałem tego dokonać — mruknął. — Mój duch zstąpił na księżniczkę pogrążoną we śnie w swojej komnacie i przeniknął do jej snów. Jest młoda, silna, pełna życia. Z najwyższym trudem udało mi się uzyskać kontrolę nad jej mózgiem, jednak gdy cień mój szeptał do jej uśpionej duszy, poczułem, że rozluźnia się i opada moja zdolność kontrolowania

umysłu starego króla. Natychmiast zostawiłem dziewczynę, by odzyskać władzę nad jej ojcem. Obudziła się z przerażeniem i chociaż nie pamięta ani słowa z moich sugestii, z pewnością ma jakieś przeczucia.

To właśnie mój kłopot. Nie potrafię równocześnie kontrolować i króla, i księżniczki... — przerwał, dostrzegłszy płomienie gniewu w oczach księcia.

— A więc to przez ciebie, niedołączny psie! — ryknął Villagro.

Zdziwienie i przestach rozbłysły w chłodnych oczach Stygijczyka.

— O co chodzi, panie? — wymamrotał, a Zarono przyłączył się do niego pytającym spojrzeniem.

Książę wyrzucił z siebie zduszone przekleństwo.

— Czy to możliwe, by mój przebiegły szpieg i obrotny czarownik głusi byli na to, o czym trąbi pół miasta? — wykrzyknął. — Czy żaden z was, głupcy, nie wie, że księżniczka zniknęła z miasta, a wszystkie nasze plany poszły na marne?

Książę Villagro starannie ułożył swoje plany. Król Ferdrugo był schorowany i zniedołężniały. Aby zapewnić bezkonfliktową sukcesję, księżniczka Chabela powinna szybko wyjść za mąż. Któż mógłby być lepszym kandydatem do jej ręki i na następcę tronu od Villagra, wieloletniego wdowca i najbogatszego oraz najpotężniejszego po królu para w królestwie?

W krypcie pod swym zabytkowym zamkiem Villagro opracował swój plan. Korsarz Zarono, ze szlacheckiego rodu, ale z zaszarganą przeszłością, przystąpił do przedsięwzięcia. Otrzymał zadanie pozyskania czarownika o elastycznym sumieniu, który umiałby oddziaływać na umysł i wolę starzejącego się króla. Do tej misji Zarono wybrał

czarnoksiężnika Menkarę, duchownego nielegalnej stygijskiej sekty czcicieli Seta. Jednak zniknięcie Chabeli zniweczyło wszystkie plany Villagra. Na cóż mogłaby zdać się kontrola nad umysłem króla, jeśli nie było już księżniczki, którą miał poślubić?

Swoim kamiennym opanowaniem Menkarze udało się wreszcie uspokoić rozdrażnionego Villagra. Rzekł:

— Jeśli łaska, Wasza Miłość, mój skromny zasób wiedzy w dziedzinie nauk okultystycznych powinien wkrótce pozwolić na ustalenie obecnego miejsca pobytu młodej damy.

— Więc zrób to — rzekł Villagro ponuro.

Na polecenie kapłana, Kuszyta Gomani przyniósł trójnog z brązu i węgiel drzewny z sąsiedniej sali tortur. Zrolowano dywan odsłaniając kamienne płyty. Stygijczyk wydobył z zanadru wielki portfel z licznymi przegródkami. Wyjął z niego kawałek zielonej, fosforyzującej kredy, którą narysował na posadzce owalny kształt przypominający węża trzymającego w zębach własny ogon.

W międzyczasie Kuszyta wzniecił ogień na trójnogu. Dmuchając i wachlując szybko sprawił, że węgiel rozżarzył się.

Następnie kapłan wylał na rozpalone węgle aromatyczną, zieloną ciecz z kryształowego flakonika. Ostry zapach wypełnił nieruchome powietrze w komnacie z wężowym sykiem. Bładozielone pasma dymu zwijały się i splatały w usypiającym powietrzu. Duchowny usiadł w kręgu nakreślonym zieloną kredą. Zgaszono świece w kandelabrze, co przydało komnacie posępnej tajemniczości.

Pozostały trzy źródła światła: czerwony blask węgla w palenisku, fosforyzujący zielono wężowaty okrąg i żółte oczy czarownika, które płonęły jak ślepią nocnego drapieżcy.

Głos Stygijczyka przybierał na sile, wyśpiewując:

— Iao, Setesh... Setesh, Iao! Abrathax kuraim mizraeth, Setesh!

Ostre, syczące słowa ścichły do monotonnego szeptu, później ucichły zupełnie. Jedynym dźwiękiem pozostał wolny, rytmiczny oddech Stygijczyka. W miarę jak wpadał w trans, jego żółte ślepia skryły się pod powiekami.

— Na Mitrę! — sapnął Zarono, ale żelazny uścisk księcia na ramieniu nakazał mu znów milczenie.

Spiralne smugi dymu splatały się i rozpraszaly tworząc świecący, nefrytowo-zielony obłok. W kłębach dymu pojawiły się jasne i ciemne plamy. W chwilę później oczom obserwatorów ukazała się w obłoku scena jakby wzięta z rzeczywistości. Ujrzeni niewielki statek ożaglowany jak karawela, mknący po nocnym morzu. Na przednim pomoście stała młoda dziewczyna. Jej okrągłe kształty widoczne były nawet pod ciężką peleryną, którą wiatr smagał jej młode ciało pełne wigoru...

— Chabela — westchnął Villagro.

Jak gdyby jego głos złamał czar, fosforyzujący obłok zawirował i rozpadł się. Węgłe ostygły z sykiem. Kapłan upadł na twarz uderzając łysym czołem w posadzkę.

— Dokąd ona płynie? — zapytał Villagro Menkarę, gdy łyk wina ożywił nieco czarownika.

Stygijczyk zamyślił się.

— Odczytałem nazwę Asgalun w jej myślach. Czy wiesz może, Wasza Miłość, z jakiego powodu miałyby tam jechać?

— Tam właśnie przebywa obecnie brat króla, Tovarro — rzekł książę w zamyśleniu. — Jako ambasador, wędruje on od jednego shemickiego miasta do drugiego, a teraz jest właśnie tam. Teraz rozumiem! Ucieknie do Tovarra i będzie błagać go, by wrócił do Kordafy. Jeżeli ten wścibski facet znajdzie się tutaj, bogowie tylko wiedzą, co będzie z naszymi planami. Cóż więc robić, jeśli twa



moc nie potrafi zdominować króla i księżniczki jednocześnie?

Zarono wyciągnął rękę w kierunku srebrnej tacy mamrocząc:

— Za pozwoleniem Waszej Miłości...

Villagro skinął głową, a Zarono sięgnął po kawałek owocu.

— Myślę — rzekł między kolejnymi kęsami — że powinniśmy ściągnąć innego czarownika.

— To brzmi rozsądnie — powiedział książę. — Kogo proponujesz, ojcze?

Stygijczyk milczał pogrążony w myślach.

— Przełożonym mojego zakonu — powiedział w końcu — i najpotężniejszym czarnoksiężnikiem na tym świecie jest wielki Thoth-Amon.

— A gdzie przebywa ten Thoth-Amon?

— Mieszka w rodzinnej Stygii, w oazie Khajar — odpowiedział Menkara. — Muszę jednak ostrzec Waszą Miłość, że potężnego talentu Thoth-Amona nie można kupić byle złotem.

Cierpki uśmiech wywinął ciemne wargi mnicha.

— Złotem można kupić ludzi małych, jak ja, a Thoth-Amon jest prawdziwym księciem czarowników. Ktoś, kto rządzi duchami świata, nie potrzebuje dóbr materialnych.

— Co więc może go skusić?

— Jedno marzenie bliskie jest sercu Thoth-Amona — mruknął duchowny. — Wieki temu religie przeklętego Mitry i mojego bóstwa, Seta, zmagaly się tutaj, w zachodnich krainach. Wyrokiem losu kult mojego boga został obalony, wyznawcy Mitry zatriumfowali nad nami. Kult Węża wyjęty został spod prawa, a cały mój zakon znalazł się na wygnaniu. Gdybyś więc, Wasza Miłość, przyrzekł zburzyć świątynie Mitry i odbudować w ich miejsce kościoły Seta ponad parweniuszowskie bóstwa Zachodu, śmiem twierdzić, że Thoth-Amon użyczyłby swej mocy

dla twojej sprawy.

Książę przygryzł wargę. Bogowie i świątynie nic dla niego nie znaczyły, jeśli tylko kościoły i ich hierarchie płaciły nałożone podatki. Wzruszył ramionami.

— Niech tak będzie — powiedział — przyrzeknę na bogów czy demonów, jakich tylko sobie wymyślicie. A oto wasze zadania:

O świcie wyruszyście na morze. Weźmiecie kurs na południowy-wschód i przechwycicie statek wiozący księżniczkę. Uwięźcie ją i zniszczycie statek, nie zostawiając żadnych świadków przy życiu. Twój „Petrel”, Zarono, powinien z łatwością poradzić sobie z małą „Królową Mórz”.

Zaopiekowawszy się panią, popłyniecie dalej do Stygii. Ty, Menkaro, poprowadzisz wyprawę do twierdzy Thoth-Amona i występował będziesz jako mój ambasador. Gdy pozyskasz go już dla naszej sprawy, wrócisz do Kordafy z nim i księżniczką. — Czy są jakieś pytania?

W ten sposób rozpoczęła się ich podwójna misja.

## ROZDZIAŁ II

# NÓŻ W CIEMNOŚCI

Świt rozjaśnił niebo na wschodzie. Burza ustała. Rozproszone już czarne chmury mknęły po mrocznym niebie. Kilka bladych gwiazd świecących wciąż na zachodzie raz po raz pojawiało się między chmurami i odbijało się w kałużach błota w kordafańskich rynsztokach. Zarono, kapitan korsarskiego okrętu „Petrel” i tajny agent księcia Kordafy, kroczył przez mokre ulice w podłym nastroju. Bójka z ogromnym cymeryjskim korsarzem nie wprawiła go w dobry humor, nie mówiąc o nie zjedzonym obiedzie. Stek przekleństw, którymi obrzucił go książę, pogorszył jeszcze jego samopoczucie, a na domiar złego oczy kleiły mu się z niewyspania i skręcało go z głodu. Omijając strużki wody ściekającej z dachów i uważając, by poły peleryny nie wpadały do błotnistych kałuż, czuł, jak wzbiera w nim tłumiony gniew. Tęsknił za czymś bezbronnym, na czym mógłby wyładować swą złość. Menkara wielkimi krokami podążał obok niego w milczeniu.

Chudy, kościsty człowieczek, którego gołe nogi widać było spod wystrzępionego rąbka połatanej sutanny, usiłował utrzymać się na śliskim bruku, pędząc przez smagane wiatrem ulice. Jego sandały kłapały po mokrej kostce. Jedną ręką przytrzymał pozszywany szal na wychudłej klatce piersiowej, a drugą, wyciągniętą w górę, trzymał kawał płonącej, nasmołowanej liny, którą oświetlał sobie drogę, półgłosem

mamrocząc poranną litanię do Mitry. Była ona dla niego zlepkiem nic nie znaczących dźwięków, ponieważ jego myśli krążyły zupełnie gdzie indziej. Ninus, młodszy kapłan świątyni Mitry, podążał mokrymi, wietrznymi ulicami na spotkanie z przeznaczeniem.

Tego ranka wstał ze swego posłania przed świtem i unikając przełożonego, wymknął się z okolic świątyni Mitry na ponurą, mokrą aleję. Stamtąd skierował się w stronę kordafańskiego portu na spotkanie z cudzoziemskim korsarzem, Cymeryjczykiem Conanem.

Ninus nie był przystojnym mężczyzną. Miał wydatny, trzęsący się brzuch i patykowate nóżki. Wodniste oczy spoglądały znad ogromnego nosa. Owinięty był w postrzępioną szatę kapłana Mitry — szatę, która nie była zbyt czysta, a ponadto widać było na niej podejrzaną purpurową plamę z zakazanego wina. W przeszłości, zanim ujrzał światło Mitry, Ninus był jednym z najzdolniejszych złodziei na ziemi hyboryjskiej. Wtedy właśnie poznał Conana. Krzepki korsarz też kiedyś trudnił się złodziejstwem, a ponadto nigdy nie był bywalcem kościołów. Byli więc starymi przyjaciółmi. Mimo, że Ninus uważał swoje powołanie do kapłaństwa za szczere, nigdy nie udało mu się poskromić cielesnych żądz, którym często dawał upust w swoim wcześniejszym życiu. Mały, kościsty mnich ścisnął w zanadrzu dokument, który Conan obiecał od niego kupić. Korsarz potrzebował skarbu, a Ninus żądał złota albo przynajmniej srebra. Mapa była już od dawna w jego posiadaniu. W złodziejskich czasach często myślał, by podążyc za atramentową linią prowadzącą do bajecznego bogactwa, którego miejsce ukrycia dzięki owej mapie można było odnaleźć. Teraz jednak, w zawodzie duchownego, istnieje małe prawdopodobieństwo, że

wyruszy kiedyś na poszukiwanie skarbu; dlaczego nie miałby więc sprzedać dokumentu?

Jego wyobraźnia pełna była różowych wizji słodkiego wina, obfitych pieczeni i pulchnych dziewczuch, które miały urzeczywistnić się, jak sądził, dzięki pieniądzom Conana. Wybiegł z za rogu ulicy i omal nie wpadł na dwóch mężczyzn, którzy odskoczyli, by uniknąć zderzenia. Mamrocząc jakieś przeprosiny mały mnich wlepił krótkowzroczne oczy w ponurego człowieka, któremu spadł kaptur peleryny. Zdumienie nie pozwoliło na zachowanie właściwej mu rozwagi.

— Setyta Menkara! — zawołał piskliwie. — Ty tutaj?! Jak śmiesz, wyznawco nikczemnego węża!

Podnosząc głos w szlachetnym oburzeniu, Ninus zaczął wzywać strażę.

Ciskając przekleństwa Zarono pociągnął swego towarzysza, by ponaglić go do ucieczki, ale Stygijczyk wyrwał się i spojrzał na niego płonącymi oczyma.

— Ten mały wieprz mnie zna! — zasyczał. — Zabij go szybko albo będziemy wszyscy zgubieni!

Zarono nie wahał się dłużej niż mgnienie oka: chwycił sztylet i pchnął. Życie jednego nędznego zakonnika nic dla niego nie znaczyło; ważne było, by uniknąć konieczności odpowiadania na pytania strażników.

Błysk stalowego ostrza w słabym świetle świtu zgasł przebijając szaty mitraisty. Ninus zatoczył się ze zdławionym okrzykiem, zaczął z trudem łapać powietrze i upadł bezwładnie na bruk. Z ust wypłynęła strużka krwi.

Stygijczyk splunął.

— Oby tak zginął cały twój parszywy ród — burknął. Rozglądając się nerwowo dookoła, Zarono pospiesznie wytarł

ostrze o płaszcz leżącego.

— Chodźmy stąd — warknął.

Oczy Stygijczyka zatrzymały się jednak na wybrzuszeniu pod tuniką Ninusa. Przykucnął i wyjął niewielki zwój pergaminu spod okrycia mitraisty. Oburącz rozwinął dokument.

— Jakaś mapa — zamyślił się czarownik. — Myślę, że przy odrobinie wysiłku potrafiłbym rozszyfrować...

— Później, później — naglił Zaron. — Pospieszmy się, bo straż nas znajdzie!

Menkara skinął głową i schował zwój. Dwaj mężczyźni oddalili się ukradkiem przez czerwieniejące opary świtu, zostawiając Ninusa rozciągniętego na bruku.

Napojony podłym winem, po nierozstrzygniętej bójce z szydercą Zaronem i wielu godzinach bezczynnego oczekiwania, Conan wpadał w coraz gorszy humor. Niespokojny jak dziki kot, miotał się po zadymionym pokoju, którego sufit znajdował się niewiele wyżej od jego głowy. Mimo, że jeszcze niedawno Gospoda pod Dziewięcioma Nagimi Mieczami była przepełniona, teraz zostało tu zaledwie kilku gości, takich jak tercet pijanych marynarzy rozłożonych w kącie. Dwaj z nich śpiewali szanty fałszując straszliwie, a trzeci spał.

Świecowy zegar oznajmił Conanowi, że nadchodzi świt. Ninus był już kilka godzin spóźniony. Coś musiało się stać małemu zakonnikowi, który nigdy tak się nie spóźniał, gdy miał otrzymać pieniądze. Conan warknął do tęgiego karczmarza po zingarańsku z barbarzyńskim akcentem:

— Sabral! Wychodzę zaczerpnąć świeżego powietrza. Gdyby ktoś pytał, wrócę za chwilę.

Na zewnątrz deszcz już przestał padać, jeszcze tylko woda

skapywała z dachów. Czarna chmura rozproszyła się i odpłynęła. Srebrny księżyc wyrzwał znowu, oświetlając ostatnie chwile nocy, ale zaczął już błędąc w świetle świtu. Obłoki pary unosiły się nad kałużami.

Przeklinając siarczyście, Conan stąpał ciężko po mokrym bruku zamierzając okrążyć budynek, w którym mieściło się Dziewięć Nagich Mieczów. W duszy przeklinał Ninusa. Przez tego małego świętoszka straci poranną bryzę, która uniosłaby jego „Łobuza” z portu w Kordafie. Bez niej będą chyba musieli spuścić szalupę, która mozolnie odholuje ich w morze.

W pewnym momencie stanął jak skamieniały. Zwinięta w wypełnionym deszczówką rynsztoku, ukazała się jego oczom bezkształtna kupa ubłoconych szmat i rozpostarte kończyny.

Rozejrzał się na prawo i lewo po dachach, sieniach i wylotach ulic w poszukiwaniu śladów zaczajonych napastników. Delikatnie odsunął na bok połę ciężkiej peleryny, ułatwiając sobie dostęp do miecza w pochwie. W tej dzielnicy starego miasta trup nie był niczym niezwykłym. Rzędy rozpadających się ruder przy krętych alejach były przystanią dla złodziei, morderców i innych mętów. A tam, gdzie leży ofiara, często w pobliżu czai się napastnik. Conan dawno już nauczył się ostrożności w podobnych przypadkach.

Cicho jak skradający się lampart, krzepki Cymeryjczyk zbliżył się do skulonej postaci i ukląkł przy niej. Jedną ręką ostrożnie odwrócił ją na plecy. Świeża krew połyskiwała ponuro w czerwonej poświacie brzasku. Kaptur zsunął się odsłaniając twarz.

— Do kroćset! — mruknął Conan, jako że ujrzał byłego rabusia i duchownego, Ninusa z Messantii, na którego czekał już od dawna.

Szybkimi ruchami przeszukał zwłoki. Mapa, którą Ninus obiecał dostarczyć do tawerny, by mu ją sprzedać, zniknęła.

Conan przysiadł na piętach, a myśli przelatywały mu przez głowę pod posepnym, niewzruszonym obliczem. Kto chciałby śmierci nieważnego, małego księżulka, który miał w sakiewce ledwie parę miedziaków? Mapa była jedyną przedstawiającą jakąkolwiek wartość rzeczą, którą zakonnik mógł mieć przy sobie. A skoro jej nie było, logika nakazywała stwierdzić, że nieszkodliwy Ninus został zasztyletowany po to, by jego zabójca mógł ją sobie przywłaszczyć.

Wschodzące słońce oświetliło na czerwono wieże i krawędzie dachów w starej Kordafie. W tym świetle wulkan w oczach Conana wybuchł gwałtownym, niebieskim płomieniem. Zaciskając pokiereszowane pięści olbrzymi Cymeryjczyk poprzysiągł, że ktoś własną krwią zapłaci za ten czyn.

Cymeryjczyk delikatnie uniósł małe ciało w swych potężnych ramionach i szybko podążył z powrotem do „Dziwięciu Nagich Mieczów”. Wszedłszy do środka szczerzył na karczmarza:

— Sabral! Pokój i lekarza, szybko!

Karczmarz wiedział, że gdy Cymeryjczyk mówił tym tonem, nie można było zwlekać. Pospiesznie zaprowadził Conana z jego brzemieniem po rozklekotanych schodach na piętro. Nieliczni pozostali goście odprowadzali ich wzrokiem pełnym ciekawości. Patrzyli na wysokiego mężczyznę, prawie olbrzymia, niezwykle silnej budowy. Ciemna, opalona, pokryta bliznami twarz pod zniszczonym kapeluszem żeglarskim była gładko wygolona, a ciężkie rysy okalała kanciasto przyszyżona grzywa czarnych, zmierzwionych włosów. Głęboko osadzone niebieskie oczy spoglądały spod wydatnych ciemnych brwi. Cymeryjczyk niósł ciało kapłana z taką łatwością, jakby było to małe dziecko.



W tawernie nie było nikogo, z załogi Conana. Korsarz chciał mieć pewność, że gdy spotka się z Ninusem, nikt nie usłyszy o mapie i ukrytym skarbie. Nie chciał, by rozniosło się to wśród załogi, zanim będzie gotów sam im powiedzieć. Sabral zaprowadził go do pokoju zarezerwowanego dla znamienitszych gości. Conan kładł już Ninusa na łóżku, ale powstrzymał się, gdy karczmarz wyszarpnął spod mnicha prześcieradło.

— Żadnej krwi na mojej najlepszej pościeli! — powiedział.

— Do diabła z twoją pościelą! — warknął Conan, kładąc ciało kapłana na sienniku.

Gdy Sabral składał pościel, Conan zbadał Ninusa. Mnich oddychał słabo, a jego serce biło jak oszalałe.

— Żyje jeszcze — mruknął Conan. — Zabieraj się stąd, człowieku, i sprowadź medyka! Nie stój i nie gap się jak dureń!

Karczmarz zniknął bez słowa. Conan odsłonił pierś Ninusa i pobieżnie przewiązał ranę, z której wciąż sączyła się krew.

Sabral przyprowadził wreszcie rozespanego lekarza w nocnej koszuli, z kosmykami siwych włosów wysuwającymi się spod szlafmocy.

— Oto czcigodny doktor Cratos — rzekł karczmarz. Lekarz zdjął bandażę Conana, oczyścił ranę i nałożył nowy, czysty opatrunek.

— Na szczęście — powiedział — cios chyba nie naruszył serca i większych naczyń krwionośnych i lekko tylko drasnął płuco. Przy dobrej opiece powinien wyżyć. Czy płaci pan za niego, kapitanie?

Conan przytaknął niewyraźnie. Kilka łyków wina częściowo przywróciło Ninusowi świadomość. Mnich zaczął mówić głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

— Natknąłem się na... dwóch ludzi... na ulicy. Jeden...

Menkara, to kapłan Seta. Krzyk... krzyknąłem. Powiedziało... drugiemu... żeby mnie zabił...

— Kim był ten drugi? — spytał Conan.

— Był zamaskowany... kapelusz, peleryna... ale... chyba... korsarz Zarono...

Conan spojrzał spode łba. Zarono! Ten szyderca, z którym zadarł kilka godzin temu. Czy Zarono słyszał o jego spotkaniu z Ninusem i zaczął się na mnicha, by skraść mu mapę? Wszystko wskazywało na sprytny spisek mający wydrzeć Conanowi tajemnicę skarbu.

Wstał, a jego twarz pokrył rumieniec gniewu.

— Masz! — zagrział. Wydobycywszy garść monet z sakiewki, wrzucił je w dłoń Cratosa. Drugą garść wepchnął Sabralowi.

— Wy dwaj macie dopilnować, by miał dobrą opiekę i wyzdrowiał — powiedział. — Gdy wrócę, ustalimy właściwą zapłatę, a nieszczęście spadnie na was, jeśli nie zrobicie dla niego wszystkiego, co w waszej mocy! Gdyby umarł, pochowajcie go z pełnym ceremoniałem Mitry. Teraz wyjeżdżam.

Jak duch zniknął za drzwiami, miękko zbiegł po schodach i rozpląnął się w mroku za wejściowymi drzwiami „Gospody pod Dziewięcioma Nagimi Mieczami”. Kroczył szybko, a poły ciężkiej, czarnej peleryny smagały cholewy jego butów.

Gdy wzeszło słońce pozłociło maszty i reje statków, port zatętnił życiem. Marynarze wspinali się po masztach, oficerowie wykrzykiwali komendy przez pergaminowe tuby, a skrzypiące, drewniane dźwigi przy kołowrotach i kabestanach, zasilane mięśniami dokerów, przerzucały bele z nadbrzeża na pokład.

Conan dotarł wkrótce do portu. W odpowiedzi na jego krótkie pytanie kapitan straży portowej powiedział mu, że „Petrel” Zarony wyruszył ponad godzinę wcześniej i dawno już zniknął

za cyplem zamykającym port od wschodu. Odburknąwszy jakieś podziękowanie, Conan odwrócił się na pięcie i z łomotem wszedł po trapie na pokład swego statku — „Łobuza”.

— Zeltran! — wrzasnął.

— Tak, kapitanie? — odrzekł oficer, który zarządzał rozmieszczaniem zapasów w ładowni. Zeltran był niskim, okrągłym Zingaraninem z długim, czarnym, podkręconym wąsem. Mimo swej tuszy poruszał się z lekkością kota.

— Ustaw łajdaków w szeregu i sprawdź stan! — rzekł Conan.  
— Wypływamy jak najszybciej!

Za chwilę cała załoga zgromadziła się na śródokręciu. Większość z nich stanowili smagli Zingaranie z domieszką innych narodowości. Brakowało trzech, więc natychmiast wysłano chłopca okrętowego, by powyciągał ich z knajp, w których przesypiali wolny czas. Reszta załogi, popędzana krzykiem Conana, przyspieszyła leniwy załadunek statku. Załadowano ostatnią belę, zdjęto cumy z nadbrzeża. Ośmiu żeglarzy męczyło się przy wiosłach w szalupie, by wyholować „Łobuza” na otwarte morze. Gdy przy pierwszym podmuchu wiatru żagle załopotwały, wciągnięto szalupę na pokład.

Później, gdy wiatr wypełnił żagle, „Łobuz” pochylił się, a zmarszczki wody przy jego dziobie zmieniły się w biały kłęb piany. Statek kołysał się płynnie i rytmicznie na falach otwartego morza, a krzyk krążących mew mieszał się z pluskiem fali przy dziobie, skrzypieniem desek, zgrzytem lin i westchnieniami wiatru w żaglach.

Conan stał na przednim krańcu nadbudówki opierając się o poręcz i wpatrując się w zamyśleniu w odległy horyzont za krawędzią grotu. Podawszy kurs zarządzony przez Conana i wystawiwszy warty, Zeltran znalazł się przy Cymeryjczyku.

— Cóż, kapitanie — rzekł — dokąd tym razem?

— Znasz „Petrela” Czarnego Zaronu? — spytał Conan.

— Tę wielką balię, która wypłynęła godzinę przed twoim przyjściem do portu? Tak, znam. Powiadają, że Zaronu jest dobrym żeglarzem, ale twardym człowiekiem o sercu z kamienia. Pochodzi z drobnej szlachty, ale oni go odrzucili, ponoć dlatego, że zrobił coś, czego nawet dobrze urodzeni rozpustnicy nie mogliby tolerować. Dlatego też postanowił zostać korsarzem. Czyżbyś był w niezgodzie z kapitanem Zaronu? To nie jest ktoś, z kim można beztrąsko zadzierać.

— Zatrzymaj to dla siebie, paplo, a powiem ci.

Conan opowiedział Zeltranowi krótko o Ninusie, mapie i Zaronu.

— Zatem — ciągnął dalej — jeśli dopadnę go na morzu, dam mu poznać smak stali. „Petrel” może jest większy, ale „Łobuz” ma bardziej opływowy kształt i potrafi lepiej łapać wiatr.

— O tak, na pewno go złapiemy — powiedział Zeltran dziarsko podkrecając węża. — Jestem pewny, że sam potrafiłbym zarżnąć sześciu czy siedmiu łotrów Zaronu. Jednakże, kapitanie, czy nie rozsądniej byłoby płynąć za nim niepostrzeżenie, pozwalając mu zaprowadzić nas do skarbu?

Conan przeszył oficera gniewnym wzrokiem. Potem uśmiechnął się i poklepał go po plecach.

— Na Croma i Mannanana, człowieku! — ryknął. — Zasługujesz na swą zapłatę!

Spojrzał w górę, gdzie grupa żeglarzy, stojąc na linach marsla i obejmując jedną ręką reje, czekała na komendę do postawienia żagla.

— Przywiązać go z powrotem! Wy tam! Z powrotem na pokład!

Następnie zwrócił się do Zeltrana:

— Nie postawimy marsła, bo Zarono by go zobaczył, a bez marsła dogonimy ich i tak, nawet gdy oni postawią swój. Jak się nazywa ten człowiek z sokolim wzrokiem?

— Riego z Jeridy?

— Właśnie on. Wyślij go na górę, abyśmy widzieli to, co on zobaczy.

Za chwilę młody marynarz stał na bocianim gnieździe, wpatrując się w południowo — wschodni horyzont. Po jakimś czasie zawołał:

— Statek dokładnie przed nami, kapitanie. Widzę jego marsel, a gdy fala się wznosi, nawet czarny kadłub.

— To „Petrel” — powiedział Conan. — Sternik, trzymać kurs!

Następnie zwrócił się do Zeltrana, który szarpał ogromnego węża.

— Zostaniemy trochę z tyłu w ciągu dnia, a w nocy podciągniemy bliżej, by widzieć jego światła. Przy odrobinie szczęścia nawet nas nie zauważy.

Conan uśmiechnął się zuchwale z błyskiem zadowolenia w oczach. Nabrał powietrza w płuca i energicznie wyrzucił je z siebie. To było życie! Solidny pokład pod stopami, pół setki twardej komendy, morze do żeglowania, wróg do walki i dzika, nieokiełznana przygoda w perspektywie.

Pod pełnymi żaglami, z wyjątkiem zdradzającego położenie statku marsła, „Łobuz” mknął na południowy wschód w ślad za „Petrelem”. Oślepiające słońce prażyło z lazurowego nieba, a delfiny wyskakiwały nad turkusowe fale i nurkowały z powrotem.

# ROZDZIAŁ III

## ŚMIERĆ „KRÓLOWEJ MORZA”

Karawela „Królowa Morza”, służąca jako zingarański jacht koronny, przepłynęła między wybrzeżem Zingary a Wyspami Barachańskimi. Archipelag ten był notorycznym gniazdem piratów, w większości argijskich, jednak w tym czasie żaden z nich nie grasował w tej części Oceanu Zachodniego. Wkrótce statek przekroczył granicę między Zingarą i Argos. Wybrzeże argijskie pozostało na wschodzie. Zgodnie z rozkazami Chabeli, kapitan Kapellez kierował się do portu, ale nie wzdłuż krętego brzegu. Dlatego też argijskie wybrzeże oddaliło się tak, że było ledwie widoczne z wierzchołka masztu.

Kurs taki przyjęto z dwóch powodów. Po pierwsze, by jak najszybciej dotrzeć do wybrzeży Shemu niedaleko Asgalun. Po drugie, by zmniejszyć ryzyko napaści ze strony piratów lub argijskich korsarzy z baz na stałym lądzie.

Jednak teraz od rana już widać było z tyłu duży, czarny okręt. Wczesnym popołudniem był już na tyle blisko, że żeglarz o najlepszym wzroku spośród załogi mógł rozpoznać jego insygnia.

— Nie ma się czego obawiać, pani — powiedział kapitan Kapellez. — Statek ten jest bowiem jedną z jednostek korsarskich w służbie Jego Królewskiej Mości. To chyba „Petrel” kapitana Zarona.

Nie uspokoiło to jednak Chabeli. Było coś złowrogiego w

stałym zbliżaniu się tego wielkiego, czarnego kadłuba. Oczywiście było też możliwe, że tamten statek szedł po prostu takim samym kursem.

Imię „Zarono” też jej nie uspokoiło. Nie знаła prawie tego człowieka poza formalnymi ceremoniami dworskimi, ale krążyły o nim złe pogłoski.

Jedna z jej przyjaciółek, pani Estellada, powiedziała, że Zarono oczarowany jest jej, Chabeli, wdziękiem. Księżniczka nie zwracała na to uwagi, gdyż było niemalże regułą, że kawalerowie z otoczenia dworskiego oczarowani byli jej wdziękiem. Zawsze istniała szansa, że jeden z nich zostać mógł królewskim małżonkiem...

Teraz jej podejrzania przybrały na sile. Był to trzeci dzień od wypłynięcia „Królowej Morza” z Kordafy i wszyscy na pewno wiedzieli już o zniknięciu księżniczki. W pałacu musiała być wielka wrzawa.

Brak jachtu koronnego w miejscu, w którym zawsze był zacumowany, musiał zdradzić sposób, w jaki opuściła stolicę. Jako że było mało prawdopodobne, by wyruszyła na północ w kierunku dzikich brzegów Kraju Piktów czy na zachód, na bezbrzeżne, niezbadane przestrzenie otwartego oceanu, oczywiste było, że musiała popłynąć na południowy wschód, wzdłuż wybrzeży kontynentu. Leżały tam: Argos, miasta — państwa Shemu i złowrogie królestwo Stygii, gdzie zaczynały się Czarne Krainy.

Zamieszanie wywołane jej zniknięciem mogło, jak sądziła, obudzić nawet króla Ferdruga z letargu, w którym pozostawał. Mógł wysłać Zarona z misją sprowadzenia zbiegłej córki z powrotem do domu.

Chabela wykrztusiła kilka uprzejmych, acz bezładnych słów

pod adresem kapitana, po czym odwróciła się i odeszła. Przemierzywszy niespokojnie pokład, oparła się łokciami o poręcz zdobną w rzeźby przedstawiające skaczące delfiny i wywijające trójzębami morskie fauny. Wpatrywała się w zbliżający się statek jak zahipnotyzowana.

„Petrel” wciąż się zbliżał, rozbryzgując wodę tępym dziobem. Przy tej szybkości, pomyślała, za pół godziny zajdzie ich od nawietrznej i przesłoni żagle „Królowej Morza”, zmuszając mniejszy statek do zatrzymania.

Chabela bynajmniej nie była ignorantem w dziedzinie żeglugi i nawigacji. W przeciwieństwie do ojca, który nie znosił morza i nigdy nie zbliżał się nawet do „Królowej Morza”, księżniczka była od dziecka prawdziwym żeglarzem. Dopiero od kilku lat, odkąd stała się dojrzałą kobietą, surowe zakazy ojca położyły kres noszeniu żeglarskich ubrań i myszkowaniu po masztach razem z marynarzami.

Księżniczka zadrżała, lecz zmusiła się, by zachować spokój. Zbliżająca się karaka jak dotąd nie dawała żadnych oznak wrogości czy złych intencji.

Zingarański korsarz musiałby chyba postradać zmysły, by zaatakować prywatny jacht własnego króla. Wtem cień padł na skąpany w słońcu pokład. Cień ten był, o dziwo, ciemnozielony: niesamowity szmaragdowy całun mistycznej grozy. Podniósłszy głowę, księżniczka nie dostrzegła niczego, co mogłoby wyjaśnić przedziwną mgłę, która spowiła już całą „Królową Morza”. Żadna chmura nie przesłaniała słońca; żaden latający potwór nie krążył nad statkiem łopocząc skrzydłami. Tymczasem całun szmaragdowej grozy okrył „Królową Morza” jakby gęstą, choć niewyczuwalną mgłą. Twarze marynarzy pobladły, a oczy zaokrągliły się z przerażenia.



Wszystkich ogarnął paniczny strach. Złowrogie, zielone macki owinęły się wokół najbliższego żeglarza, który zawył z przerażenia. Macki cienia oplotły go jak spiralne czułki jakiegoś potwora z głębin. Dziewczyna spojrzała przez moment na pobladłą twarz przepełnioną rozpaczą i młóćące na oślep kończyny. Później zielone zwoje jakby wtopiły się w jego ciało i znikły. Krzepki marynarz znieruchomiał jak posąg, a jego ciało, a nawet ubranie, przybrało zielony odcień. Wyglądał jak pomnik z nefrytu.

Chabela zaczęła wzywać Mitrę. Cały statek był masą wyjących ludzi, z szaloną bezsilnością zmagających się z oślizłymi zwojami szmaragdowej mgły, która spowijała ich i przenikała do wnętrza ciał zamieniając je w nieruchome, zielone posągi.

Później zielone macki jak sznury oplotły samą księżniczkę. Jej ciało przeszył dreszcz strachu, gdy poczuła dotyk niewyczuwalnej substancji. W tej samej chwili przeniknął ją lodowaty paraliż. Gdy macki zanurzyły się w niej, chłodny mrok ogarnął jej umysł i nie pamiętała już nic więcej.

Z przybudówki na „Petrelu” korsarz Zaronno ze źle skrywanym lękiem obserwował, jak stygijski czarnoksiężnik robi użytek ze swej magii. Nieruchomy jak mumia Stygijczyk przysiadł przed aparatem, który skonstruował, gdy statek zbliżał się do „Królowej Morza”. Składał się on z małego, przyciemnionego, kryształowego stożka ustawionego na niewysokim ołtarzyku z czarnego drewna. Ołtarzyk był kiedyś bogato rzeźbiony, jednak rzeźby były w większości zniszczone. Te, które przetrwały, przedstawiały szczegółowe wizerunki nagich istot ludzkich uciekających przed gigantycznym wężem. Oczy węża zrobione były z pary opali, lecz jeden z nich dawno wypadł z oprawy i gdzieś zginął.

W odpowiedzi na wypowiedziane szeptem zaklęcia Menkary, kryształowy stożek rozjarzył się niesamowitym blaskiem. Poświata pulsującego szmaragdowego światła spowiła urządzenie, oświetlając śniadą twarz maga, bardziej niż kiedykolwiek przypominającą trupa czaszkę.

Gdy zielone światło wciąż pulsowało, Stygijczyk trzymał przed twarzą lustro z czarnego metalu oprawione w żelazny wieniec z dwóch splecionych ze sobą potworów. Podczas gdy Zarono patrzył z rosnącym lękiem, szmaragdowe promieniowanie było przyciągane przez powierzchnię lustra, od której odbijało się na odległy pokład „Królowej Morza”. Mimo, że słaby w świetle słońca, zielony promień był łatwo widoczny, gdy przemierzał falującą przepaść między statkami. Coś działo się na karaweli, jednak Zarono z tej odległości nie widział dokładnie.

Tracąc kontrolę nad sterem, „Królowa Mórz” zgubiła kurs i miotała się trzepocząc żaglami. Zarono podprowadził statek w to miejsce. Stygijczyk uwolnił się z transu i wyczerpany oparł się o poręcz. Jego ciemna twarz przybrała kolor brudnej pościeli, a zimny pot zrosił nieprzeniknione rysy.

— Jestem wykończony — westchnął Menkara. — Ta sztuczka wyciąga z człowieka ostatnie siły. Mimo to nie jest ona żadnym wielkim czarem; łatwo można go zneutralizować, jeśli się trochę umie... Ale tamte głupie stworzenia nie mają pojęcia o tajnikach magii. Możesz tam iść, są unieszkodliwieni na godzinę.

— Czy są martwi?

— Nie, jedynie ich żywotność znajduje się w zawieszeniu. Pomóż mi wejść do kajuty.

Zarono pomógł wstać osłabionemu czarownikowi i zaprowadził go, potykającego się, do jego kajuty, a bosman zabrał ołtarzyk.

Gdy zamknął drzwi za wyczerpanym Stygijczykiem, otarł pot z czoła koronkową chusteczką. Czary może się i przydawały, ale była to przerażająca broń. On, Czarny Zarono, o wiele bardziej wolał szczęk noży, skowyt łuków i strzał, huk pocisków z katapulty i łomot taranów z brązu o burtę nieprzyjacielskiego statku. Miał na sumieniu już niejedno łajdactwo, ale przynajmniej były to zwyczajne, ludzkie grzechy, a nie bab — ranie się w ciemnych sprawach pozaziemskich sił nieczystych wymykających się spod kontroli człowieka.

— Ernando! — wrzasnął na kucharza. — Podwójny dzban wina, najmocniejszego, jakie mamy w beczkach!

W taki właśnie sposób opanowano „Królową Morza”, która za moment była już martwa. Korsarze z „Petrela” wdarli się na pokład i przenieśli skamieniałą figurę dziewczyny do nadbudówki Zarona. Inni obłożyli podstawy masztów łatwopalnymi materiałami i oblali je naftą. Następnie wszyscy wrócili na „Petrela” i odpłynęli odpychając się drągami i bosakami.

Po osiągnięciu bezpiecznej odległości, oddział łuczników wypuścił w kierunku „Królowej Morza” płonące strzały. Za kilka chwil materiały zaczęły się palić. Jeden po drugim, żagle stawały w płomieniach, a ich zwęglone kawałki leciały we wszystkie strony. Ogień ogarnął już cały statek, pochłaniając żyjących jeszcze, lecz pozostających w bezruchu marynarzy.

„Petrel” postawił znów żagle i ruszył powoli naprzód w kierunku wybrzeży Shem, zostawiając za sobą płonący wrak.

Conan stał na szczycie masztu przyglądając się grzybowi dymu, który obwieszczał koniec „Królowej Morza” i mamrotał zaklęcia do swego srogiego cymeryjskiego boga, Croma.

„Łobuz” skrył się za horyzontem po stronie północno-

wschodniej, pozostając niewidocznym z pokładu „Petrela”, choć gdyby ludziom Zaronu przyszło do głowy przyjrzeć się dokładnie morzu z tej strony, mogliby dostrzec szczyty żagli, gdy „Łobuz” unosił się na falach.

Conan obserwował zagładę koronnego jachtu Zingary z bocianiego gniazda. W żaden sposób nie potrafił wyobrazić sobie, dlaczego Zaronu miałyby atakować i niszczyć statek własnego kraju. Musiało być w tym coś więcej niż zwykły spisek, który przez zrabowanie mapy zaprowadzić miał do legendarnego skarbu. Potężny Cymeryjczyk jednak już dawno temu nauczył się odkładać na bok pytania bez odpowiedzi do czasu, gdy nowe informacje będą mogły rzucić na nie więcej światła, miast bezowocnie dumać i gryźć się nimi.

Pomyślał więc tylko, że kimkolwiek były nieznane ofiary na karaweli, pomści je przy okazji wyrównania własnego rachunku z Zaronem. Być może już niebawem nadarzy się okazja.

## ROZDZIAŁ IV

# BEZIMIENNA WYSPA

Zachodzące słońce zmieniło chmurne sklepienie nieba w baldachim ognistego przepychu. Nad ciemnymi falami rzucającymi purpurowe refleksy światła tępy, czarny dziób „Petrela” wzbijał śnieżnobiały kłęb, piany mknąc na południowy-wschód, pchany porywistym wiatrem zachodnim., W bezpiecznej odległości w ślad za nim podążał Conan na „Łobuzie”, płynąc niemal na granicy widzialności marynarzy z „Petrela” pod płomiennym, zachodzącym słońcem, a wkrótce pod przemierzającymi w ciszy niebo gwiazdami. Zarono rozłożył się w wielkim fotelu w kajucie kapitańskiej, zatopiony w rozmyślaniach nad srebrnym kielichem wysadzonym szmaragdami. Aromat mocnego shemickiego wina wypełnił obite drewnem pomieszczenie. Kołyszące się lampy, zawieszane na łańcuchach, rzucały rozedrgane światło na zmięte papirusy przyszpilone do ściany pomiędzy wręgami filarów. Światło migotało na klejnotach w rękojeściach mieczy i sztyletów, które również zdobiły ściany.

Ziemista twarz Zarona była zasepiona, a zimne, czarne oczy patrzyły w dal bez celu. Ubrany był w luźną bluzę z długimi rękawami, z przybrudzonego białego jedwabiu, z koronkowymi wykończeniami przy szyi i nadgarstkach. Jego gęste, czarne włosy były mocno zmierzwione, a on sam pochłonięty był piciem.

Słyszając lekkie stukanie do drzwi, mruknął jakieś przekleństwo i niechętnie zezwolił na wejście. Wszedł Menkara ze zwiniętą mapą w ręku. Chudy Stygijczyk zmierzył wzrokiem rozciągniętą w fotelu postać korsarza z pruderyjną dezaprobatą.

— Znowu jakieś czary? — zakpił Zarono i czknął. — Czy nie możesz choć raz pozwolić zwykłemu śmiertelnikowi oddać się rozkoszom wina, nie wpychając swej szpetnej gęby w jego myśli? No, mów, co masz do powiedzenia!

Nie reagując na ten pijacki wybuch, Menkara rozwinął mapę na stole przed Zaronem i kościstym palcem wskazał rzędy zaszyfrowanych hieroglifów, którymi zapisany był tajemniczy zwój.

— Głowiłem się nad mapą tamtego kapłana Mitry, odkąd mu ją odebraliśmy — powiedział Stygijczyk z niezwykłym, w jego zazwyczaj monotonnym i apatycznym głosie, napięciem. — Zaznaczone tu wybrzeże to bez wątpienia południowa Stygia. Mimo iż nie znam tego języka, odkryłem, że niektóre z nazw są mi dziwnie znajome. Nie dawało mi to spokoju, więc wyteżalem umysł, by rozszyfrować napisy, podczas gdy ty siedziałeś tutaj żłopiąc bez umiaru...

Zarono zarumienił się i zaczął wstawać, sięgając rękojeści miecza, Menkara jednak powstrzymał go wzniesioną dłonią.

— Powściągnij swoje emocje, człowieku. Chodzi o rzecz większej wagi. Posłuchaj, prowadziłem studia porównawcze nad językami w czasie, gdy zgłębiałem tajniki magii i wiem, że język starożytnej Waluzji, podobnie jak starostygijski i staroacheroński, zapisywany był pismem alfabetycznym, w którym każdy symbol oznaczał jeden dźwięk. W związku z tym, że część mapy ukazuje ziemie znane jako Shem i Stygia z miastami takimi jak Asgalun i Khemi, byłem w stanie

wydedukować znaczenie niektórych liter w napisach, które zdają się być nazwami tych krain. Inne napisy oznaczają prawdopodobnie nie istniejące już starożytne miasta Kamula i Python.

Dźwięk tych szatańskich nazw wywołał zimny dreszcz trzeźwości w zamroczonym umyśle Zarona. Marszcząc brwi pochylił się w przód, by lepiej słyszeć. Menkara mówił dalej:

— W ten sposób, łącząc moją wiedzę o tej starożytnej mowie z symbolami oznaczającymi znane nazwy, udało mi się w końcu odczytać napis przy tej oto wyspie, której nie widziałem jeszcze na żadnej mapie.

Zarono wlepił zmrużone oczy w punkt na mapie wskazany kościstym palcem Menkary.

— Mnie też nic o niej nie wiadomo, czarowniku. Mów dalej, jeśli łaska.

Stygijczyk ciągnął:

— Odczytałem napis odnoszący się do wyspy jako coś jakby siojina-kisua. Wygląda na to, że nazwa ta wywodzi się od starostygijskiego słowa siojina, lub przynajmniej jest mu pokrewna. Siojina w najstarszej znanej formie języka stygijskiego znaczy po zingarańsku tyle co „ta, która nie ma imienia.

Niespokojne czarne oczy Zarona, całkowicie już trzeźwe, rozjarzyły się na maskowatej twarzy koloru kości słoniowej.

— Bezimienna Wyspa — wyszeptał.

— Tak — syknął Menkara z chłodną satysfakcją w jadowym spojrzeniu.

— To kisua z całą pewnością znaczy „wyspa”, gdyż to samo słowo występuje również w odniesieniu do kilku innych wysp na mapie.

Przesunął palec na inny punkt, potem na następny.

— Przypuszczam, że w waszym pirackim rzemiośle już od dawna opowiadało się legendę o pełnej demonów Bezimiennej Wyspie, która ma być pozostałością po starożytnej Waluzji, a gdzie niszczące ruiny wciąż stoją, zaświadczać o potędze praludzi-węży.

— Wiem tylko, że żeglarze mówią o wyspie bez nazwy, na której ukryto największy skarb, jaki kiedykolwiek zebrano w jednym miejscu — rzekł Zaron.

— To prawda — powiedział Menkara — lecz jest jeszcze coś, o czym możesz nie wiedzieć. Zaiste, znajdują się tam wielkie łupy materialne. Jednak oprócz tandetnego złota i klejnotów, jak powiadają, ukryto tam również bezcenny czarodziejski skarb — autentyczny egzemplarz Księgi Skelos.

— Nie szukam żadnej przeklętej magii, tylko uczciwego złota!  
Menkara uśmiechnął się blado.

— Prawda, pomyśl jednak, o ileż łatwiej moglibyśmy przekonać najpotężniejszego czarownika świata, by pomógł lordowi Villagro zasiąść na zingarańskim tronie. Z pewnością przyjemnie byłoby mu ujrzeć wywyższenie kultu Seta nad religię Mitry. Moglibyśmy naprawdę zaskarbić sobie jego łaskę i wsparcie, składając mu w darze tak wspaniałą czarodziejski skarb, jak Księga Skelos. Jest zbrodnią przeciw świętej sztuce magicznej, że tak potężny tom starożytnej wiedzy marnieje w zapomnieniu. Uważa się, że istnieją jedynie trzy egzemplarze tego dzieła: jeden w krypcie biblioteki królewskiej akwilońskiej w Tarantii, drugi w tajemnej świątyni w Vendhyi i trzeci tutaj.

Stygijczyk stuknął w mapę paznokciem.

— Dlaczego więc, skoro ta przeklęta księga jest taka cenna, nikt jej jeszcze nie zabrał z Bezimiennej Wyspy?

— Ponieważ do momentu, w którym ujrzałem tę mapę, ani ja



sam, ani żaden inny poszukiwacz wyższych prawd nie wiedział dokładnie, gdzie leży Bezimienna Wyspa. Jak widzisz, leży ona z dala od wybrzeży Czarnych Krain i znanych nam wysp. W promieniu stu mil nie ma żadnego innego lądu, nie przebiegają też w tym rejonie żadne szlaki żeglowne. Marynarz, który na ślepo wybrałby się na poszukiwania na te bezkresne wody, mógłby bez końca przeszukiwać tę przestrzeń, a gdyby ustał wiatr, zginąłby marnie bez wody i pożywienia.

Ponadto, jak wiesz, żeglarze to naród przesądny, a ich wyobraźnia zaludniła południowe morza zabójczymi rafami i potworami-ludożercami. To nie przypadek, że Bezimienna Wyspa na długo zniknęła z ludzkiej świadomości.

— Nawet przy sprzyjających wiatrach zabrałoby nam kilka dni, by tam dotrzeć — zamyślił się Zaron, wspierając brodę dłońmi.

— Jakie to ma znaczenie? Mamy dziewczynę w bezpiecznym miejscu, a kilka dni więcej czy mniej nie robi nam żadnej różnicy. Z łapówką w postaci Księgi Skelos mamy prócz tego pewność, że uda nam się pozyskać Thoth-Amona, co bez wątplenia warte jest zwłoki. Zresztą, jak sądzę, i ty nie jesteś nieczuły na urok złota.

Błysk fanatyzmu pojawił się w beznamiętnych zazwyczaj oczach Menkary.

Zarono potarł szczękę. O ile nie obchodziła go magia, wydawało mu się, że warto byłoby uczynić wszystko, co możliwe, by pozyskać potężnego księcia czarnoksiężników dla sprawy księcia Villagra. A jeśli udałoby się mu zdobyć skarb Bezimiennej Wyspy dla siebie, niewątpliwie zyskałby nie tylko bogactwo, ale i pozycję, przywileje, poważanie.

Zdecydowanie zabłysło w ciemnych oczach Zaron. Zerwał się

na nogi i gwałtownie wypadł za drzwi kabiny wołając:

— Vancho!

— Tak, kapitanie? — odpowiedział oficer.

— Kurs prosto na południe, aż Gwiazda Południa będzie jedynym widocznym punktem nad horyzontem!

— W otwarte morze, sir? — spytał Vancho z niedowierzaniem.

— Słyszałeś, co powiedziałem, niech cię diabli! Wprost na południe!

Zaterkotały bloki, zafurczały liny, gdy reje „Petrela” obróciły się, by okręt poszedł prawym halsem na południe, a jego tępy dziób płynnym ruchem przyjął nowy kurs przez rozświetlone gwiazdami morze.

Menkara wrócił do swojej kajuty, by jeszcze raz przyjrzeć się mapie. Płonął żądzą zdobycia starej, złowrogiej wiedzy. Mając Księgę Skelos Thoth-Amon stałby się wszechmocny. Osadzenie Villagra na tronie byłoby błahostką — wielki stygijski czarnoksiężnik mógłby nawet kontrolować imperium całego świata. A kiedy synowie Seta panowałiby nad wszystkimi krajami, czegoż by odmówiono ojcu Menkarze, który uczynił to wszystko możliwym?

Conan w zamyśleniu śledził światła „Petrela”, gdy ten zmieniał kurs z południowo-wschodniego na południowy. Nie wiedział nic ani o obecności Chabeli na pokładzie „Petrela”, ani o spisku Villagra czy ambicjach Menkary. Wiedział tylko — lub przynajmniej tak sądził — że Zarono zabrał mapę Ninusowi, a teraz płynął na Bezimienną Wyspę po skarb. Nie był jednak w stanie odgadnąć przyczyny nagłej zmiany kursu.

Olbrzymi Cymeryjczyk zlął z masztu po wantach z małą zręcznością.

— Zeltran!

— Tak, kapitanie?

— Sześć rumbów na sterburtę! Postawić żagle do prawego halsu! Trzymać się świateł „Petrela”!

— Tak jest. Brasy sterburty ciągnij!... Ster na bakburtę! Brasy lewej burty równaj!... Ster na wiatr! Wyprostuj!... Trzymaj kurs!

Conan stał bez słowa przy poręczy nadbudówki, podczas gdy „Łobuz” brał nowy kurs na nieznane wody. Gdy oddalili się od wybrzeży kontynentu, nie mieli możliwości określenia swojego położenia inaczej niż przy pomocy Gwiazdy Południa, która w bezchmurne noce mogła powiedzieć im, jak daleko posunęli się na północ lub południe. Dobrze by było, gdyby Zarono wiedział, dokąd płynie. Gdyby zgubił się na bezkresnej równinie morza, zgubiłby również „Łobuza”.

Według wiedzy Conana, bezmiar połyskującej przed nimi wody prowadził wprost do krawędzi świata. Co mogło leżeć za nią — nie miał pojęcia. Stare legendy opowiadały o bajkowych wyspach, obcych kontynentach, nieznanymi narodach i niesamowitych potworach.

Legendy te mogły być prawdziwe. Nie minął jeszcze rok od czasu, gdy na tym samym „Łobuzie” płynął z jego poprzednim kapitanem, małomównym Zaporavo, na nieznaną wyspę na Zachodzie, gdzie Zaporavo i kilkunastu członków zingarańskiej załogi spotkali swe przeznaczenie. Niewiele rzeczy w pełnym przygód życiu Conana było dziwniejszych i budziło większą grozę niż Szmaragdowa Toń i nieludscy mieszkańcy tej wyspy. Teraz, jak sądził, był w drodze ku może jeszcze straszliwszym niebezpieczeństwom.

Wziął głęboki oddech i wybuchnął gwałtownym śmiechem. Na Croma! Człowiek raz tylko umiera, więc na cóż zdadzą się brednie o wymagowanych niebezpieczeństwach? Wystarczy

pokonać strach, gdy je spotkasz, ze stałą w dłoni i szalem bitewnym w sercu. Mógł zmierzyć się z losem również na Bezimiennej Wyspie, która leżała przed nim gdzieś na krawędzi świata.

## ROZDZIAŁ V

# NA KRAWĘDZI ŚWIATA

Całą noc dwa okręty mknęły po ciepłych południowych falach. O świcie „Łobuz”, tak jak robił to od pięciu dni, zwinął żagiel i został nieco z tyłu, by w coraz jaśniejszym świetle nie dostrzeżono go z „Petrela”. Z nadejściem nocy, gdyby nie dotarli jeszcze do Bezimiennej Wyspy, łatwo nadrobią stracony czas, gdyż smuklejszy kadłub i lepiej wyprofilowany dziób „Łobuza” dawał mu przewagę w szybkości nad mniej opływowym, masywniejszym „Petrelem”. Tymczasem ostra dziobnica „Łobuza” pruła niekończące się błękitno-zielone pagórki. Latające ryby wyskakiwały przed, statkiem wysoko w górę, szybowwały w powietrzu na pół strzału z łuku i znów nurkowały w morzu. Od momentu wzięcia kursu na południe żaden statek nie zjawił się w zasięgu wzroku jednej czy drugiej załogi.

Wkrótce na bezchmurnym niebie pojawiło się kilka małych obłoków. „Petrel” skrzył sterburtę i po kilku godzinach zza horyzontu pod obłokami wyłoniła się wyspa.

Zarona stał zamyślony na przednim pokładzie i przyglądał się nieznanej wyspie. Nie wyglądała wcale groźnie z brunatnym piaskiem plaży i wysokimi smukłymi palmami o szmaragdowych liściach. Nikt nie mógł wiedzieć, co kryje się za zasłoną palmowych pni.

Menkara, w pelerynie zarzuconej na chude ramiona, dołączył do Zarona.

— To ta wyspa — rzekł beznamiętnie.

Zarono odsłonił białe zęby w uśmiechu.

— Tak, kapłanie, to ona. Ale zajmijmy się skarbem: jak jest strzeżony? Duchy, demony, czy tylko kilka smoków? Liczę na twoją nadprzyrodzoną siłę, że uchroni nas ona przed niebezpieczeństwem, gdy będziemy łupić grobowce, krypty i co tylko... Vancho! Steruj do tej zatoki, jeśli okaże się dość głęboka.

Kwadrans później zakomenderował:

— Rzucić kotwicę! Podciągnąć żagle! Vancho, spuść pierwszą szalupę i wybierz grupę rozpoznawczą. Najsilniejszych i dobrze uzbrojonych!

Spuszczono z wielkim hałasem łódź i tuzin Zingaran ze szczękiem broni kolejno zeszło po linach, by zająć miejsca na ławach. Następnie odpłynęli w kierunku plaży. Gdy łódź zaryła dziobem w piasek, wyskoczyli tłocząc się, by wciągnąć ją dalej na brzeg. Na rozkaz bosmana rozeszli się po plaży, czujnie rozglądając się po palmach, każdy z wyciągniętym mieczem i palcem na spuście kuszy. Kilku z nich zniknęło na chwilę między drzewami, by pojawić się znowu, dając znak w kierunku „Petrela”, że wszystko w porządku.

— Spuścić drugą łódź — powiedział Zarono.

Razem z Menkarą i jeszcze ośmioma ludźmi zajęli swoje miejsca. Vancho pozostał na pokładzie.

Druga łódź dotarła do brzegu bez przeszkód — Zarono przeprowadził przegląd załogi, a po kilku minutach razem z Menkarą i większą częścią desantu zniknął między palmami. Przy łodziach pozostało trzech korsarzy: smagły Shemita z haczykowatym nosem, olbrzymi Murzyn z Kush i łysy Zingaranin o czerwonej twarzy.

Wszystko to Conan obserwował z wielką uwagą ze szczytu

masztu „Łobuza”. Jego statek, ze zwiniętym fokiem, znajdował się tuż za linią horyzontu, wznosząc się i opadając niespokojnie na podłużnych falach oceanu.

Przez jakiś czas grupa Zaroni mieczami torowała sobie drogę przez gęste poszycie tropikalnego lasu. Wokół panowała cisza, nie licząc stękania i sapania strudzonych ludzi i odgłosów mieczy i maczet rąbiących łodygi pnączy i drzewek oraz szelestu liści podczas przedzierania się piratów przez dżunglę.

Powietrze było gorące i parne. Pot lśnił na muskularnych ramionach, nagich torsach i czołach pokrytych bliznami. Zapach rozkładającej się roślinności mieszał się z wonią egzotycznych kwiatów, które odbijały się czerwienią, purpurą i bielą na tle ciemnej zieleni lasu.

Zarono wyczuł jednak jeszcze inny zapach. Sporo czasu minęło, nim zdołał go rozpoznać. Zorientował się wreszcie, z dreszczem obrzydzenia, że to piżmowy odór węży. Tłumiąc przekleństwo, przycisnął do nozdrzy złocone pachnidło, z którego wydobywał się ostry zapach kawałków skórki cytrynowej i cynamonu. Mimo kojącej woni wciąż wyczuwał odór węży. Zastanowiło go to. W swej pirackiej karierze odwiedził wiele małych wysepek oceanicznych, ale żadna z nich nie była zamieszkiwana przez węże.

Żar lał się z nieba, a gęsto rosnące palmy, obwieszane pętlami splątanych, bujnych lian, odcinały dopływ świeżej morskiej bryzy. Ociekając potem, Zaroni czujnymi, czarnymi oczyma omiótł otaczającą ich roślinność, po czym rzekł do Menkary:

— Oprócz tego przekłętego smrodu węży, Stygijczyku, nie widzę nic groźnego w tej twojej Bezimiennej Wyspie.

Menkara uśmiechnął się blado.

— A więc naprawdę nic nie zauważyłeś?

Zarono wzruszył ramionami.

— Poza odorem i upałem — nic. Spodziewałem się nadprzyrodzonej grozy, więc jestem zawiedziony. Żadnych duchów, zjaw, nawet jednego nieboszczyka wstającego z grobu, mamroczącego z pianą na ustach!

Menkara posłał mu chłodne, filozoficzne spojrzenie.

— Jakże tępe są zmysły ludzi z Północy! Czy nawet nie czujesz ciszy?

— Hm — mruknął Zarono. — Teraz, gdy o tym wspomniałeś...

Zimny dreszcz przebiegł po jego ciele. Dżungla w rzeczy samej była złowieszczo cicha. Co prawda nie można spodziewać się wielkich bestii na małych wysepkach, niemniej jednak powinno się słyszeć trzepot ptasich skrzydeł, szelest przemykających jaszczurek i krabów lądowych i szum poruszanych wiatrem palmowych liści nad głową. Nie było jednak zupełnie nic słyhać, jakby dżungla wstrzymała oddech i obserwowała ich niewidzialnymi oczami.

Zarono zaklął, lecz nie dał się ponieść emocjom. Zajęci wycinaniem drogi w gęstwinie ludzie niczego jeszcze nie zauważyli. Zarono dał Menkarze znak nakazujący milczenie i ruszył za swoją załogą w las. Uczucie, że jest obserwowany, nie opuściło go jednak.

Okolo południa korsarze dotarli do celu. Było w tym coś dziwnego: przedzierając się przez gęste chaszczce, nagle znaleźli się na otwartej przestrzeni. Dżungla skończyła się jak nożem uciął, jak gdyby roślinność nie ośmielała się przekroczyć niewidzialnej granicy. Poza tą niedostrzegalną, owalną barierą, rozciągała się płaska, piaszczysta ziemia, na której z rzadka rosły kępy przywiędłej, spłowiełej trawy. Menkara i Zarono wymienili znaczące spojrzenia.



Pośrodku tej martwej strefy wznosiła się tajemnicza budowla, którą mieli zamiar splądrować. Zarono nie potrafił odgadnąć przeznaczenia owego gmachu. Mógł to być równie dobrze grobowiec, jak i kaplica, świątynia, czy też magazyn. Przysadzisty, ciężki budynek z czarnego, matowego kamienia, jak gdyby pochłaniał całe padające na niego światło, tak że trudno było dostrzec jego kontury.

Kształt budynku zbliżony był do sześcianu, ale jego powierzchnie nie były po prostu kwadratami, lecz stanowiły zbiór wielu nieregularnych płaszczyzn i linii skierowanych we wszystkie strony. Cała budowla była asymetryczna, tak jakby każda jej część zaprojektowana została przez innego architekta, lub jakby złożono ją z kilkadziesiątu przypadkowo dobranych części pochodzących z różnych krain i epok.

Czarna świątynia — jeśli nią była — ukazywała się ich oczom w zamglonym świetle. Zarono poczuł lodowate dotknięcie strachu, jakiego nigdy przedtem nie doświadczył. Aura grozy promieniująca z niskiej, czarnej bryły odebrała odwagę nawet temu twardemu zbójowi o stalowych nerwach. Wpatrywał się w budowlę mrużąc oczy, starając się odkryć źródło grozy, która przyspieszała jego oddech i kazała sercu łomotać tak mocno.

Coś było nie w porządku z tą świątynią. Jej styl nie przypominał niczego znanego mu z jego dalekich podróży. Nawet nawiedzane przez krwiożercze duchy grobowce Stygii nie były tak niesamowite, jak ten nieregularny blok czarnego kamienia. Wyglądał, jakby budowniczowie kierowali się zasadami własnej, nieludzkiej geometrii, pozaziemskimi kanonami proporcji i kształtu.

Na pobladłej twarzy Menkary perliły się krople potu. Mruczał on jakby do siebie:

— Tak jak myślałem. Odbывwała się tu Ceremonia Z'thouma — zadrżał. — Nie sądziłem, że ten ponury rytuał mógł mieć miejsce w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat...

— O co chodzi, tchórzliwy psie? — warknął Zarono, zirytowany własnym strachem.

Stygijczyk zwrócił na niego szeroko rozwarte oczy.

— Czar ochronny — wyszeptał — bardzo potężny. Gdyby tylko jakiś głupiec zechciał zbliżyć się w okolice świątyni nie znając kontryzaklęcia, jego obecność obudziłaby śpiące teraz czary.

— Czy znasz to kontryzaklęcie?

— Dzięki niech będą Ojcu Setowi, znam. Niewiele wiadomo o praczłowiecznych ludziach — węzach z Waluzji. Jednak moja odrobina wiedzy pozwala mi ukuć ów przeciwczar, choć nie potrafię go długo utrzymać.

— Mam nadzieję, że wystarczająco długo, by złupić to czarne coś — burknął Zarono. — Najlepiej będzie, jeśli zabierzesz się do dzieła, człowieku.

— Wróćcie więc do lasu i nie patrzcie w tę stronę — rzekł Menkara.

Zarono zebrał korsarzy i poprowadził ich z powrotem w zarośla, gdzie zbili się w gromadę, stojąc plecami do polany. Z zaciśniętymi ustami słuchali, jak głos Menkary wymawia zaklęcia w nieznanym języku. Co jeszcze robił, nie wiedzieli. Wydawało się jednak, że światło przenikające przez listowie migocze, jakby cienie przepływały tam i z powrotem nad ich głowami. Głos Stygijczyka był jak gdyby powtarzany z wysokości, echem jakichś nieziemskich głosów mówiących suchym, zgrzytliwym tonem, jakby ich narządy mowy nie były przystosowane do ludzkich języków. Ziemia drżała z lekka, a światło było zaćmione, jak gdyby przesuwająca się chmura

przesłoniła słońce...

Wreszcie Menkara zawołał słabym głosem:

— Do mnie!

Zarono zauważył, że Stygijczyk wygląda, jakby się raptownie postarzał i przygarbił.

— Pospiesz się — wymamrotał mnich — kontrzakęcie nie będzie działać długo.

Błazi i złani potem Zarono i Menkara weszli do świątyni. Nie było tam prawie żadnego światła, oprócz smugi wpadającej przez otwarty portal; jednak czarny kamień pochłaniał to światło, nie dając prawie żadnych odbić.

W dalszym końcu nieregularnego pomieszczenia wznosił się ogromny, czarny ołtarz, na którym zasiadał bożek z szarego kamienia. Bożek był istotą łączącą w sobie cechy męczyzny i ropuchy, z przesadnie wyeksponowanym męskim przyrodzeniem. Z nadętą, pokrytą brodawkami skórą, jak ropucha rozsiadł się na ołtarzu. Powierzchnia szarego kamienia robiła wrażenie szorstkiej i pokruszonej, jak gdyby skała sama rozkładała się i liniała.

Bezzębne usta bożka były lekko rozchylone w beznamietnym grymasie uśmiechu. Para otworów nad ustami wyobrażała nozdrza, nad którymi umieszczono rzędem siedem okrągłych klejnotów obrazujących oczy. Klejnoty blado odbijały światło wpadające przez portal.

Zarono zadrżał, wyczuwając kosmiczne zło promieniujące z rzeźby i oderwał od niej oczy. Przed ołtarzem leżały dwa małe, skórzane worki. Z jednego z nich, rozprutego na szwie, wysypała się błyszcząca strużka klejnotów, tworząc na kamiennej posadzce kałużę drogocennych kuleczek, świecących w mroku jak gwiazdozbiór oglądany przez lukę między chmurami.

Pod workami klejnotów leżała ogromna księga, oprawiona w skórę jakiegoś gada, wyposażona w klamry i zawiasy z brązu, pozieleniałe ze starości. Do rozmiarów gada, z którego skóry zrobiona była oprawa, od wieków już nie dorastały żadne ziemskie stworzenia.

Dwaj mężczyźni bez słowa spojrzeli na siebie triumfująco. Zarono uniósł rozpruty worek ostrożnie, by nie uronić już ani jednego kamienia. Ułożywszy go na zgiętym ramieniu, wolną ręką podniósł drugi worek. Menkara rzucił się na księgę, podniósł ją i przycisnął do piersi. Jego koścista twarz zarumieniła się, a oczy zaszyły mgłą uniesienia.

Bez słowa, nie oglądając się za siebie, wymknęli się ze świątyni, prawie biegnąc przemierzyli polanę i dołączyli do korsarzy, którzy z niepokojem oczekiwali ich na skraju dżungli.

— Z powrotem na statek i odpływamy! — powiedział Zaron.

Wszyscy pospieszyli z powrotem wyrąbanym uprzednio szlakiem, chcąc jak najszybciej opuścić siedlisko starożytnego zła, nad którym wciąż unosiły się przeklęte moce i wrócić do czystego powietrza i błogosławionego słońca oświetlającego otwarte morze.

## ROZDZIAŁ VI

---

# PŁONĄCE OCZY

Księżniczka Chabela przeszła od trwogi i gniewu do względnego spokoju. Nie wiedziała, dlaczego zdrajca Zarono zwrócił się przeciw swemu suwerenowi, zniszczył królewski statek i dlaczego ją uwięził. Nie była już jednak sparaliżowana strachem, gdyż jej ręce były wreszcie wolne. Zarono zamknął ją w małej kajucie z rękami związanymi na plecach kawałkiem jedwabnego szala. Cienki, szkarłatny jedwab nie wyglądał na nadający się do wiązania, jednakże Zarono nauczył się od wędrownego szarlatana z Yendhyi sztuki wiązania linki w taki sposób, by węzeł mógł się oprzeć najzręczniejszym palcom, a szkarłatna tkanina, mimo swej lekkości, wydawała się mocna jak rzemień. W porach posiłków Zarono osobiście przychodził do kajuty, by rozwiązać jej ręce, a później ponownie związać. Odmawiał odpowiedzi na jej pytania.

Chabela miała jednak ukryty za paskiem mały nożyk. Bardzo wiele wysoko urodzonych zingarańskich kobiet nosiło przy sobie takie ostrze, którym w razie zagrożenia brutalnym gwałtem można było odebrać sobie życie.

Pomysłowa dziewczyna wykorzystała jednak swą broń w innym celu. Naciągając i napinając się zdołała wyczuć wybrzuszenie, pod którym ukryty był nożyk i wypchnąć go stamtąd. Następnie zaklinowała rękojeść we wgłębieniu drewnianego obramowania stanowiącego parapet pod lukiem.

Udało jej się zdjąć pochwę z noża i odwróciwszy się do niego plecami, przycisnęła mocno nadgarstki do obnażonego ostrza.

Zadanie było trudne, gdyż z tak bliska nic za sobą nie widziała, toteż od czasu do czasu piekący pocałunek ostrej jak brzytwa stali przypalał jej podrażnione ciało. Zanim przecięła jedwab, nadgarstki były całe we krwi. W końcu jednak więzy pękły.

Chabela wzięła nóż, włożyła go do pochwy i schowała znów za pasem. Jedwabną tkaniną, teraz w dwóch kawałkach, zabandażowała liczne powierzchowne ranki, które sama sobie zadała.

Będąc już wolna nie wiedziała jednak, jak wolność tę wykorzystać. Zarono opuścił statek, podsłuchiwała jego ostatnie rozkazy. Na pokładzie pozostała tylko część załogi, lecz Chabela wiedziała, że krzepki marynarz stoi na posterunku przed drzwiami jej kajuty, które zresztą na wszelki wypadek zaryglowane były od zewnątrz.

Pozostał więc tylko luk wychodzący na turkusowe morze, pasek kremowej plaży i strzępiaste palmy uderzające smaragdowymi liśćmi w czysty błękit nieba.

Na szczęście Chabela była daleko silniejsza, odważniejsza i dzielniejsza niż większość wydelikacych, nobliwych młodych dam zingarańskiego dworu. Najwyżej kilka z nich ośmieliłoby się przedsięwziąć to, co w chwilę później zrobiła księżniczka. Otóż otworzyła ona okienko i założyła za pasek rąbek sukni, która sięgała jej teraz do połowy ud. W dole, kilka sążni pod lukiem, leniwe fale wznosiły się i opadały.

Chabela spokojnie przesunęła się przez otwór, opuściła się w dół, zawisła na rękach i puściła krawędź luku. Uderzyła w wodę stopami z cichym pluskiem, zniknęła pod powierzchnią, lecz zaraz znów wynurzyła się wypluwając wodę i odgarniając gęste,

czarne włosy z twarzy. Woda, choć nie zimna, była jednak chłodniejsza od gorącego, parnego powietrza, a jej chłód przeszył na wskroś księżniczkę. Sól wżerała się w jej skaleczenia.

Chabela nie miała czasu, by rozkoszować się chłodnymi objęciami morza. W każdej chwili marynarz beczynnie oparty o poręcz mógł ją zauważyć i podnieść alarm. Nad nią wznosiła się wysoka rufa statku, z kratkami okienek. Wyżej, na tle nieba, kołysały się łagodnie poręcze tylnego pomostu i ożaglowane maszty. Z pewnością jeden z żeglarzy ustawiony był na posterunku gdzieś na tylnym pomoście, na razie jednak nad balustradą nie widać było żadnej głowy. Jeżeli będzie trzymać się za statkiem, mniejsza będzie szansa, że zostanie zauważona, niż gdyby płynęła przy burcie, gdzie znalazłaby się w polu widzenia marynarzy na śródokręciu i dziobie.

Płynęła długo. By pozostać niezauważoną, płynęła na plecach. Pozwalając, aby jedynie twarz wynurzona była nad powierzchnię, posuwała się równoległe do plaży, by nadbudówka rufy stale znajdowała się między nią a resztą statku. Gdy się zmęczyła, pozwalała unosić się falom, wiosłując ospale rękami.

W końcu kadłub „Petrela” zmałał na tyle, że postacie ludzi na pokładzie były ledwie widoczne. Chabela odwróciła się w kierunku „brzegu i popłynęła szybko.

Wreszcie, drżąc z wyczerpania, poczuła piaszczyste dno i wyczołgała się na żółto-szarą plażę. Przeszła jeszcze parę kroków, by znaleźć się w cieniu palm, gdzie usiadła wśród bujnych paproci odpoczywając.

Pomyślała, że może wpadła z deszczu pod rynnę, gdyż nie wiedziała, jakie niebezpieczeństwa mogą kryć się na wyspie. Nawet jeśli nie spotka ją nic innego, może równie dobrze natknąć

się na Zarona i jego łajdaków. Pokładając jednak wiarę w Mitrze wierzyła, że tutaj jest w lepszej sytuacji, niż gdyby pozostała w rękach swych wrogów na statku.

Gdy odzyskała już siły, wstała i rozejrzała się wokół, by zdecydować, w którą stronę pójść. Krzywiła się z bólu, gdy kamyczki i gałązki wpijały się w jej bose stopy, jako że w ostatnich latach nie miała zbyt wiele okazji, by chodzić boso. Morski wiatr świszczący między palmami ziębił jej wilgotną odzież, aż dziewczyna zaczęła kichać. Niecierpliwie odpięła pasek i ściągnęła suknię przez głowę. Popołudniowe słońce przebijające się między pniami palm rosnących wzdłuż plaży rzucało smugi światła na jej zdrową, namaszczonej olejkami skórę i doskonałe kształty.

Chabela wycisnęła resztki wody z sukni, którą następnie rozłożyła na liściach, by wyschła. Później odcięła nożem wąski pasek z brzegu, przecięła na pół i owinęła nim stopy.

Gdy suknia wyschła, włożyła ją ponownie, opuszczając rąbek tylko do kolan. Odzyskawszy siły wyruszyła zbadać okolicę, trzymając nożyk w zaciśniętej dłoni. Nie był to wprawdzie miecz, lecz był lepszy niż nic.

Gdy weszła w głąb wyspy, gorąca dżungla zamknęła się wokół niej. Słodkawy zapach gnijącej roślinności i tropikalnych kwiatów drażnił jej nozdrza. Szorstkie pnie, ostre jak piła łądygi liści palmowych i kolczaste liany czepiały się i darły jej szaty, powodując również długie, czerwone zadrapania na ramionach i nogach.

Dalej w głębi wyspy poszycie przerzedzało się nieco, za to zaniepokoiła ją tajemnicza cisza. Wydawało się, że wiatr tu nie dociera. Serce zabiło jej mocniej.

Potknęła się o korzeń i upadła. Wstała z trudem, lecz znów się



potknęła. Za trzecim razem zdała sobie sprawę, że zbliża się do kresu swej wytrzymałości. Musiała zmusić obolałe kończyny, by niosły ją dalej.

Nagle jakaś silna postać pojawiła się na ścieżce przed nią. Był to ciemny stwór z płonącymi oczami. Krzyknęła starając się odskoczyć, lecz upadła znowu. Stwór rzucił się w jej kierunku.

Conan w zamyśleniu wpatrywał się w morze. Widział „Petrela” Zarona zakotwiczonego w zatoce. Odezwał się do Zeltrana:

— Moglibyśmy podpłynąć i opanować go; na pokładzie jest tylko część załogi. Zarono miałby wtedy odcięty odwrót. No i co powiesz? — Cymeryjczyk posłał towarzyszowi pełen zapachu uśmiech, jakby już wchodził na pokład nieprzyjacielskiego statku, gotów wyciąć w pień załogę „Petrela” swym olbrzymim brzeszczotem.

Zeltran potrząsnął głową.

— Nie, kapitanie, nie podoba mi się ten pomysł.

— Dlaczego? — parsknął Conan. Porywczy atak odpowiadał jego barbarzyńskiej naturze, jednak podczas licznych przygód na lądzie i morzu nauczył się ostrożności. Wiedział, że dzielny mały Zingaranin, mężny w boju, był zarazem rozważny i praktyczny; był sprytnym doradcą, którego warto było wysłuchać.

Zeltran zwrócił bystre czarne oczy na Conana.

— Nie wiemy, kapitanie, ilu ludzi Zarono zostawił na pokładzie. Jego załoga jest liczniejsza niż nasza i ci, którzy pozostali, mogą wciąż mieć nad nimi przewagę.

— Na Croma! Sam dam radę połowie tych drani!

Oficer potarł dłonią kilkudniowy zarost na podbródku.

— Bez wątpienia, kapitanie, wart jesteś tuzina nieprzyjaciół.

Jednak reszta naszej załogi nie będzie walczyć z taką zaciekłością.

— Dlaczegoż to?

— Załoga Zarona to sami Zingaranie i korsarze. Nasi ludzie nie będą chcieli przelewać krwi swych braci bez bardziej przekonującego powodu niż ten, który jesteśmy w stanie im podać. Poza tym „Petrel” jest statkiem większym, ma wyższe burty, łatwo więc byłoby im bronić się przed nami. A czy zauważyłeś tę katapultę na przednim pomoście?

Nie, kapitanie, jeśli dobrze cię zrozumiałem na początku tej wyprawy, przypłynęliśmy tutaj po skarb, a nie dla przyjemności walki, której rezultat jest zresztą bardzo wątpliwy. Wracając jednak do skarbu, wydaje mi się, że najrozsądniejszym rozwiązaniem będzie opłynięcie wyspy i wysadzenie grupy ludzi po jej drugiej stronie. Grupa ta spróbowałaby dotrzeć do skarbu przed łajdakami Zarona. Gdyby nam się to nie powiodło, będziemy mogli policzyć, ilu ludzi Zarono zabrał ze sobą na ląd i przemyśleć naszą szansę, gdybyśmy chcieli napaść na nich i odbić łup. Zważywszy argumenty Zeltrana Conan uległ im, choć nie leżało to w jego naturze.

— Opłynąć wyspę od północy! — zakomenderował ponuro. — Dalej, brasować reje! Ustaw żagle do prawego halsu!

Koniec końców, nie był już samotnym, szalonym wojownikiem, mogącym dowolnie kłaść na szali swoje życie. Mając pod sobą ludzi, musiał zważać na ich bezpieczeństwo, potrzeby i kaprysy jak na swe własne. Wciąż jednak czasami ogarniała go tęsknota za wolnością dzikich, beztroskich lat, które były już za nim.

Kilka godzin później „Łobuz” rzucił kotwicę po wschodniej stronie wyspy, gdzie niewielki przylądek zapewniał ochronę

przed niespodziewanym atakiem od północy. Conan opuścił dwie szalupy z uzbrojonymi ludźmi, którzy zaczęli wiosłować do brzegu po iskrzącej się w słońcu wodzie. Po chwili dobili do brzegu i wyciągnęli łodzie na żółto-szary piasek poza zasięgiem przypływu.

Uderzając sztyletem o cholewę buta, olbrzymi Cymeryjczyk groźnie rozglądał się po mokrym, ciemnym piasku i milczącej, zielonej ścianie roślinności. Wyspa wyglądała dziwnie ponuro i była zacieniona, mimo że całe morze wokół skąpane było w ostrym, tropikalnym słońcu.

Szalupy zabezpieczono, zostawiając na straży dwóch krzepkich korsarzy. Conan i reszta załogi zanurzyli się w ścianę liści palmowych i paproci, znikając z pola widzenia.

Conan i jego oddział dotarli wreszcie do owalnej polany w dżungli. Strefa martwej trawy i gołej ziemi była blado oświetlona. Z krawędzi lasu Conan lustrował wzrokiem pustą przestrzeń marszcząc brwi. Nie dostrzegł żadnych oznak życia, jednak i dżungla, i przysadzista czarna świątynia ukrywać mogły przyczajonego wroga.

Co do świątyni, zupełnie nie przypadła ona Conanowi do gustu. Nastrój czającego się niebezpieczeństwa obudził w nim czujność. Włosy na jego karku najeżyły się, a ciężkie, czarne brwi rzucały cień na oczy koloru wulkanicznego błękitu. Nie miał wątpliwości, że tajemnicza czarna bryła nie była dziełem rąk ludzkich.

Pomyślał, że być może był to twór legendarnych ludzi-węży z Waluzji. Oszłamiająca geometria, niewyraźne; na pół wytarte ornamenty, strefa gołej ziemi i martwej, z rzadka rozsianej trawy — to wszystko przypominało mu podobną konstrukcję, — którą

dawno temu widział na rozległych łąkach Kush. Tamta też była dziełem wymarłej dawno rasy praludzi.

Instykt podpowiedział mu, żeby trzymać się z daleka od tego posępnego miejsca i niskiej budowli. Był jednak pewny, że wewnątrz ukryte było to, po co tu przybyli. Mruknął więc do swych ludzi:

— Pozostańcie w ukryciu i bądźcie czujni.

Rozluźniając miecz w pochwie wyszedł z dżungli i szybkim krokiem przemierzył martwą polanę. W mgnieniu oka zanurzył się w ziejącą czeluść tajemniczej twierdzy, niknąc z pola widzenia swych towarzyszy.

Nie zważając na cmentarny chłód, jaki uderzył go po przejściu przez portal, przekradał się ostrożnie do środka wyciągając miecz. Jego błyszczące oczy omiotły kamiennego bożka-ropucha rozpartego na szczycie ołtarza i spoczęły na posadzce przed cokołem. Zatrzymał się.

Nie wiadomo, jaki skarb był tu ukryty, jednak już go nie było. Ktoś zabrał go nie tak dawno. Podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu, w której widać było dwa rodzaje odcisków stóp wchodzących i wychodzących. Jedne obute były w buty żeglarskie, drugie w sandały.

„Zarono i ktoś jeszcze” — pomyślał Conan. Podłużna przestrzeń przed ołtarzem wolna była od kurzu, poza pyłem naniesionym przez powłóczące stopy. W obrębie czystego prostokąta leżało kilka klejnotów, migocząc w miejscach, gdzie upadły z rozprutego worka. Zarono w pośpiechu nie chciał już ich zbierać.

Cisnąwszy przekleństwo, Conan zrobił parę kroków w przód, zamierzając zebrać pozostałą garść kamieni. Do furii doprowadzało go odgrywanie roli szakala, jednak za nic nie

odszedłby z pustymi rękami.

Zatrzymał się znowu. Kamienny bożek poruszył się. Siedmioro oczu ułożonych w rzędzie nad szerokimi ustami pozbawionymi warg przestało być tylko matowymi, przykurzonymi, kryształowymi kulkami: zapaliły się w nich zielone płomienie, oświetlając Cymeryczyka blaskiem zimnej, bezlitosnej wściekłości.

## ROZDZIAŁ VII

### ROPUCH

Na Croma! To żyje! — pomruk zdumienia wyrwał się z piersi Conana. Poczł napięcie, gdy dreszcz nadprzyrodzonej grozy przeczucia przyprawił jego serce o łomot. W rzeczy samej, chropawy kamienny bożek pełen był upiornych oznak życia. Nabrzmiące kończyny rozprostowały się. Wlepiwszy płonące oczy w swą ofiarę, bożek pochylił się do przodu na piedestale i przeleciał przez jego krawędź, lądując z trzaskiem na kamiennej posadzce w miejscu, gdzie leżały błyszczące klejnoty. Czteropalczaste kończyny przednie zamortyzowały upadek i nie zatrzymując się, stwór ruszył niezdarnie, lecz z zadziwiającą prędkością w kierunku Conana. Jego kamienne nogi zgrzytały i drapały posadzkę. Był wielki jak bawół, a siedmioro zielonych, świecących oczu znajdowało się na wysokości oczu ofiary. Conan zaczął wywijać mieczem, jednak przyszła mu do głowy rozsądniejsza myśl. Sądząc po odgłosach, jakie wydawał poruszając się, bożek wciąż był zbudowany z kamienia, nawet jeśli ten kamień żył. Stał nic by tu nie zdziałał. Cięcie jedynie zniszczyłoby ostrze i zaprowadziłoby go w rozdziawioną paszczę. Zanim bezwargie szczęki zdołały go pochłonać, Conan odwrócił się na pięcie i wyskoczył na polanę. Ostrożność była już zbędna, wrzasnął więc:

— Wracamy na statek, szybko!

Okrzyki zdziwienia i trwogi wydarły się z ust marynarzy

stłoczonych na krawędzi polany, gdy we wrotach świątyni ujrzeli ropucha podążającego tuż za Conanem. Powtórna komenda nie była już potrzebna. Wśród trzepotu liści palmowych i trzasku łamanych krzewów grupa korsarzy wzięła nogi za pas. Za nimi, z prędkością biegnącego mężczyzny, kłusował kamienny potwór. Conan zwolnił na chwilę i upewniwszy się, że uwaga ropucha skoncentrowana jest właśnie na nim, rzucił się w innym kierunku, pociągając go za sobą.

— A cóż to? Dziewka? Tutaj? Na piersi Ishtar i brzuch Dagona, ta przeklęta wyspa kryje więcej niespodzianek, niż mogłem sądzić.

Głos ludzki, choć nieco szorstki, mówiący po argijsku z silnym akcentem, przestraszył Chabelę, lecz zaraz ją uspokoił. Łapiąc oddech, ujęła rękę, którą wysoka postać przed nią wyciągnęła, by pomóc jej wstać. Mężczyzna mówił dalej:

— Już dobrze, dziewczeczko, czy cię przestraszyłem? Niech mnie usmażą, jeśli miałem taki zamiar. Jak przybyłaś na to zakazane miejsce na krańcu świata?

Początkowy przestrah ustąpił. Chabela zauważyła, że mężczyzna, który ją nastraszył, był mocno zbudowanym, młodym olbrzymem o jasnych włosach, odzianym w podniszczony strój żeglarski. Nie był to żaden ze zbójów Zaronu, lecz poczciwie wyglądające chłopisko o jasnej cerze przyrumienionej opalenizną, budzących zaufanie niebieskich oczach, nie strzyżonej czuprynie i ognistej, rudej brodzie. Człowieka północy, pomyślała.

— Zaronu — wykrztusiła, a piersi wciąż falowały z wyczerpania i przestradchu. Zachwiała się i upadłaby, lecz rudowłosy żeglarz chwycił ją mocno za ramię.

— Ten czarny wieprz, co? Wykradaniem młodych dziewczuch

on teraz zajęty? Niech mnie usmażą, jeśli nie jednako mi zadźgać tego psa, co spojrzeć na niego. Ale na róg Heimdala i miecz Mitry, jesteś już bezpieczna. Moja załoga da ci schronienie, nie lękaj się... ale co to z tej strony?

Słyszając zbliżające się trzaski i chrzęst w zaroślach, człowiek z północy odwrócił się i chwycił rękojeść potężnego miecza zwisającego mu u pasa. Zza zasłony liści wyskoczyła nagle jakaś postać i zauważywszy ich przystanęła. Ku swemu zdumieniu Chabela rozpoznała przybysza.

— Kapitan Conan! — krzyknęła.

Conan zmrużył oczy, wpatrując się w rosnącego blondyna z wyciągniętym do połowy mieczem i czarnowłosą dziewczynę za jego plecami, której poszarpana suknia ledwie okrywała zmysłowe kształty. Dziewczyna wydała mu się znajoma, nie miał jednak czasu dłużej się nad tym zastanawiać.

— Uciekajcie! — wrzasnęła. — Potwór ze świątyni jest tuż za mną! Szybko, później porozmawiamy!

Głośniejsze trzaski dochodzące ze strony, z której przybiegł Conan, dodały mocy jego ponagleniom.

— Ruszcie się! — zawył, chwytając nadgarstek Chabeli swą ogromną łapą i wlokąc ją za sobą po ścieżce. Przybysz z północy biegł za nimi. Przez moment wydało im się, że zostawili prześladowcę w tyle. Gdy zatrzymali się, by odetchnąć, Conan zwrócił się do żeglarza z północy:

— Czy nie ma na tej przeklętej wyspie żadnego wzgórza lub skały? Ten kamienny ropuch chyba nie potrafi się wspinać.

— Na włócznię Wodena, człecze, ani pagórka — odrzekł mężczyzna, dysząc ciężko. — Nic wyższego niż to, oprócz cypla na północnym wschodzie, gdzie ląd wznosi się do skały zwisającej nad pełnym morzem. Ale to na nic; ląd wznosi się



łagodnie, bożek potrafiłby wejść... Nadchodzi znowu!

— Pokaż nam drogę do tego cypla — rzekł Conan. — Mam pewien plan.

Człowiek wzruszył ramionami i poprowadził ich przez dżunglę. Gdy Chabela osłabła, Conan wziął ją na rękę. Hoża dziewczyna nie była piórkiem, lecz olbrzymi Cymeryjczyk niósł ją bez widocznego wysiłku. Za nimi słychać było wyraźnie przedzierającego się przez las potwora.

Godzinę później, gdy słońce zbliżyło się do błękitnego horyzontu, wszyscy troje podrapani, obdarci i nieludzko zmęczeni dotarli do wzniesienia. Cypel miał kształt trójkąta zwężającego się w miarę, jak teren się wznosił, co przypominało dziób okrętu. Conan widział ten szczegół z „Łobuza”, gdy okrążali północny kraniec wyspy w drodze do obecnego miejsca postoju.

Po pewnym czasie człowiek z północy uwolnił Cymeryjczyka od ciężającej mu już dziewczyny. Ramię w ramię, słaniając się na nogach, wyszli z dżungli i weszli na wzniesienie. W połowie drogi do wierzchołka mężczyzna postawił na chwilę Chabelę i razem z Conanem przystanęli, by przekonać się, czy kamienny czart wciąż ich ściga.

Tak było w istocie, o czym zaświadczał chrzęst i poruszające się zarośla.

— A więc, na Croma i Mitrę, jaki jest twój plan? — zasapał rudzielec.

— Wchodzimy na szczyt — mruknął Conan, prowadząc ich w górę.

Na samym wierzchołku wychylił się poza skraj skały i spojrzał w dół. Trzydzieści metrów niżej spienione wody uderzały w szeroką rafę czarnych skał, których ostre krawędzie skierowane były ku górze, a których mokre powierzchnie błyszczały

pomiędzy grzbietami fal. Wśród ostrych raf leżało kilka utworzonych przez przyływ sadzawek, z których największe miały powierzchnię czterech-pięciu metrów kwadratowych.

Spoglądając w tył Chabela pisnęła z przerażeniem, gdy ociążała postać wynurzyła się z dżungli. Łamiąc paprocie i krzewy, stwór niezdarnie posuwał się przez otwartą przestrzeń. Siedmioro oczu natychmiast dostrzegło zbiegów i potwór począł wspinać się chyżo po zboczu wzniesienia w sposób podobny do pełzającego na czworakach człowieka.

— Ma nas w potrzasku — rzekł człowiek z północy. — Czy przyjdzie nieszczęsnym żeglarzom pożegnać się wreszcie z okrętem?

— Jeszcze nie tym razem — odpowiedział Conan i w kilku lapidarnych zdaniach wyjaśnił swój plan.

W tym czasie ropuch parł wciąż do przodu, błyskając siedmiorgiem oczu w świetle zachodzącego słońca. Gdy był już blisko, zmienił sposób poruszania się na serię żabich skoków. Ziemia trzęsła się, gdy ogromne kamienne cielsko opadało po każdym podskoku. Podchodząc coraz bliżej, potwór rozdziawił już paszczę.

Conan pochylił się i podniósł parę pojedynczych kamieni.

— Teraz! — krzyknął.

W tym momencie Chabela zaczęła biec w jedną, a żeglarz z północy w drugą stronę wzdłuż krawędzi skały, pozostawiając w środku Conana, który miał sam stawić czoła potworowi.

Gdy dwoje uciekinierów rozbiegło się w przeciwnych kierunkach, ropuch zatrzymał się, a jego oczy spoglądały to w jedną, to w drugą stronę, jakby zastanawiał się, jaką obrać drogę.

— No, chodź! — ryknął Conan, ciskając kamień. Pocisk uderzył z trzaskiem i odbił się od nosa ropucha. Następny trafił w jedno z

oczu. Odbił się wysoko, lecz zielony płomień w oku przygasł, jak gdyby kamień uszkodził substancję, z której było zbudowane.

Zanim Conan zdążył rzucić kolejny kamień, potwór był już przy nim. Układał właśnie masywne tylne łapy do ostatniego skoku, który miał przenieść go na krawędź skały. Szeroka paszcza rozwarła się wyczekująco.

Gdy ropuch odbił się od ziemi i szybował w powietrzu, Conan odwrócił się i rzucił się ze skały. Zrobił pół obrotu w powietrzu i, wyprostowany jak strzała, głową w dół zanurkował w największy z basenów przyływowych. Uderzył w wodę wyciągniętymi rękami, ugiętymi nieco, by wydostać się natychmiast na powierzchnię.

W górze, na skale, potwór wylądował dokładnie w miejscu, w którym przed chwilą stał Conan. Przednie łapy uderzyły w krawędź urwiska, która skruszyła się na skutek uderzenia, a struga odłupanych kamyków i pyłu opadła w dół. Łapy potwora ześlizgnęły się ze szczytu wzniesienia, a całe ciało poleciało w przód siłą bezwładu. Przez chwilę zawisło na skruszonej krawędzi, jednak moment później straciło równowagę i z hukiem strzaskanego kamienia ześlizgnęło się w dół. Wydawało się, że zawisło na chwilę w powietrzu powoli się obracając, a następnie runęło na skały u podnóża klifu z potężnym trzaskiem.

Ociekając wodą, Conan wydostał się z przyływowego bajora i odgarnął włosy z oczu. Nie trafił w sam środek basenu, więc rozdarte w kilku miejscach ubranie odsłaniało krwawiące pręgi na żebrach i udzie, którymi musnął jedną z ostrych skał okalających bajoro. Nie zwracając uwagi na zadrapania, z uwagą przyjrzał się szczątkom ropucha.

Kamień mógł być w magiczny sposób nasycony życiem, był jednak tylko kamieniem. Potwór rozpadł się na setki kawałków,

które porozrzucane były tu i tam pomiędzy skałami u podnóża klifu. Po długich oględzinach udało się stwierdzić, że jeden z fragmentów rafy był przedtem stopą ropucha, a inny częścią jego głowy. Pozostałe kawałki mieszały się ze skałami leżącymi tam już od wieków.

Wspinając się i przeskakując ze skały na skałę, Conan posuwał się wzdłuż ściany klifu aż do miejsca, w którym urwisko było na tyle niskie, że mógł wspiąć się na górę. Następnie zawrócił i dołączył do swych towarzyszy na cyplu. Rudowłosy spoglądał w dół z krawędzi skały, kontemplując porozrzucane szczątki ropucha.

— Na szpony Nergala i wnętrzości Marduka, człecze, toż dobrotliwy widok do patrzenia! Ale teraz, gdy wspólnie pozbyliśmy się groźby, czas zaznajomić się nawzajem. Jam Sigurd z Vanaheimu, uczciwy żeglarz porzucony na tym przeklętym brzegu z załogą rozbitego statku. A ty?

Conan wpatrywał się w Chabelę.

— Na Croma! — rzekł w końcu. — Czyż nie jesteś Chabelą, córką Ferdruga?

— W rzeczy samej — powiedziała dziewczyna. — A ty jesteś kapitanem Conanem.

Wypowiedziała to imię już wcześniej, gdy natknął się na nią uciekając przed ropuchem, co ułatwiło mu jej rozpoznanie.

Kapitanowie korsarzy i księżniczki nie zadawali się ze sobą na królewskim dworze w Zingarze, mimo to Conan często widywał ją podczas świąt, defilad i innych ceremonii.

Jako że większa część ich łupów wędrowała do królewskiego skarbcza, król Ferdrugo czuł się zobowiązany gościć u siebie swych kapitanów przy różnych okazjach. Długie nogi, silne ramiona i posępne, nieprzeniknione rysy Cymeryjczyka zapadły

w pamięć Chabeli, a on też rozpoznał ją dość łatwo pomimo podartych szat, zmierzwionych włosów i braku makijażu na urodziwej twarzy.

— Co też, na wszystkich bogów, robisz w tym miejscu, księżniczko? — zapytał.

— Księżniczko?! — zakrzyknął Sigurd z przerażeniem. Z rumianą, czerwienią jeszcze niż zwykle twarzą, wpatrywał się w półnagą dziewczynę, z którą obchodził się tak bezceremonialnie i do której zwracał się z taką poufałością.

— Na brodę Ymira i płonące ognie Baala, Wasza Wysokość, wybac mi mój język. Szlachetna dama, a ja nazwałem ją „dzieweczką”... — ukląkł na jedno kolano, spoglądając ze zmieszaniem na Conana, który stał opodal z uśmiechem na ustach.

Chabela odezwała się:

— Wstań, mistrzu Sigurdzie i nie przejmuj się tym już dłużej. Dworska etykieta byłaby tu zupełnie nie na miejscu. Czy znasz kapitana Conana, mego drugiego wybawcę?

— Conan... Conan... — zamyślił się Sigurd — Cymeryjczyk?

— Tak jest — mruknął Conan. — Słyszałeś o mnie?

— Tak, słyszałem opowieści w Tor... — Sigurd urwał nagle.

— Chciałeś powiedzieć — w Tortadze? — spytał Conan. — Właśnie wydawało mi się, że wyglądasz na Barachańczyka. Też byłem członkiem Bractwa, dopóki nie zaczęli robić rzeczy, których nie mogłem tolerować. Teraz jestem kapitanem na „Łobuzie”, jednostce korsarskiej królestwa Zingary. Czy jest ono dla ciebie przyjazne?

— Tak jest, na rybi ogon Lira i młot Thora! — rzekł Vanir, ściskając rękę Conana. — Musimy jednak uważać, by nasi ludzie nie wzięli się za łby. Moi to w większości Argijczycy; twoi, jak

mniemam, przeważnie Zingaranie, mogą więc skoczyć sobie do gardła w mgnieniu oka. Jako że żaden z nas dwóch nie należy do tych narodów, nie ma powodu, by te odwieczne animozje miały nas poróżnić.

— Prawda — potwierdził Conan. — A jak ty i twoi ludzie znaleźliście się tutaj?

— Wpadliśmy na skały przy południowych wybrzeżach i rozbiliśmy się. Przedostaliśmy się na brzeg i uratowaliśmy większą część sprzętu i żywności, lecz nasz kapitan zachorował i zmarł. Byłem oficerem, więc od miesiąca jestem przywódcą. Pracujemy właśnie nad budową tratwy na tyle bezpiecznej, by przedostać się na kontynent.

— Czy wiesz coś o czarnej świątyni?

— O, tak, moi ludzie i ja rozejrzeliśmy się po tej okolicy, lecz tam aż cuchnęło siłą nieczystą, więc odtąd unikamy jej.

Niebieskie oczy Sigurda skierowały się na wschód, gdzie czerwona kula słońca dotykała właśnie horyzontu.

— Niech mnie usmażą, jeśli ten wyścig po dżungli i zmaganie z potworem nie przyprawiło mnie o potężne pragnienie! Chodźmy do mego obozu i zobaczmy, czy nie dałoby się wychylić kropli wina dla dobra naszych dusz! Nie zostało już tego wiele, lecz myślę, że zapracowaliśmy na to, co jeszcze jest!

## ROZDZIAŁ VIII

# KORONA KOBRY

Zarono omal nie wpadł w szal, gdy wrócił i stwierdził, że Chabeli nie ma na statku. Żeglarze, którzy stali na posterunkach na rufie i przed kajutą Chabeli, zostali na jego rozkaz przeciągnięci pod kilem. Nazajutrz przed świtem ściągnął na ląd prawie całą załogę. Dzień upłynął na przeczesywaniu wyspy w poszukiwaniu zbiegłej księżniczki, która była zasadniczym elementem jego planu. Odkryto kilka strzępów z jej sukni; te jednak, jakkolwiek świadczyły, że tam była, nie rzucały więcej światła na obecne miejsce pobytu Chabeli.

Marynarze znaleźli też pozostałości po obozie Sigurda. Nie było jednak śladu samych barachańskich piratów.

O zachodzie słońca skonfundowany Zarono, jeszcze bardziej wściekły niż przedtem, wrócił na „Petrela”.

— Menkara! — wrzasnął.

— Tak, kapitanie Zarono?

— Jeśli twe czary na cokolwiek się zdadzą, teraz nadszedł czas. Ukaż, gdzie zniknął ten przeklęty dzieciak.

Wkrótce potem Zarono siedział w kajucie, obserwując poczynania Stygijczyka, który przygotowywał czarnoksięski aparat, jakim posłużył się w lochach księcia Villagra. Palenisko syczało, czarownik wymawiał zaklęcia: — Iao, Setesh...

Nefrytowa chmura dymu zgęstniała, ukazując morski krajobraz. Widać było spokojne morze, na którym znajdował się

smukły, zgrabny okręt z postawionymi żaglami. Żagle jednak zwisały luźno z rej, a statek kołysał się lekko na łagodnych, miękkich falach.

— „Łobuz” Conana, unieruchomiony przez ciszę — stwierdził Zaron, gdy obraz rozplynął się. — Tylko gdzie?

Menkara rozłożył ręce.

— Przykro mi, nic więcej nie wiem. Gdyby widać było słońce, wiedzielibyśmy, w którym kierunku płyną. Jako że...

— Chcesz powiedzieć — warknął Zaron, — że mogą być gdziekolwiek za horyzontem, a ty nie jesteś w stanie stwierdzić — gdzie?

— Nie jestem wielkim Thoth-Amonem. Robię to, co potrafię.

— Czy widziałeś dziewczynę na pokładzie?

— Nie, ale z pewnością tam była, gdyż inaczej nie ukazałby się nam ten statek. Niewątpliwie śpi w jednej z kajut.

— Powinienem był skończyć z tym draniem, gdy miałem okazję — mruknął Zaron — lecz co zrobimy teraz?

— Cóż, „Łobuz” może płynąć teraz w stronę Kush, jednak bardziej prawdopodobne jest, że kieruje się z powrotem do Kordafy. Ten twój kapitan Conan spieszy pewnie odwiedzić księżniczkę do stolicy, spodziewając się hojnej nagrody od króla.

— Czy dogonilibyśmy ich, ruszając na północ pod pełnymi żaglami?

— Nie sądzę. Ocean jest zbyt szeroki, a cisza, która zatrzymała statek Conana, zatrzyma również i nasz. Mogą zresztą płynąć na północny wschód, by wylądować na wybrzeżu Shemu i szukać pomocy u brata króla, Tovarra. Nie dowiemy się tego. Zapominasz jednak o naszym głównym celu.

— Dziewka i skarb to nasz główny cel!

— Mam na myśli wielkiego Thoth-Amona. Gdy zdobędziemy



jego wsparcie, nie będzie miało znaczenia, czy księżniczka wróci do ojca, czy też przywiezie ze sobą stryja. Księżę czarnoksiężników potrafi kontrolować bieg wydarzeń tak jak lalkarz pociągający za sznurki marionetek. Płynmy na północny wschód do wybrzeży Stygii. Jeżeli po drodze dopędzimy statek Conana, to dobrze; jeśli nie, to też dobrze.

Z wybrzeża Stygii Zarono i Menkara wyruszyli karawaną w głąb lądu. Połowa załogi została, by strzec „Petrela”, a druga połowa, uzbrojona po zęby, ruszyła z kapitanem. Podróż kosztowała ich sporo złota, co przygnębiało chciwego Zingaranina.

Jak większość żeglarzy, Zarono nie czuł się dobrze na lądzie. Poza swoim żywiołem był dziwnie bezradny. Pustynia, najbliższy lądowy odpowiednik morza, była mu jednak obca. Nie podobał mu się ani chwiejny, choć rytmiczny chód źle usposobionego wielbłąda, ani suche powietrze pustynne, które wysysało każdą kroplę wilgoci z przełyku.

Musiał jednak znieść niewygodę. Trzeciego dnia na horyzoncie ukazała się Oaza Khajar. Była to ciemna, samotna kępa nieruchomych palm dookoła przedziwnego, czarnego stawu. Pośród listowia widać było zarysy potężnej budowli.

Zbliżali się do oazy zachowując ostrożność. Menkara jechał na przedzie, by jego szaty kapłana Seta widoczne były dla oczu obserwatorów.

Nad oazą zalegała cisza. Żaden ptak nie taplał się w stawie, żaden nie kwilił trzepocząc skrzydłami w palmach. Nie zatrzymał ich żaden strażnik. Na skraju oazy przystanęli. Na komendę wielbłądy kolejno kładły się na ziemi, niebezpiecznie przechylając swych pasażerów. Zarono rzekł do bosmana:

— Miej oko na poganiaczy wielbłądów. Te psy są przerażone i

mogłyby uciec, zostawiając nas na łądzie.

Zarono i Menkara ruszyli pieszo wokół posępnego czarnego stawu, w kierunku masywnego budynku. Wygląd stawu nie spodobał się Zarono. Czarny jak płynny węgiel, błyszczał w jaskrawym świetle popołudnia. Tłuste kolorowe smugi wiły się leniwie, ożywiając nieruchomą powierzchnię. Po jednej stronie stał blok czerwonego kamienia przypominający ołtarz. Ciemne, rdzawe plamy widniały na szczycie i bokach ołtarza. Zarono, którego przywary były zwyczajne, ludzkie, zbladł i zdrzął na myśl, co też może wkrótce wyłonić się z czarnego lustra stawu, by pożreć ofiary ołtarza.

Okrążyli złowrogi staw i zbliżyli się do siedziby Thoth-Amona. Gdy palmy rozstąpiły się przed nimi, zobaczyli, że gmach, podobnie jak ołtarz, zbudowany jest z masywnych bloków czerwonego piaskowca. Była to wielka konstrukcja, którą należałoby raczej zwać pałacem niż po prostu domem. Powierzchnie i krawędzie kamienia były pokruszone, świadcząc o jego starości.

W jakiej minionej epoce ułożono tę kamienną stertę — nikt nie wiedział. Hieroglify wyrzeźbione w sklepieniu nad wejściem nie przypominały tych, z którymi Zarono zetknął się podczas swoich dalekich podróży. Plan budowli był niezwykle prosty. Zarono nie potrafił porównać go z żadnym znanym mu stylem w architekturze, może poza masywnymi piramidami wznoszącymi się na pustyni w pobliżu Khemi. Gmach robił raczej wrażenie grobowca niż budynku mieszkalnego.

Czarna sień przypominała rozdziawioną paszczę w ciężkiej, ogromnej masie piaskowca. Menkara nie zatrzymując się podszedł do kamiennych szczęk i nakreślił tajemniczy znak w powietrzu. Zarono z dreszczem strachu spostrzegł, że nakreślony

kościstym placem znak rozbłysł na kilka sekund zielonym płomieniem.

Wszędzie wokół był ciemny kamień i rozbrzmiewająca echem cisza. Nie było ani śladu straży lub służby. Menkara ruszył pewnie przed siebie; Zarono mógł tylko iść za nim.

Za przedsionkiem kilka kamiennych schodów, zaokrąglonych przez deptające je przez wieki stopy w sandałach, prowadziło w dół, w ciemność. Zeszli poniżej poziomu pustyni, dochodząc wreszcie do płaskiej przestrzeni. Idąc dalej, weszli do dużej sali.

Było tam światło — złowrogi zielony blask węzowych świeczników z polerowanej miedzi. W migotliwym, szmaragdowym świetle Zarono dostrzegł dwa rzędy ogromnych, monolitycznych kolumn, ozdobionych zaszyfrowanymi znakami, takimi, jakie widzieli przy wejściu. Na końcu sali kolumnowej, na tronie z czarnego, lśniącego kamienia siedział człowiek. Gdy dwaj podróżnicy podeszli bliżej, Zarono przyjrzał mu się.

Człowiek ten był śniadym olbrzymem o szerokich ramionach i wyniosłej, jastrzębiej twarzy. Od wygolonej czaszki po stopy obute w sandały, skóra jego zabarwiona była na brązowo. Czarne oczy błyszczały hipnotycznie z głębin oczodołów. Ubrany był w prostą, białą szatę. Jedyłą ozdobą, którą nosił, był pierścień koloru miedzi w formie węża, który trzykrotnie owinąwszy się na mocnym palcu, ścisnął w szczękach własny ogon.

W głowie Zarono rozbłysła myśl, że zważywszy surową prostotę budowli i brak ozdób u potężnego czarnoksiężnika, mógłby powiedzieć coś na temat wewnętrznej natury Thoth-Amona. Był on człowiekiem, dla którego dobra materialne i krzykliwe ozdoby nic nie znaczyły. Dążył do czegoś ponadmaterialnego, nieuchwytnego: do władzy nad innymi. Gdy stanęli o kilka kroków przed tronem, mężczyzna przemówił

mocnym, czystym głosem:

— Witaj, braciszku Menkaro!

Menkara upadł na kolana i dotknął czołem czarnej, kamiennej posadzki.

— W imię Ojca Seta, potężny panie — wyszeptał — przyszedłem.

Zarono pomyślał z niepokojem, że nawet mnich był przestraszony. Poczuł, jak pomimo suchości pustynnego powietrza, spływa z niego pot.

— Kim jest ten Zingaranin o posępnej twarzy, któregoś tu przyprowadził? — zapytał Thoth-Amon.

— Kapitan Zarono, korsarz, potężny panie. Wysłannik Villagra, księcia Kordafy.

Zimne, węzowe oczy powoli zmierzały go od stóp do głów. Zaronowi wydało się, że inteligencja ukryta za tym gadzim spojrzeniem była tak oddalona od ziemskich spraw, że wszelkie działania ludzkie były jej zupełnie obce.

— A cóż mam wspólnego z Zingarą lub Zingara ze mną? — zapytał Thoth-Amon.

Menkara otworzył już usta, lecz Zarono uznał, że czas nabrać trochę pewności. Ze śmiałością, której tak naprawdę wcale nie czuł, zrobił krok w przód, klęknął przed tronem na jedno kolano i wyjął z zanadru zwój pergaminu z listem od Villagra. Wręczył go Thoth-Amonowi, który ujął pismo ręką z miedzianym pierścieniem na palcu i upuścił je na kolana.

— Najpotężniejszy z czarnoksiężników — zaczął Zarono — przynoszę ci pozdrowienia od księcia pana Kordafy, który składa ci pokłon i proponuje cenne dary w zamian za pewną drobną przysługę, o której dowiesz się z owego pisma.

Thoth-Amon nie rozwinął listu; robił wrażenie znającego już

jego treść. Zamyślił się na moment.

— Bliskie memu sercu byłoby zdeptanie przekłętego kultu Mitry i wyniesienie czci naszego Ojca Seta — mruknął — jednak zajęty jestem potężnymi operacjami magicznymi, a złoto Villagra nic dla mnie nie znaczy.

— To nie wszystko, potężny panie — rzekł Menkara, wyciągając Księgi Skelos spod swej szaty. — Jako rękojmię szlachetnych intencji księcia zechciej przyjąć od nas ten oto dar — złożył wiekowy tom u stóp Thoth-Amona.

Thoth-Amon strzelił z palców i księga uniosła się w powietrzu, otwarała się sama, po czym opadła łagodnie na kolana czarownika. Mnich-czarnoksiężnik niedbale przewrócił kilka kartek.

— Rzadki to dar, zaiste — rzekł. — Nie sądziłem, że istnieje jeszcze trzeci egzemplarz. A może okradliście królewską bibliotekę Akwilonii?

— Nie, potężny panie — rzekł Menkara. — Udało nam się znaleźć ją na Bezimiennej Wyspie, która leży na Morzu Zachodnim...

Jego głos osłabł i zamilkł, gdyż sylwetka potężnego olbrzyma przed nimi nagle drgnęła, a w węzowych czarnych oczach błysły zimne płomienie. Powietrze wydało się nagle Zaronowi chłodne. Wezbrało w nim uczucie zagrożenia. Wziął głęboki oddech. Czyżby zrobili coś, co mogło rozgniewać wielkiego czarnoksiężnika?

— Czy unieśliście coś jeszcze z ołtarza Tsathoggui, Boga-Ropucha? — spytał Thoth-Amon głosem miękkim jak miecz wysuwający się z pochwy.

Menkara zadrżał.

— Nic więcej, potężny panie, nie licząc jednego czy dwóch

worków z klejnotami...

— Które leżały przed ołtarzem na księdze, czy nie tak?

Menkara drząc skinął głową.

Thoth-Amon wstał, a w oczach rozbłysły mu piekielne płomienie. Komnata wydawała się płonąć zielonym ogniem, a posadzka zatrzęsała się jakby pod stąpieniem olbrzyma. Czarownik przemówił grzmiącym głosem:

— Robaki pełzające! Tacy głupcy służą mnie, Thoth-Amonowi! Secie, ojcie wszechmogący, daj mi ludzi bystrzejszych za sługi! Ai kan-phog, yaa!

— Panie! Książę czarnoksiężników! Czymże zagniewaliśmy cię? — zawodził Menkara, czołgając się po posadzce.

Mroczne spojrzenie potężnego Stygijczyka spiorunowało dwóch mężczyzn śmiertelnym gniewem. Jego grzmiący głos przeszedł w syk węża.

— Wiedźcie, głupcy, że to, co ukryte było pod bożkiem, ma wartość większą niż całe bogactwo świata, a Księga Skelos nie jest przy tym warta więcej niż notes sklepikarza! Mówię o Koronie Kobry!

Zarono zasapał. Słyszał co nieco o tym świętym talizmanie ludzi-węży z Waluzji — najpotężniejszym przedmiocie magicznym, jaki kiedykolwiek istniał na Ziemi — wszechwładnej koronie królów-węży, przy pomocy której rządili oni ziemskim imperium w czasach przedludzkich. Oni tymczasem zabrali księgę i klejnoty, pozostawiając skarb o wiele cenniejszy!

## ROZDZIAŁ IX

# WIATR W ŻAGLACH

„Łobuz” już od kilku dni spoczywał nieruchomo na morzu niedaleko Bezimiennej Wyspy. Marynarze usadowili się wzdłuż poręczy, zarzucając wędkę. Pół kabla przed statkiem załoga łodzi uwiązanej liną do dziobu „Łobuza” pociła się przy wiosłach, ciągnąc go cal po calu w kierunku nieznanych wybrzeży kontynentu. Conan zaklął, wzywając swych dzikich cymeryjskich bogów, na próżno jednak. Dzień za dniem żagle zwisały luźno z rej. Małe, łagodne fale bezszelestnie uderzały o kadłub. Na południu chmury burzowe wzbijały się powoli w zamglone niebo, a błyskawice rozświetlały nocny widnokrąg, ale wokół „Łobuza” powietrze było spokojne. Dzielny Cymeryjczyk niepokoił się. Okręt Zaroni mógłby napotkać ich i pokonać, gdyby cisza nie zatrzymała również „Petrela”, tak jak zrobiła to ze statkiem Conana. Tak więc Zingarani mógł również stać zatrzymany przez ciszę gdzieś za horyzontem, lub też obrać inny kurs odpływając z wyspy, tym samym omijając „Łobuza”.

Nieważne, jaki niegodziwy cel przyświecał Zaronowi — myślał Conan — wszystko będzie dobrze, o ile nie napotkają go po drodze. Mieli dość własnych kłopotów i bez jego pomocy. Przede wszystkim, mały im zapasy słodkiej wody i żywności.

Poza tym był jeszcze Sigurd i jego załoga. Conan polubił szczerego, nieustraszonego młodego rudobrodego z Vanaheimu i odstąpił koje własnej załogi barachańskim rozbitkom. Wiedział,

że może to prowadzić do konfliktów i tak też się stało. Rozpoczęła się ostra rywalizacja pomiędzy zingarańskimi korsarzami a piratami z Wysp, w większości Argijczykami.

Walczyli ze sobą zbyt często i zbyt zażarcie, by na zawołanie polubić się wzajemnie. Żeglarze są jednak żeglarzami, łączy ich wspólne rzemiosło. Mimo, że w wielu sprawach bezlitosny, Conan czuł, że nie może po prostu podnieść kotwicy i odpłynąć, pozostawiając braci żeglarzy własnemu losowi. Wierzył, że razem z Sigurdem potrafią utrzymać spokój. Tak się jednak, niestety, nie stało. Zingarani prowokowali nieszczęsnych rozbitków, dopóki nie doszło do walki. Wszystko jedno, ile razy Conan czy Sigurd rozdzielali zażarte psy morza i wbijali im rozum do głowy; wkrótce i tak szykowała się nowa burda.

Przekłeta cisza na morzu wzmagala jeszcze napięcie pomiędzy dwiema grupami korsarzy. Sfrustrowany, wściekły Conan zaklął siarczyście i zacisnął dłonie na poręczy.

Gdyby tylko — obiecywał sobie — zaczął wiać jakiś błogosławiony wiatr i dał jego ludziom odpowiednie żeglarskie zajęcia, nie mieliby czasu zaczepiać przeciwników.

Dręczył go też inny problem. Chabela opowiedziała mu w zaufaniu wszystko, co usłyszała od Zarony i jego wązookiego stygijskiego czarownika. Niektóre informacje o powodach wyprawy Zarony i napaści na jej statek wymknęły im się nieopatrznie, inne podsłuchała, jeszcze inne wydobyla podstępem. Wiele faktów dotyczących spisku przeciw monarchii objawiło się samoistnie jej aktywnemu umysłowi.

Cymeryjczyk miał teraz dylemat. Prostego korsarza nie interesowały zbyt wiele problemy dynastii panujących, nie miał też wobec Ferdruga z Zingary wielkich zobowiązań. To prawda, że sędziwy monarcha przyznał mu królewską licencję korsarza



Korony, a Kordafa udzielała mu bezpiecznego schronienia po zakończonych wyprawach. Tyle jednak mógł oczekiwać od każdego z królów Zingary. Jego następca mógłby, na przykład, żądać mniejszej części łupów. Jednak w takich sprawach nieokrzesa rycerskość jego cymeryjskiej spuścizny czasami brała górę nad własnym interesem. Nie leżało też w naturze ponurego barbarzyńcy ignorowanie próśb pięknej księżniczki zingarańskiej, gdy jej ojciec wpędzany był krok po kroku do grobu przez podstępne spiski wsparte stygijską magią. Mimo że nie wiedział, w co się angażuje, w końcu postanowił uczynić walkę księżniczki swoją własną walką.

Decyzja ta nie była jednak podyktowana tylko przez altruizm. Zaważyły też jego własne ambicje. Nie zamierzał do końca swoich dni pozostać najemnym piratem. Gdyby zatem udało mu się obronić króla Zingary i jego córkę przed spiskiem zdrajców i w ten sposób podeprzeć chwiejący się tron, jakaż nagroda byłaby zbyt hojna? Tytuł księcia? Admirala?

Conana nachodziła również myśl, by ubiegać się o rękę księżniczki Chabeli i ustatkować się w roli królewskiego małżonka. W jego pełnym dzikich przygód życiu wiele kobiet okazywało Conanowi najwyższą sympatię. Cymeryjczyk jednak, choć traktował kobiety z nieco szorstką rycerskością, unikał wszelkich form prawnych związków małżeńskich. Zwykł wypełniać wszystkie swe zobowiązania, a komuś, kto we krwi miał podróże, przygodę, walkę, myśl o przywiązaniu do ogniska domowego i obowiązku troszczenia się o rodzinę wydawała się nie do zniesienia.

Teraz jednak miał już ponad trzydzieści pięć lat i pierwszą młodość za sobą. Mimo, że nie widać było u niego żadnych oznak starzenia się, oprócz może licznych blizn przecinających twarz,

wiedział, że nie może do śmierci prowadzić beztroskiego, hulaszczego, awanturniczego życia. Musi pomyśleć wreszcie o własnej przyszłości. Chabela była ładną, zgrabną i pełną życia dziewczyną, silną i inteligentną. Wydawało mu się też, że jej się podoba. Mógłby posunąć się dalej i spróbować...

Conan odszedł od poręczy marszcząc brwi w zamyśleniu, zszedł wolno do kajuty i rzucił się na fotel, a w oko wpadł mu błysk klejnotów. Uśmiechnął się kwaśno. Na coś przynajmniej zdały się jego wysiłki. Na biurku przed nim, we wpadających przez luk promieniach czerwonego, popołudniowego słońca rozświetlającego osadzone w niej klejnoty, lśniła i migotała Korona Kobry.

W drodze powrotnej ze skały, z której spadł bożek-ropuch, Conan z towarzyszami znowu mijali czarną świątynię. Tym razem wydawało się, że znikła gdzieś aura zła spowijająca przedtem ruiny. Tajemnicza konstrukcja skąpana była w słońcu. Tych, którzy ją oglądali, nie przeszywał już ów dreszcz niesamowitej grozy.

Conan ostrożnie wszedł znów do budynku. W miejscu, gdzie od niepamiętnych czasów siedział był ropuch, w cokole, na którym był osadzony, ziała czarna otchłań. Gdy Conan pochylił się nad nią, jego czujne oko dostrzegło błysk klejnotów. Czyżby Zarono coś przeoczył? Conan błyskawicznie sięgnął ręką w dół i wyciągnął Koronę Kobry. Był to wydrążony, złoty stożek inkrustowany tysiącami białych, ognistych klejnotów. Conan stwierdził, że są to szlifowane diamenty, choć sztuka cięcia i szlifowania najtwardszego z kamieni szlachetnych była niedostępna współczesnym mu jubilerom. Korona uformowana była w kształcie węża, którego sploty tworzyły stożkowe nakrycie głowy, a jego wygięta szyja wznosiła się z tyłu nad szczytem

korony tak, że tępa głowa węża spoglądała znad czoła jej właściciela. W Koronie Kobry osadzono tysiące klejnotów, których wartość była nie do oszacowania. Tak więc, mimo wszystko, wyprawa na Bezimienną Wyspę nie była bezowocna.

Okrzyk podniecenia wyrwał korsarza z sennych rozmyślań:

— Na sutki Friggi i ognisty członek Shaitana!

Conan uśmiechnął się rozpoznając głos Vanira Sigurda. W chwilę potem w drzwiach pojawiła się twarz okolona rudą brodą i oblana rumieńcem podniecenia.

Zanim którykolwiek z nich zdołał przemówić, Conan wiedział już, o co chodzi. Do jego uszu dobiegł łopot naprężanego płótna i syk wiatru w żaglach, jego kajutę rozkołysało, a cały statek przechylił się. Nareszcie nadszedł wiatr.

I to jaki wiatr! Dwa dni i noc „Łobuz”, z postawionym jedynie sztormowym fokiem, mknął po wzburzonych falach, niesiony jednym z gwałtownych samumów, które kazały marynarzom ery hyboryjskiej omijać te nieznane morza.

Gdy wiatr osłabł, „Łobuz” rzucił kotwicę w zatoczce w pobliżu kontynentu. Conan nie wiedział, gdzie dokładnie wylądowali, gdyż ciężkie chmury zasnuły niebo, przesłaniając słońce i gwiazdy podczas tego etapu wyprawy. Wiedział jednak, że płynęli ogólnie w kierunku wschodnim. Z wyglądu dżungli na wybrzeżu wnioskował, że znajdowali się na południe od łąk Shemu, ale czy była to Stygia, czy królestwo Kush, czy też mało znane czarne królestwa leżące jeszcze dalej na południu, trzeba było dopiero się zorientować.

— Jakaś podejrzana kraina, kapitanie — wymamrotał oficer Zeltran. — Gdzie też możemy się znajdować?

— Diabli wiedzą i do diabła z tym! — mruknął Conan. — Najważniejsze, by znaleźć wodę. Beczki są prawie puste i pełno

w nich szlamu. Wyznacz grupę do lądowania i wyruszamy z beczkami. Pospiesz się!

Zeltran popędził na pokład, by zarządzić zbiórkę załogi. Gdy grupa desantowa została już wybrana i zeszła po linach do łodzi, Sigurd posłał zatroskane spojrzenie w stronę linii brzegowej i cisnął jednym ze swych kosmopolitycznych przekleństw. Przez zarośniętą pierś Vanir przewieszony miał olbrzymi, skórzany pendent.

— Co to jest, człowieku? — zapytał Conan. Sigurd wzruszył ramionami.

— Może nic, przyjacielu, ale ta ziemia wygląda niezwykle; tak jak wybrzeże Kash.

— No i co z tego? Pewne było, że trzymając wschodni kurs dotrzemy do Kush.

— Jeśli tak, to ziemie te nie są bezpieczną przystanią dla uczciwych żeglarzy. Czarne diabły rade by zjeść człowieka na powitanie. Krążą też opowieści o kobietach-wojownikach przewyższających w boju mężczyzn, mieszkających w głębi lądu.

Conan obserwował, jak łódź ciężko posuwa się do brzegu.

— Być może, potrzebujemy jednak wody, a i żywności nie mamy już zbyt wiele. Gdy napełnimy zbiorniki, popłyniemy na północ, z powrotem do Kordafy.

## ROZDZIAŁ X

# CZARNE WYBRZEŻE

Zatoka, do której wpłynęli, leżała u ujścia małej, leniwej rzeki o brzegach gęsto porośniętych wysokimi palmami i bujnymi krzewami. Łódź zwolniła na płyciźnie, a kilkunastu korsarzy wyskoczyło za burtę, by wyciągnąć ją w bezpieczne miejsce na plaży. Następnie łucznicy przyjęli postawę strzelecką, a pozostała część załogi ruszyła w kierunku ujścia rzeki niosąc puste beczki. Po chwili zniknęli z pola widzenia idąc dalej sprawdzić, czy woda jest jeszcze słonawa. Conan, który przyплыł drugą łodzią, stał zamyślony na plaży, założywszy potężne ramiona na nagim torsie. Układ ujścia rzeki wydał mu się dziwnie znajomy, a do głowy cisnęła mu się nazwa rzeki: Zikamba. Musiał kiedyś widzieć ten skrawek wybrzeża narysowany na mapie, lub też faktycznie zawitał tu wiele lat wcześniej, podczas swych podróży z Bélit.

Ponura, pokryta bliznami twarz Conana rozjaśniała się, gdy wspominał lata spędzone z Bélit u boku i hordą wyjących czarnych korsarzy za plecami. Bélit — kobieta jak rozmarzona, śniada pantera, Bélit — której oczy były jak czarne gwiazdy — jego pierwsza i największa miłość.

Z szybkością tropikalnego sztormu z zarośli wyskoczył ryczący tłum nagich Murzynów. Ich hebanowe ciała lśniły spod paciorków, piór i barw wojennych. Strzępy skór dzikich zwierząt okalały ich biodra; ręce wywijają zdobnymi w pióra włóczniami.

Tłumiąc przekleństwo, Conan zerwał się z miejsca, ze zgrzytem stali wyszarpując miecz i wrzasnął:

— Do mnie, pirackie psy! Za broń! Do mnie, a żywo!

Przywódca czarnych wojowników był muskularnym olbrzymem przypominającym posąg gladiatora wykuty w błyszczącym, czarnym marmurze. Podobnie jak pozostali był nagi, jeśli nie liczyć przepaski ze skóry lamparta na biodrach, kilku paciorków i bransolet. Korona z czaplich piór trzęsła się nad jego głową. Inteligentne czarne oczy patrzyły z jaśniejszą godnością i majestatem twarzy.

W rzeczy samej, na pierwszy rzut oka wydał się Conanowi dziwnie znajomy. Korsarz nie miał jednak czasu przeszukiwać zakamarków swej pamięci. Wbiegł po wzniesieniu plaży, stając z błyszczącym w słońcu mieczem na czele prędko zbierającej się załogi, by stawić czoła nadciągającemu tłumowi czarnych wojowników. Nagle przybrany w pióra wojownik — przywódca przystanął, uniósł długie, potężne ramiona i zawołał:

— Simamani, wote!

Rozkaz ten zatrzymał nacierający tłum, poza jednym człowiekiem, który wyskoczył zza pleców wodza i zamachnął się, by cisnąć ostrą dzidą w kierunku Conana. Ramię jego rozpoczęło już ruch w przód, gdy z szybkością atakującej żmii wódz spuścił na głowę wojownika swe kirri z twardego drewna. Ofiara padła bez czucia na żółty piasek.

Conan krzyknął do swych ludzi, by wstrzymali natarcie. Przez dłuższą chwilę dwie grupy uzbrojonych mężczyzn stały naprzeciw siebie z zatrutymi oszczepami i napiętymi łukami w dłoniach. Conan i czarny olbrzym patrzyli na siebie, dysząc ciężko w pełnej napięcia ciszy. Wtem białe zęby czarnego wodza rozbłysły w uśmiechu.

— Conan! — powiedział po hyrkańsku. — Czy nie pamiętasz starego towarzysza?

Gdy przemówił, pamięć Conana przebudziła się.

— Juma! Na Croma i Mitrę, Juma! — ryknął.

Ciskając miecz na ziemię, rzucił się w potężne ramiona roześmianego Murzyna. Korsarze patrzyli zdumieni, jak dwaj olbrzymi grzmocą się po plecach i ramionach przyjacielskimi uderzeniami.

Wiele lat temu Conan służył w legionach Króla Turanu, Yildiza, daleko na Wschodzie. Kuszyta Juma też był tam najemnikiem. Służyli razem w nieszczęsnej wyprawie do dalekiej Hyrkanii jako eskorta jednej z córek Yildiza, która wyruszyła, by poślubić jakiegoś księcia nomadów żyjących w stepach.

— Czy pamiętasz tę walkę w śniegach Talakmasu? — spytał Juma — i tego brzydkiego, małego króla — boga, jak on tam się nazywał? Jalung Thongpa, czy jakoś tak...

— Pewnie! A to, jak ten paskudny zielony bożek króla-demona Yamy, wysoki jak dom, ożył i rozgniół swego jedynego syna jak robaka?! — odpowiedział Conan z zapalem. — Na Croma! To były czasy! Ale co też, do dziewięciu szkarłatnych piekieł, robisz tutaj? I jak zostałeś wodzem tych wojowników?

Juma zaśmiał się.

— Gdzież powinien być czarny wojownik, jeśli nie na Czarnym Wybrzeżu? A gdzież powinien wracać rodowity Kuszyta, jeśli nie do Kush? Mógłbym zresztą spytać cię o to samo, Conanie. Odkąd to jesteś piratem?

Conan wzruszył ramionami.

— Człowiek musi jakoś żyć. Poza tym nie jestem piratem, lecz uczciwym, licencjonowanym korsarzem w służbie zingarańskiej korony. Co prawda, gdyby pomyśleć, to... hm... faktycznie

niewielka to różnica. Ale opowiedz mi o swoich przygodach. Jak to się stało, że opuściłeś Turan?

— Przyzwyczajony jestem do sawanny i dżungli, Conanie. Nie pochodzę z mroźnej Północy, jak ty. Poza tym, zmęczyło mnie już odmrażanie tyłka każdej turańskiej zimy.

W ogóle, odkąd powędrowałeś na zachód, skończyły się przygody. Tęskniłem, by znów ujrzeć palmę i przycisnąć pulchną czarną dziewczkę pod krzakiem dzikiej róży. Rozwiązałem więc umowę, popłynąłem na południe do czarnych królestw i sam zostałem królem!

— Ach tak, królem? — chrząknął Conan. — Królem czego? Nie wiedziałem, że jest tu jeszcze coś oprócz band dzikusów z gołymi tyłkami.

Przewrotny uśmiech rozjaśnił hebanową twarz Juma.

— Z pewnością nimi są — a przynajmniej byli, zanim Juma przybył i nauczył ich cywilizowanej sztuki walki — Juma odwrócił głowę i przemówił do swych ludzi, którzy stali z tyłu zdenerwowani, gdy ich przywódca rozmawiał z obcym wodzem w języku, którego nie rozumieli.

— Rahisi!

Murzyni uspokoili się i usiedli na piasku tam, gdzie stali. Korsarze za plecami Conana poszli za ich przykładem, czujnie jednak obserwując Murzynów. Juma mówił dalej:

— Zastałem moje rodzinne plemię uwikłane w odwieczną walkę z plemieniem sąsiednim. Podbiliśmy ich i przyłączyli, a ja zostałem przywódcą wojskowym. Potem podbiliśmy jeszcze dwa inne plemiona, a ja zostałem księciem wojennym. Teraz jestem władcą tego wybrzeża na przestrzeni pięćdziesięciu mil, a my zaczynamy stawać się narodem. Planuję nawet budowę przyzwoitej stolicy, gdy już się za to zabiorę,...



— Do diabła! — rzekł Conan. — Nauczyłeś się znacznie więcej od tej tak zwanej cywilizacji niż ja. Przynajmniej więcej osiągnąłeś. Życzę ci powodzenia! Gdy te twoje byczki wyszły na nas z lasu, myślałem, że bogom znudziła się już zabawa nami, więc zamierzają zmieść nas z planszy i sprawić sobie nowy komplet figur. Wylądowaliśmy tu po wodę, bo dopiero co staliśmy unieruchomieni przez ciszę niedaleko przeklętej wyspy pełnej duchów-węży i chodzących posągów.

— Będziesz miał dość wody, by zanurzyć w niej swój statek — obiecał Juma — a gdy załadujecie już wszystko, czego wam trzeba, będziecie wszyscy dziś wieczorem gośćmi w mej wiosce. Sprawimy sobie taką ucztę, że oniemiejecie. Mam świeże wino bananowe, które powinno zaspokoić nawet twoje pragnienie!

Tej nocy większa część załogi Conana rozłożyła się na trzciniowych matach w wiosce Jumy, Kulalo, zostawiając na „Łobuzie” szczątkową obsadę. Kulalo — która właściwie była sporym miastem — stanowiła potrójny pierścień stożkowych chat z bambusa i słomy, chroniony wysoką palisadą i zasiekami z ciernistych krzewów.

Na otwartej przestrzeni w sercu miasta wykopano olbrzymi dół. Wypełniony był chrustem i zaopatrzony w wielkie szpikulce, na których, skwiercząc, obracały się woły, świnie i antylopy. Rzeźbione, drewniane naczynia ze słodkawym, zwodniczo łagodnym w smaku winem bananowym krążyły z rąk do rąk. Podczas gdy czarni muzycanci wybijali złożone rytmy na bębnach, przebierali palcami po fletach i szarpali tradycyjne liry, młode Murzynki, odziane jedynie w kilka piór i paciorki, tańczyły przed pomarańczowymi płomieniami klaszcząc w dłonie. Wydając chóralne okrzyki wykonywały skomplikowane ewolucje, jakich nie powstydzilaby się nawet cesarska trupa

tancerek. Żeglarze objadali się dzikimi świniami, ciastkami z prosa słodzonymi syropem z sorga i górami soczystych, dojrzałych owoców.

Ludzie Sigurda dołączyli do załogi Conana w czasie uczty. Serdeczna, hałaśliwa scena zafascynowała Argijczyków. Przez moment obie grupy żeglarzy były zbyt rozradowane i wdzięczne za jadło, napoje i rozrywki, by sobie dogryzać. Niejedna pulchna, hebanowa dziewczka o dużych oczach zwracała na siebie uwagę któregoś z korsarzy i, ścigana, uciekała z piskiem w zacisze pobliskiej chaty, by za pół godziny wrócić z rumieńcem na twarzy, wymiętoszona i ochoczo zaspokojona.

Conan obawiał się, że mogą wyniknąć z tego kłopoty. Jego korsarze od wielu tygodni już nie widzieli kobiet. Jednak ku jego przyjemnemu zdziwieniu, czarni wojownicy Króla Juma wydawali się nie mieć nic przeciwko temu. Wyglądało nawet, że użyczenie kobiet uważali za komplement, aczkolwiek po zaspokojeniu żądź korsarze napotykali wyciągniętą w oczekiwaniu na podarek rękę uśmiechniętego towarzysza kobiety. Uspokojony, że udało mu się uniknąć problemu, Conan stwierdził, że wiele dobrego można by powiedzieć o sposobie życia dzikusów.

Księżniczka Chabela uznała to zwierzęce zachowanie za nieznośne i dała temu wyraz. Siedziała pomiędzy Conanem a Jumą. Podczas, gdy rozmawiali nad jej głową, opowiadając sobie przygody, które każdy z nich przeżył po opuszczeniu Turanu dawno temu, Conan z rozbawieniem obserwował sztywny wyraz twarzy księżniczki, gdy chłodnym wzrokiem spoglądała w stronę leżących w cieniu postaci.

Conan obawiał się nieco, że Juma może oczekiwać w zamian za swą gościnność użyczenia Chabeli. Wśród Kuszytów należało

to najwyraźniej do dobrego tonu. Gdy zastanawiał się, jakie znaleźć wyjście z niezręcznej sytuacji, Juma dał mu do zrozumienia, że wie wystarczająco wiele o zwyczajach ludzi cywilizowanych, by zdawać sobie sprawę, że w grę wchodzi różnego rodzaju prawa i zapewnić, że księżniczce nic z jego strony nie grozi.

— Na wnętrzości Croma, przyjacielu — wyrzucił z siebie Conan — to właśnie jest życie! Nie widziałem tych przeklętych gwiazd i nie mogłem określić, gdzie jesteśmy, a nie mamy na „Łobuzie” map sięgających tak daleko na południe. Nie wiedziałem, czy nie znaleźliśmy się w baśniowej krainie Amazonek.

Wychylił jeszcze jeden kielich bananowego wina. Juma otrzeźwiał.

— Właściwie można powiedzieć, że znaleźliście się w niej. Przynajmniej wojowniczeki z Gamburu — ich głównego miasta — uważają to wybrzeże za swoje terytorium. Brakuje mi jednak możliwości kontroli nad tą ziemią, gdyż jeszcze inne plemiona żyją pomiędzy ich krajem a moim.

— Słyszałem, że trudno pokonać te suki. Dobrze, że nie muszę sam się o tym przekonać, bo walka z kobietami nie leży w mojej naturze. A ty miałeś jakieś kłopoty z tymi Amazonkami?

— Trochę na początku. Szkolę moich chłopców, by strzelali jak Turańczycy — Juma z żalem pokręcił głową — ale to trudne. Nie mamy tu odpowiedniego drewna na łuki, a moi ludzie nawet nie osadzają piór w strzałach. Są uparci i mówią: „Tak się to robiło od czasu, gdy Damballah stworzył świat, — więc tak należy to robić”. Czasami myślę, że łatwiej nauczyć zebra gry na cytrze. Mimo to mam teraz najlepiej wyszkolonych łuczników w Kush. Ostatnim razem, gdy Amazonki naruszyły naszą granicę, tak

naszpikowaliśmy kilka z nich strzałami, że wyglądały jak jeżozwierze.

Conan roześmiał się, lecz zaraz dotknął ręką pulsującego czoła. Wino bananowe miało zwodniczo łagodny, słodki smak, który skrywał piorunujące działanie. Mamrocząc przeprosiny, Conan wstał lekko się chwiejąc i skrył się za najbliższą chatą, by sobie ulżyć. Postanowił zakończyć zabawę tej nocy. Wróciwszy do królewskiego posłania, podniósł tobołek, który przywiózł był ze sobą. Pakunek zawierał Koronę Kobry zawiniętą w koc. Nie zostawił jej na pokładzie „Łobuza”, gdyż bogactwo zawarte w klejnotach kusić mogło nawet jego najbardziej zaufanych ludzi. Jako że zdążył ich już polubić, wolał oszczędzać im pokus, niż być później zmuszonym wieszać któregoś na rei.

Pożegnawszy się z Sigurdem, Zeltranem, Jumą i milczącą księżniczką, ruszył chwiejnym krokiem w kierunku chaty, którą Juma dla niego zarezerwował. Za chwilę chrapał już, wydając dźwięki jak odległy grzmot.

Zamroczony alkoholem, Conan nie dostrzegł zawziętego wyrazu twarzy jednego z wojowników Jумы, gburowatego Murzyna imieniem Bwatu. Był to człowiek, który omal nie cisnął włócznią w Conana na plaży i którego powalił Juma. Ten cios dokuczał mu bardzo. Będąc wysoko postawionym wojownikiem w radzie Jумы, Bwatu czuł się obrażony, że wódz obszedł się z nim jak z jakimś prostakiem. Podczas uczty jego ponury wzrok raz po raz zatrzymywał się na zawiniątku u stóp Conana. Uwaga, jaką poświęcał mu kapitan piratów sugerowała, że musi to być coś bardzo wartościowego.

Bwatu śledził uważnie, do której chaty udał się Conan. Gdy uczta trwała w najlepsze, we wspaniałym świetle tropikalnego księżyca podniósł się i — zataczając się jak pijany, choć był

prawie zupełnie trzeźwy — oddalił się w cień. Gdy tylko zniknął w mroku, zawrócił w atramentową aleję między chatami. Zbłąkany promień księżycy błysnął na ostrzu sztyletu, który otrzymał właśnie od któregoś z żeglarzy za udostępnienie jednej ze swych kobiet.

Daleko na północy, w oazie Khajar w Stygii, Thoth-Amon godzinami przeszukiwał przestrzenie astralne w poszukiwaniu śladów miejsca, w którym znajdowała się cenna relikwia ludzi-węży z upadłej wieki temu Waluzji. Podczas gdy Menkara i Zarono spali w alkowach za sanktuarium jego pracowni, potężny Stygijczyk dostrzegł wreszcie bezcelowość swoich wysiłków. Usiadł nieruchomo, patrząc zimnym wzrokiem w nicość.

Cienie przepływały i migotały w wielkiej kryształowej kuli, którą niewidzialne ręce umieściły przed jego tronem. Mgliste, migotliwe promieniowanie, wysyłane przez ruchome postacie wewnątrz kryształu, rzucało falujące cienie na rzeźbione ściany komnaty.

Thoth-Amon ustalił, że Korona Kobry nie spoczywała już w swym pradawnym ukryciu pod kamiennym bożkiem-ropuchem Tsathogguą. Tylko inna grupa żeglarzy, przypadkiem czy też celowo lądując na Bezimiennej Wyspie, zabrać mogła Koronę. Dzięki mocy swego kryształu Thoth-Amon cał po calu przeszukał całą wyspę. Nie tylko zniknęła z niej Korona; nie pozostały tam też żadne istoty ludzkie. Nie było śladu zingarańskiej księżniczki, o ucieczce której opowiedział mu Zarono. Zniknięcie Korony i Chabeli, zniszczenie bożka — wszystko to wskazywało na interwencję nieznaną grupy.

W komnacie zalegała niezmacona cisza. Cienie przesuwały się po ścianach i siedzącej na tronie postaci, tak nieruchomej, jakby też wyrzeźbiona została z kamienia.



## ROZDZIAŁ XI

# PAJĘCZYNA PRZEZNACZENIA

Trudno było zaskoczyć nawet uśpionego Conana z Cymerii, tym razem jednak tak się stało. Łagodny w smaku, lecz uderzający do głowy trunek pogrążył go w głębokim śnie, dopóki nie obudziło go poczucie zagrożenia. Wolno przychodził do siebie, niejasno zdając sobie sprawę, że coś jest nie w porządku. Z początku nie wiedział. Zauważył długą szczelinę wyciętą w plecionej trzcinie, z której wykonane były ściany chaty. Rozcięcie biegło od wysokości głowy człowieka aż do ziemi, a zimne powietrze owiewało przez otwór jego spocone ciało. Conan sięgnął ręką w miejsce, gdzie położył swój pakunek. Następnie, miotając przekleństwo, zerwał się na równe nogi i wpatrzył w mrok spowijający chatę. Korona Kobry zniknęła.

Straszliwa wściekłość zawrzała w sercu Conana, a jego ryk pełen furii zatrzęsł cienkimi ściankami chatki. Wyszarpując miecz i klnąc siarczyście, wyskoczył na zewnątrz.

Uczta trwała nadal dla tych nielicznych, którzy wciąż jeszcze potrafili ustać na nogach. Olbrzymi ogień przygasał, gwiazdy świeciły jak grupki klejnotów nad kołyszącymi się palmami, a niemal pełny księżyc ukazywał swą srebrną tarczę.

Pomiędzy tymi, którzy nie poszli jeszcze spać, Conan dostrzegł Jumę i Sigurda. Jego okrzyk natychmiast postawił ich na nogi.

W krótkich słowach opowiedział, co się stało. Jako że korona była jedynym łupem zdobytym podczas tej wyprawy, jej strata

doprowadzała Conana do szału.

Policzono wszystkich korsarzy, choć niewielu było przytomnych. Natomiast pobieżny przegląd mieszkańców Kulalo wykazał, że jednego z nich brakuje.

— Bwatu! Niech Damballah osmali jego czarną duszę! — wykrztusił w gniewie Juma, wściekły, że jeden z jego ludzi śmiało okraść gościa.

— Znasz tego psa? — ryknął Conan, zbyt rozwścieczony, by uważać na słowa. Juma skinął tylko głową ponuro, opisując winowajcę.

— To ten szpetny gbur, którego rozciągnąłeś na plaży? — spytał Conan.

— Ten sam. Sądzę, że żywi do nas obu urazę.

— Albo zauważył klejnoty w worku! — wtrącił Sigurd. — Co zrobić? Czy podejrzewasz, gdzie ten łotr mógł się ukryć, królu Jumo? Na wnętrzności Ahrimana i ogniste szpony Shaitana, dopadniemy go, zanim zdąży się ruszyć!

— Prawdopodobnie pójdzie w kierunku ziemi naszych wrogów, plemienia Matamba — Juma wskazał na północny wschód. — Dalej na północ mógłby wpaść na szlak łowców niewolników, którzy od dawna są tam bardzo aktywni. Z drugiej strony, nie mógł pójść za daleko na południowy wschód, gdyż leży tam...

Stać i słuchać, jak Juma spokojnie rozważa wszelkie możliwości, podczas gdy bajeczna fortuna coraz bardziej oddalała się w mroczną dżunglę, to było zbyt wiele dla kipiącego gniewem Conana. Przerwał więc niecierpliwie rozmyślenia Jumy.

— Kłapcie szczękami całą noc, jeśli chcecie — warknął. — Gdzie jest droga do kraju Matambów?



— To ścieżka za rozwidleniem przy Wschodniej Bramie, a szlak wiedzie na północny wschód...

Nie czekając dłużej, Conan rzucił się w kierunku swej chaty. Przystanął po drodze, by wylać sobie na głowę dzban wody. Szedł dalej, buchając parą jak morski potwór wyrzucony na plażę, lecz przestało łomotać mu pod czaszką, a zmysły zaczęły się wyostreć.

Gdy odgarnął czarną grzywę z oczu, zobaczył Chabełę owiniętą w koc, przypatrującą mu się ze swej chaty.

— Kapitanie Conan! — zawołała. — Co się stało? Ktoś napadł na miasto?

Potrząsnął głową.

— Nic takiego, moja mała. Ukradziono mi tylko książęcy okup w szlifowanych diamentach, gdy sobie chrapałem. Wracaj prędko na posłanie!

Nadszedł zasapany Sigurd.

— Lwie! — rzekł. — Juma i jego przybocznicy budzą najszybszych wojowników. Nie zapuszczaj się sam w dżunglę. Bogowie tylko wiedzą, jakie bestie mogą tam grasować, zaczekaj więc na Jumą...

— Niech was wszyscy diabli! — mruknął Conan, którego oczy świeciły jak u drapieżnika na łowach. — Ruszam za Bwatu zanim jego ślady ostygną i niech Crom zmiłuje się nad leśnymi bestiami, które dziś wejdą mi w drogę!

Ruszył nie mówiąc nic więcej. Popędził w kierunku Wschodniej Bramy jak atakujący bawół i zniknął im z oczu.

— Przeklęta cymeryjska gwałtowność! — warknął Sigurd, po czym posłał przepaszające spojrzenie księżniczce i sam rzucił się w mrok za przyjacielem wołając:

— Zaczekaj na mnie! Nie idź sam!

W wiosce wrzało. Juma i jego oficerowie chodzili pomiędzy śpiącymi, budząc ich kopniakami, stawiając siłą na nogi, wrzeszcząc komendy.

W tym zgiełku nikt nie zauważył, jak Chabela wślizgnęła się do swej chaty, by wdziać szorstki strój, w który zaopatrzył ją Conan. Wymknęła się znów na zewnątrz — odziana, obuta i uzbrojona i kryjąc się w cieniu ruszyła w kierunku Wschodniej Bramy.

— Jeśli ten pijany głupiec myśli, że może rozkazywać księżniczce z królewskiego Domu Ramiro... — szeptała gniewnie do siebie.

Oprócz urazy wywołanej obcesowymi komendami Conana był jeszcze inny, ważniejszy powód, dla którego samotnie wyruszyła z Kulalo w ślad za korsarzem. Mimo swoich złych manier traktował ją dobrze i chronił. Gdy obiecał odwiedzić ją całą i zdrową do ojca, wierzyła, że mówi szczerze. Dlatego też czuła, że może wierzyć mu dalece bardziej niż jego pirackiej załodze czy też hordzie czarnych barbarzyńców Jumy. Z takimi myślami zniknęła w dżungli, z której mroków dochodził pomruk polującego lamparta.

Minęło kilka godzin, w ciągu których gniewny pośpiech poprowadził Conana kilkanaście mil drogą do kraju Matamba. Sigurd został daleko w tyle. Gdy Cymeryjczyk przystanął, by chwilę odetchnąć, pomyślał, czy nie poczekać, aż pirat dogoni go. Po chwili jednak stwierdził, że jakikolwiek postój może pozwolić przebiegłemu Kuszyście wymknąć się poza zasięg jego zemsty. Myśl ta kazała mu pomknąć drogą z nową energią.

Conan znał kuszyckie dżungle z czasów, gdy — dekadę temu — był przywódcą wojennym plemienia Bamula, dalej na północy. O ile człowiek z mniejszym doświadczeniem pomyśleć mógł, że samotne zapuszczanie się w dżunglę było rzucaniem się w

paszczę straszliwych niebezpieczeństw, o tyle Conan wiedział co innego. Wielkie koty, na przykład, są sprytnymi myśliwymi, lecz nie grzeszą odwagą. Niewiele z nich zaatakowałoby człowieka, chyba, że byłyby głodne lub zbyt stare, by schwytać szybszą ofiarę. Już sam hałas czyniony przez Conana tupiącego po krętej ścieżce był najlepszą gwarancją bezpieczeństwa.

Co prawda dżungla skrywała i inne bestie, często groźniejsze od kotów: ociężałe goryle, niezgrabne nosorożce, potężne bawoły i wielkie jak góra słonie; te jednak, będąc roślinożercami, zostawiają na ogół człowieka w spokoju, jeśli da im się wystarczająco dużo miejsca. Zaatakować mogłyby tylko przestraszone lub pozbawione drogi odwrotu. Na szczęście Conan nie spotkał żadnego z nich podczas pościgu za Bwatu.

Gdy niebo rozjaśniło się przed świtem, Conan łapczywie napił się wody ze źródła, po czym obmył pierś i ramiona. Kolce i ciernie poszarpały jego białą bluzę i zostawiły szkarłatne ślady zadrapań na piersiach i rękach, aż tors spływał błotem, krwią i potem. Przeklinając przetarł oczy grzbietem dłoni, odrzucił do tyłu czarną grzywę i spoczął na moment. Później wstał z przekleństwem na ustach i ruszył zawzięcie dalej, ufając swej żelaznej sile. Wielokrotnie miał okazję sprawdzić swą wytrzymałość w ciągu wielu lat dzikich przygód; wiedział więc, że potrafi przetrzymać każdego zwykłego mężczyznę, nawet z tych najmocniejszych. Słońce wzeszło nad kuszycką dżunglą, rozświetlając parny, wilgotny poranek. Wielkie koty wróciły do swych kryjówek z pustymi lub pełnymi brzuchami — w zależności od przypadku — by przespać najgorętszą porę dnia.

W coraz jaśniejszym świetle Conan dostrzegął od czasu do czasu w miejscach, gdzie ścieżka była błotnista, świeże ślady bosych, długich, skośnie ściętych stóp. Był pewny, że to trop

uciekającego Bwatu. Chociaż droga, jaką przebył Conan, zwałaby z nóg większość mężczyzn, widok tych śladów dodał mu nowych sił.

Chabela po niedługim czasie, podążając przez las za Conanem, zaczęła żałować swego pochopnego czynu. Conan i Sigurd, nie wiedząc, że dziewczyna idzie za nimi, wkrótce znacznie się oddalili. Księżniczka zboczyła na zakręcie ścieżki ze szlaku, tracąc wszelką orientację w terenie. Gdy zaszedł księżyc, dżungla stała się czarna jak smoła. Pod baldachimem liści nie widziała gwiazd, które mogłyby wskazać jej właściwy kierunek. Krążyła bezradnie po lesie wpadając na drzewa i potykając się o korzenie i chaszczę. Noc żyła ćwierkaniem, cykaniem i brzęczeniem owadów. Chabela obawiała się dzikich bestii, lecz nie natknęła się na żadną. Od czasu do czasu jednak odgłos wielkiego cielska przedzierającego się przez zarośla powodował, że serce podchodziło jej do gardła.

Przed świtem, drżąc ze strachu i wyczerpania, dziewczyna osunęła się na porośniętą mchem polanę, by odpocząć chwilę. Jak mogła zrobić coś tak głupiego, żeby zapuścić się w bezdroża tego labiryntu? Śmiertelnie znużona, wkrótce zasnęła.

Obudziła się z przerażeniem, gdy silne, czarne ramiona chwyciły ją i postawiły na nogi. Otaczali ją chudzi czarni mężczyźni w podartych szatach i turbanach. Związali jej ręce z tyłu i uciszli krzyki kneblując usta.

W środku poranka Conan dogonił Bwatu, czego od początku był pewny. Bwatu nie był jednak w stanie oddać Conanowi skradzionej korony. Leżał bowiem martwy z pustymi rękami.

Czarny złodziej ułożony był twarzą do ziemi w kałuży krwi na ścieżce. Był dosłownie pocięty na kawałki. Conan pochylił się nad ciałem i obejrzał rany. Stwierdził, że zadano je ostrzami

stalowych mieczy, nie zaś grotami włócznie tubylców, wykonanymi z brązu, krzemienia lub kości słoniowej. Oręż z brązu i miedzi łatwo się tępił i karbował w użyciu, dlatego też zostawiał raczej rany szarpane; te zaś, które oglądał, były typowymi cięciami dobrze naostrzonej stali. Czarne ludy kuszyckich dżungli nie znały sztuki wytapiania i kucia żelaza. Dlatego też żelazo i stal były tu, na dalekim południu, rzadkością. Przywędrować mogły jedynie za sprawą kupców i bardziej rozwiniętych ludów z północy: Królestwa Kush, Darfaru i Keshanu. Conan zastanawiał się, czy to czarne Amazonki zaatakowały złodzieja i zabrały koronę, pozbawiając w ten sposób jego, Conana, i własności, i zemsty. Wstając wykrzywił gniewnie wargi. Nagle z gałęzi nad głową spadła na niego ciężka sieć. Grube liny oplatały i unieruchomiły ręce i nogi. Rycząc wściekle, pchnął na oślep mieczem, lecz sztywny materiał zamortyzował cios i spowił więźnia jeszcze ciaśniej.

Jak sieć ogromnego pająka plecionka ściągnęła Conana na ziemię, tłumiąc jego ciosy. Murzyni w sukniach i turbanach, którzy wyszli z ukrycia przy drodze, spokojnie i ze znanstwem zaciągnęli sznury zacieśniające sieć wokół Conana jak kokon gigantycznej gąsienicy. Inni zeszli z gałęzi drzewa i kijami szybko pozbawili jeńca przytomności.

Zapadając w mrok, Cymeryjczyk wyzywał się w myślach od zaślepionych głupców. Nigdy jeszcze nie dał się złapać w tak prostą pułapkę, zaplątany w sieć jak kuszycka leśna świnia. Teraz było już jednak za późno na żale...

## ROZDZIAŁ XII

# MIASTO WOJOWNICZEK

W oazie Khajar panowała ciemna noc. Ciężki całun chmur okrywał pustynię, odcinając dostęp promieni księżyca, które ukazywały się jedynie jako słaba, szarawa iluminacja prześwitująca przez chmury. Ciemno było również w sali tronowej Thoth-Amona. Zielone płomienie pochodni przygasły, przypominając robaczki świętojańskie. Wydawało się, że stygijski czarnoksiężnik drzemie na swym rzeźbionym krześle; siedział bowiem na nim bez ruchu. Gdyby ktoś obserwował go wtedy, dostrzegłby, że muskularna pierś nie wznosi się i nie opada. Ponura twarz bez wyrazu była pusta jak maska. Wydawało się, że tego ciała nie zamieszkuje żaden duch. Tak też było w istocie. Nie znalazłszy żadnych informacji o Koronie Kobry na planie astralnym, Thoth-Amon uwolnił swoje ka z krępującego je ciała i wzniosł się na plan najwyższy, akaszycki. Tu, w mrocznej dziedzinie pozamaterialnego ducha, prawa czasu nie obowiązywały. Przeszłość, teraźniejszość, a nawet mglisty obraz przyszłości, ukazywały się wszechogarniającemu wzrokowi mistrza jak czterowymiarowa mapa. Tutaj duchowa jaźń Thoth-Amona była w stanie w pewnym sensie „ujrzeć” przybycie „Petrela”, lądowanie Conana, przebudzenie boga-ropucha, jego zagładę, zabranie Korony Kobry i dalszą podróż Conana na Czarne Wybrzeże. Tyle właśnie zobaczył Thoth-Amon, nim pozwolił swemu ka zejść na niższe plany kosmosu. Ka musiało w

porę powrócić, by nie stracić na zawsze łączności z ziemskim ciałem.

Thoth-Amon wracał do swego ciała z uczuciem podobnym do tego, gdy zdrętwiałe członki na nowo odżywają. Było to coś jak dobrze znane „igiełki”, gdy krążenie w kończynie zostanie na moment przerwane. W przypadku księcia czarnoksiężników klucie rozeszło się jednak po całym ciele. Zniósł ból ze stoickim spokojem. Następnie...

— Zarono! Menkara! — głos Thoth-Amona przetoczył się jak grzmot przez krypty pod jego pałacem.

— Hę? — mruknął Zarono, naciągając na siebie kubrak i wyszedł ze swej sypialnej komnaty ziewając i przecierając oczy.  
— Co się stało, panie?

Menkara wślizgnął się cicho za nim.

— Przygotujcie się do natychmiastowego powrotu na Czarne Wybrzeże. Zlokalizowałem właśnie Koronę Kobry i waszą księżniczkę Chabelę. Są w Kulalo, stolicy Kuszyty Jумы.

— Jak się tam dostali? — spytał Zarono.

— Twój kamrat-zbir, Conan Cymeryjczyk, zabrał ich...

— Ten przeklęty barbarzyńca! — warknął Zarono. — Ja go...

— Jeśli go spotkasz, zrób z nim, co zechcesz. Nie darzę go uczuciem, gdyż rozdrażnił mnie nieco w czasie swoich przygód. Jednak głównym waszym zadaniem będzie ponowne schwytanie księżniczki. Nawet ja nie uzyskam kontroli nad jej umysłem na tak wielką odległość.

— A Korona?

— Zostawcie to mnie.

— Czy wyruszysz z nami, panie?

Thoth-Amon uśmiechnął się blado.

— Nie, nie ciałem. Będzie to wymagało czarów, jakich dokonać

potrafi ledwie kilku czarnoksiężników na całym świecie, a oprócz tego niemal całkowicie wyczerpie to całą moc, zamierzam jednak dotrzeć do Kulalo przed wami. Nie traćcie czasu, zbierajcie swoje toboły i ruszajcie zaraz. Nie czekajcie nawet do świtu!

Conan obudził się w podłym nastroju. Bolała go głowa — i to zarówno z przedawkowania bananowego trunku, jak i z powodu razów, które pozbawiły go przytomności. Był ponadto rozbrojonym i bezradnym więźniem w rękach łowców niewolników. Choć nieraz już mu się to zdarzało, zawsze doprowadzało go do dzikiej furii. Sądząc po kącie padania promieni słonecznych, które jak świetlne włócznie przeszywały dach z liści, upłynęło już kilka godzin. Przyjrząwszy się głębokim zadrapaniom na rękach i nogach, Cymeryjczyk stwierdził, że wleczono go przez zarośla aż do polany, na której obecnie się znajdował. Ciężkie okowy krępowały mu nadgarstki. Rozejrzał się dookoła spod zmierzwionej grzywy, zwracając uwagę na liczebność, czujność i rozmieszczenie posterunków strażniczych.

Zdumiał się, ujrawszy nagle pobladałą z przerażenia twarz Chabeli. Dziewczyna siedziała skulona w grupie przygnębionych Murzynów. Nie miał pojęcia, w jaki sposób mogli ją schwytać. Nie dostrzegł jednak wśród więźniów Sigurda. Trudno było powiedzieć, czy to dobrze, czy też źle.

Na polanę wjechał na chudej kłaczy wysoki Murzyn, ubrany w popielatą szatę łowcy niewolników. Jak pozostali łowcy, skórę miał czarną, był jednak chudy i żyłasty, o rysach twarzy ostrzejszych, niż zwykle spotyka się u ludzi z plemion żyjących w dżungli. Conan odgadł, że są to Ghanaci, o których opowiadał mu Juma. Ten lud czarnych nomadów zamieszkiwał pustynie wzdłuż południowych granic Stygii. Podczas gdy łowcy niewolników z



Shemu i Stygii napadali na Ghanatów i inne ludy z Kush i Darfaru, Ghanaci w odwecie zapuszczali się dalej na południe, w równikowe dżungle.

Przybyły zatrzymał się i zamienił kilka słów z dowódcą oddziału, który pojmał Conana. Tamten odwrócił się i trzaskając z bicia wrzasnął na swych ludzi, by popędzili niewolników.

Więźniowie ustawieni byli w dwuszereg. Ich okowy były połączone ze sobą, by żaden nie mógł uciec w pojedynkę. Olbrzymi Cymeryjczyk, górujący nad otaczającymi go Murzynami, wodził dookoła spojrzeniem rozdrażnionego lwa. Jeździec obrzucił swój połów zimnym wzrokiem pełnym pogardy.

— Na Zambiego! — chrząknął i splunął. — Za tych ludzi dostaniemy w Gamburu najwyżej garść muszelek!

Jego porucznik skinął głową.

— To prawda, Panie Mbonani. Wydaje mi się, że są z roku na rok nędzniejsi. Pewnie materiał zarodowy uszczupla się...

W tym momencie jeden z łowców wymierzył Conanowi cios biczem w plecy. Gdy bicz dotknął ciała, Cymeryjczyk ruszył do akcji. Szybszy niż myśl, sięgnął w górę skutymi rękoma, złapał bicz i pociągnął potężnym szarpnięciem.

Wytrącony z równowagi, prześladowca rozłożył się u stóp Conana. Wstając z trudem, ze zdławionym przekleństwem na ustach, wyjął już do połowy zawieszony na pasie ciężki i ostry jak brzytwa ghanacki sztylet.

Nim jednak zdążył wyjąć broń z pochwy, Conan powalił go ponownie celnym kopnięciem w twarz, a następnie zgiął się wpół, wywracając skutych razem z nim niewolników i chwycił za rękojeść sztyletu. Inny z łowców rzucił się w kierunku Conana ze wzniesionym do cięcia toporem, zamierzając rozplatać czaszkę

Cymeryjczyka. Nie zdążył jednak zadać ciosu, gdyż Conan wbił mu sztylet w brzuch aż po rękojeść tak, że ostrze przeszło na wylot na szerokość dłoni tuż nad nerkami.

Gdy łowca niewolników pobladł, zaczął rzezić i upadł, polana rozbrzmiała wyciem kotłującego się tłumu mężczyzn. Skuty łańcuchem Conan nie miał żadnych szans. Mimo to trzeba było pięciu ludzi, by go przytrzymać i trzech jeszcze, którzy uderzeniami pałek w twardą czaszkę powalili go wreszcie, nieprzytomnego, na ziemię.

Mbonani, usiłując utrzymać spłoszoną klacz, obserwował zajście czujnym okiem.

— Hm — chrząknął — ten przynajmniej ma charakter. Biały człowiek... Co też on tutaj robi?

— Wspominałem o nim wcześniej — rzekł porucznik. — Jest tu też biała kobieta, o — to tamta.

Mbonani otaksował wzrokiem Chabelę.

— Ci dwoje to nasza najlepsza zdobycz — powiedział. — Traktuj ich dobrze, Zuru, albo źle będzie z tobą.

Mbonani podjechał do Conana, który z twarzą zalaną krwią z ran na głowie, zamroczony, próbował znów stanąć na nogach. Gdy uniósł zakrwawioną twarz, Mbonani uderzył go swym batem w policzek.

— To za zabicie jednego z moich ludzi — warknął.

Cios pozostawił pręgę, lecz barbarzyńca nie ruszył się i nie krzyknął. Spoglądał tylko na łowcę niewolników z zimną, niewypowiedzianą nienawiścią. Mbonani uśmiechnął się drapieżnie, ukazując białe zęby na tle czarnej skóry.

— Podoba mi się twoja odwaga, człowieku! — powiedział. — Pilnujcie ich, a Amazonki dobrze nam zapłacą. A teraz w drogę!

Eskortowany przez obdartych łowców dwuszereg

niewolników ruszył z brzękiem łańcuchów drogą do Gamburu.

Conan szedł z innymi, a jego żelazny charakter z obojętnością znosił upał, pragnienie, muchy i ciężar palącego słońca. Rozmyślał, co mogło stać się z Koroną Kobry, były to jednak jałowe myśli. Gdy zagrożone jest życie — wiedział to od dawna — łup staje się sprawą drugorzędną.

Za jakiś czas spostrzegł wybrzuszenie w jednym z troków Zuru. Oczy Conana rozbłysły dzikim zadowoleniem. Porucznik może giął się w ukłonach przed kapitanem Mbonani, ale z pewnością miał również własny rozum.

Ghanaccy łowcy niewolników wyprowadzili jeńców z dżungli na trawiastą sawannę. Następnego dnia, błyszcząc w zawieszonym nisko nad horyzontem słońcu późnego popołudnia, ich oczom ukazało się kamienne miasto Gamburu.

Conan z uwagą przyglądał się miastu. W porównaniu z lśniącym Aghrapurem, stolicą Turanu, czy nawet Meroe, głównym miastem królestwa Kush, Gamburu nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia. Mimo to w kraju, w którym większość domów miała kształt niskich cylindrów z wysuszonego błota i słomy, mury miejskie zastępowało ogrodzenie z zaostrzonych pali drewnianych, a całe „miasto” — według standardów północnych — przypominało jedynie przerośniętą wioskę, Gamburu niewątpliwie wyróżniało się.

Wokół miasta biegł niski mur z nie spojonych bloków kamiennych, wznoszący się mniej więcej na dwie wysokości człowieka. Cztery bramy przerywały ciągłość okręgu, a każda z nich wyposażona była w wieżę ze stanowiskami dla łuczników i urządzeniami do odpierania ataków oblegających miasto. W bramach zamocowano masywne drewniane zasuw.

Conan zwrócił uwagę na wykonanie bram. Niektóre z głazów

były zwykłymi polnymi kamieniami, z grubsza ociosanymi, by można było ułożyć je razem. Inne były precyzyjnie obrobionymi blokami kamiennymi, podniszczonymi przez wiek. Gdy Mbonani przeprowadzał pobrzękującą łańcuchami kolumnę przez zachodnie wrota, Conan zauważył, że wszystkie domy w mieście zbudowane są w podobny sposób. Większość budynków była jedno — lub dwupiętrowa, z dachami krytymi strzechą. W większości przypadków niższe piętro wykonano ze starych, starannie oszlifowanych kamieni, podczas gdy wyższe zrobione było w nowym, prowizorycznym stylu. Tu i ówdzie na powierzchni niektórych starych kamieni widać było wyrzeźbione demoniczne, wykrzywione twarze, często wbudowane w ścianę bokiem lub do góry nogami.

Dzięki swej wiedzy na temat zrujnowanych miast Conan wyciągnąć mógł własne wnioski. Jakiś starożytny — być może praczłowieczy — lud zbudował tu miasto. Wieki później zawładnęli nim przodkowie jego dzisiejszych mieszkańców. Budując i przebudowując, wykorzystywali stary materiał i, choć nieudolnie, naśladowali metody budowlane ich poprzedników.

Kopyta klaczy Mbonaniego wzbijały obłoki kurzu z niebrukowanych ulic, od czasu do czasu rozpryskując błoto z kałuż. Kolumna jeńców wlokła się środkiem ulicy, a mieszkańcy miasta tłoczyli się po obu stronach ustępując jej z drogi. Conan idąc rozglądał się na wszystkie strony. Zauważył, że w mieście tym kobiety różnią się od mężczyzn w niecodzienny sposób. Były wysokie i silne; kroczyły wyniośle jak wielkie czarne pantery z mieczami z brązu obijającymi się o nagie uda. Przybrane były w świecące bransolety i koraliki, pióra i przybrania z lwiej skóry na głowę.

Mężczyźni natomiast byli drobnymi, przygaszonymi

Murzynami, niższymi na ogół od kobiet. Przypisani byli do takich służebnych czynności jak sprzątanie ulic, powożenie rydwanami, czy wywożenie śmieci. Conan, wysoki nawet jak na Cymeryjczyka, górował nad wszystkimi.

Kolumna weszła na bazar, gdzie rozłożony pod przykryciem towar ciągnął się wzdłuż szerokiej alei aż do centralnego placu. Ta ogromna przestrzeń, szeroka na odległość strzału z łuku, zamknięta była z jednej strony królewskim pałacem, podniszczoną lecz imponującą budowlą z matowego czerwonego piaskowca. Po obu stronach bramy wznosiły się masywne, przysadziste posągi z tegoż materiału. Nie przedstawiały one postaci ludzkich, co widoczne było w proporcjach. Co jednak miały przedstawiać, trudno było orzec, tak zniszczone były erozją wieków. Mogły być kiedyś posągami sów lub małp, czy też innych przedludzkich stworów.

Uwagę Conana przykuł następnie dziwaczny dół na środku placu. Płytkie wgłębienie miało średnicę dobrych trzydziestu metrów. Jego krawędź wcinała się w ziemię seria koncentrycznych stopni przypominających kamienne ławy w amfiteatrze. Podłoże wysypane było piaskiem, na którym po niedawnym deszczu pozostało jeszcze kilka kałuż. W samym środku rosła osobliwa kępa drzew.

Conan nigdy jeszcze podczas swych podróży nie widział podobnej areny. Mógł jednak tylko przez chwilę rzucić na nią okiem, nim zapędzono go do zagrody dla niewolników. Pozostał tam razem ze współwięźniami przez całą noc pod silną strażą.

To jedno spojrzenie ukazało jednak Conanowi pewien niepokojący szczegół. Porozrzucane u stóp dziwacznych drzew, bielejąc na żółto-brunatnym piasku, leżały kości — ludzkie kości — podobne do tych, które spotkać można w miejscu, gdzie

drapieżny lew pożarł człowieka.

Conan rozmyślał o tym przez całą drogę do zagrody. Wiedział, że Argijczycy karmią czasami lwy skazańcami na arenie w Messantii; jednakże areny takie budowane są w sposób, który uniemożliwia lwu przedostanie się po stopniach pomiędzy rzędy widzów. To wgłębienie było natomiast zbyt płytkie; lew mógłby wydostać się z niego jednym susem.

Im więcej Conan o tym myślał, tym bardziej stawał się niespokojny.

## ROZDZIAŁ XIII

# KRÓLOWA AMAZONEK

Wstał świt, rozjaśniając pomarańczowym płomieniem niebo nad niskimi kamiennymi wieżami miasta Amazonek. Widok ten nie trwał jednak długo, gdyż słońce w tropikach wychodzi niemal pionowo nad horyzont. O brzasku — Conan, Chabela i pozostali niewolnicy wypędzeni zostali z zagrody na bazar. Tam, rozebrani, wprowadzani byli jeden za drugim na podest, przedstawiani, sprzedawani i wreszcie odprowadzani. Kupującymi były wyłącznie kobiety, jako płeć panująca w Gamburu. Wysoki, szczupły Mbonani stał z boku z wyrazem obojętności na jastrzębiej twarzy, podczas gdy kupujące targowały się z jego porucznikiem, Zuru. Wojowniczkі okazywały więcej szacunku Ghanatom, których talenty łowców niewolników wysoce sobie ceniły, niż własnym mężczyznom.

Gdy przyszła kolej na Chabelę, dziewczyna wchodząc na podest spłonęła rumieńcem, starając się zakryć dłońmi swe wdzięki. Zuru zmusił ją wreszcie, by się odwróciła i krzyknął, by rozpocząć licytację.

— Pięć piór — powiedział głos zza zasłony na lektyce. Zuru rozejrzał się po tłumie Gamburuwian i oznajmił:

— Sprzedano!

Jako że oboje mówili uproszczonym językiem ghanackim, używanym w handlu w królestwie Kush i dalej na południe, Conan zrozumiał wszystko. Dziwiło go, że tak niska stawka nie

została przebita. „Pióro” była to długa lotka ze skrzydła jednego z większych ptaków, wypełniona niewielką ilością złotego pyłu, bowiem na ziemi Amazonek nie nauczono się jeszcze używać monet. Conan dziwił się więc, dlaczego za młodą piękność wysokiego rodu nie zaoferowano wyższej ceny. Człowiek w lektyce był widocznie tak ważny, że nikt nie śmiał z nim, czy raczej z nią — poprawił się Conan — rywalizować.

Cymeryjczyk był zmęczony, głodny i w podłym nastroju. Po ciosach zadanych pałkami jego czaszka cała była pokryta ranami i opuchnięta. Zmuszono go do wielokilometrowego marszu w prażącym słońcu, niewiele dano cennej strawy, napoju i snu, był więc drażliwy jak lew z bólem zęba. Gdy jeden z łowców niewolników szarpnął za jego łańcuch, by poprowadzić go na podest, omal nie spowodowało to Conana do gwałtownych, nieprzemyślanych czynów.

Kilka lat temu Conan spuściłby na łowcę śmiercionośną rękę, posyłając konsekwencje tego czynu do wszystkich diabłów. Jednak ciężko zdobyte doświadczenie ostudziło jego zapędy. Mógł z łatwością zabić strażnika i pewnie jeszcze kilku innych, zanim tamci zdołaliby go powalić, co jednak było nieuchronne. Byli to bowiem twardzi rozbójnicy, którzy mieli już do czynienia z niejednym opornym niewolnikiem. Z odległości dziesięciu kroków niejeden z nich potrafił cisnąć oszczepem przez kółko utworzone przez kciuk i palec wskazujący, nie dotykając nawet ciała.

Gdyby Conan ich zaatakował, mógłby dostać kilku w swe ręce; pozostali jednak naszpikowaliby go włóczniami i roznieśli na nożach, zanim zdołaliby nabrać w płuca powietrza, by wydać wojenny okrzyk. Kogo wtedy obchodziłaby Chabela? Angażując się w jej sprawę, co przyznać musiał z niechęcią, stał się za nią w



pewnym sensie odpowiedzialny. Musiał żyć.

Zmrużył oczy i zacisnął usta w wąską linię, a pulsujące żyły na skroniach nabrzmiały w tłumionym gniewie. Jego kończyny drżały, gdy z trudem starał się utrzymać panowanie nad sobą wchodząc na podest. Stojący opodal łowca niewolników wziął to za objaw strachu i szepnął o tym swemu koledze uśmiechając się szyderczo. Conan posłał jednak Murzynowi w turbanie spojrzenie, które starło ów uśmiech z jego twarzy.

— Ty, rozbieraj się! — warknął Zuru.

— Będziesz musiał pomóc mi zdjąć te buty — rzekł Conan spokojnie. — Nogi mi spuchły od tego marszu.

Usiadł na podeście i wyciągnął jedną nogę.

Zuru chrząknął i chwycił but. Przez moment zmagął się z nim daremnie. Conan oparł wtedy z gracją drugą nogę na siedzeniu łowcy, rozluźnił stopę w bucie i pchnął. Zuru poleciał w przód jak wyrzucony z katapulty, by wylądować twarzą w kałuży.

Z wściekłym okrzykiem porucznik podniósł się na równe nogi. Wyrwawszy bat innemu łowcy, podbiegł do miejsca, gdzie siedział Conan z lekkim uśmieszkiem na posępnej twarzy.

— Ja cię nauczę, ty biały psie! — zawył wymierzając Conanowi gwałtowny cios biczem. Gdy pasek skóry hipopotama dosięgał go już jak atakujący wąż, Conan schwycił go błyskawicznym ruchem. Następnie, nie wstając z podestu, oburącz pociągnął do siebie, wlokąc Zuru po ziemi.

— Uważaj, człowieczku! — zagrzemiał. — Nie chcesz chyba uszkodzić własnego towaru, co?

Wódz łowców, Mbonani, przyglądał się całemu zajściu. Starając się powstrzymać uśmiech, przemówił:

— Biały pies ma rację, Zuru. Niech nowy właściciel nauczy go dobrych manier, nie ty.

Zuru był jednak zbyt wściekły, by zważać nawet na swego kapitana. Z dzikim okrzykiem wyszarpnął swój ghanacki miecz. Conan wstał i chwycił luźny łańcuch skuwający mu nadgarstki, by użyć go jako broni.

— Stój! — zabrzmiał władczy głos z osłoniętej lektyki. Rozkazujący ton powstrzymał nawet rozwścieczonego Zuru. Zdobna w klejnoty ręka rozsunęła muślinowe zasłony, które osłaniały pasażera przed oczami pospólstwa. Z lektyki wyszła czarna kobieta, na widok której oczy Conana rozwarły się w niemym podziwieniu.

Kobieta miała niemal dwa metry wzrostu — była prawie tak wysoka jak on, o silnej budowie ciała. Była czarna jak naoliwiony heban, a promienie słońca igrały na jej skórze, uwydatniając ciężkie piersi, gładkie, lśniące uda i długie umięśnione nogi. Zdobny w klejnoty czepiec na gęstych, kręconych włosach przybrany był pawimi piórami pomalowanymi na jaskrawe kolory brzoskwini, rózu i szmaragdowej zieleni. Nieszlifowane rubiny połyskiwały w jej uszach, a sznury pereł świeciły na szyi. Na kostkach i ramionach pobrzękiwały bransolety ze szczerego złota. Poza tym wszystkim, jedynym jej odzieniem była krótka spódniczka ze skóry lamparta okrywająca zmysłowe biodra.

Nzinga, królowa Amazonek, posłała olbrzymiemu Cymeryjczykowi pożądlive spojrzenie. Na bazarze zapadła cisza. Usta królowej rozwarły się powoli w tęsknym uśmiechu.

— Dziesięć piór za białego olbrzyma — rzekła w końcu.

Nie było więcej ofert.

Życie niewolnicy było dla Chabeli niemal nie do zniesienia. Ona, rozpieszczana córka potężnego monarchy, musiała teraz zaspokajać zachcianki czarnej królowej. Gorsze było jednak to, że niewolnicy musieli wykonywać swą pracę nago; ubrania były

tylko dla ludzi wolnych.

Spała na zawieszonym pościeliu w pomieszczeniu dla niewolników. Nadzorczyńni o surowym głosie i twardej ręce budziła ją i jej towarzyszy niedoli o świcie. Musieli gotować, czyścić, szorować, wycierać i podawać do królewskiego stołu. Nie służyło też Chabeli oglądanie byłego zingarańskiego korsarza, Conana, który podczas tych uczt wylegiwał się na grubych poduchach, sącząc bananowe wino i objadając się potrawami z ryb i ciastami.

Jej wyobrażenie o niezawodnym Cymeryjczyku znacznie się popsuło. Nie знаła słowa odpowiadającego dzisiejszemu „żigolo”, dobrze rozumiała jednak samo pojęcie. Pogarda dla Conana przybrała jeszcze na sile wobec faktu, że nie wydawał się on być niezadowolony ze swego statusu kochanka królowej. „Żaden mężczyzna godny tego miana” — mówiła do siebie — „nie upadłby tak nisko, by cieszyć się z tak obrzydliwego poddaństwa”. Doświadczenie nie nauczyło jej jeszcze, jak Conana, godzić się z sytuacją, w jakiej się znajdzie, jeśli nie może jej zmienić.

Ponieważ Conan był w tym strasznym mieście jedyną osobą, którą mogłaby uważać za przyjaciela, z pewnością całkowicie pograżyłyby się w rozpacz, gdyby od czasu do czasu, gdy nikt nie widział, nie posyłał jej wymownego mrugnięcia okiem. Mrugnięcie to mówiło (przynajmniej miała taką nadzieję): „Nie trać ducha, dziewczyno, jeszcze cię z tego wyciągnę”.

Z drugiej strony nawet Chabela musiała przyznać, że królowa Nzinga była wspaniałą kobietą. Dziewczyna próbowała wyobrazić sobie ich zachowanie w łóżku; będąc jednak delikatnie wychowaną, nie posiadała odpowiedniej wiedzy w tej dziedzinie. Nie mogła wiedzieć, choć wspaniała czarna lwica z

Gamburu obnosiła się z tym publicznie, że Conan jest mistrzem sypialni.

Było to coś nowego również dla królowej Nzingi. Jej doświadczenie i cała spuścizna kulturowa królestwa przyjmowały, że kobieta jest naturalną władczynią mężczyzny. Już setka królowych zasiadała przed nią na Tronie z Kości Słoniowej. Każda z nich poniżała swych mężczyzn i gardziła nimi, używając ich jako służących oraz źródła przyjemności i rodzicielstwa, następnie pozbywając się ich, gdy stawali się słabi, schorowani czy przemęczeni. Ona postępowała podobnie.

Zanim olbrzymi Cymeryjczyk pojawił się w jej życiu, z łatwością potrafiła zdominować wszystkich swoich mężczyzn. Conan jednak nie dał się zdominować; jego wola była twardsza niż stal, a on sam był wyższy i silniejszy nawet od niej. W uścisku jego potężnych ramion czarna Amazonka znajdowała rozkosze, jakich nigdy wcześniej nie zaznała. Stała się nienasycona w swych żądzach.

Zaczęła też być chorobliwie zazdrosna o wszystkie kobiety, które Cymeryjczyk musiał znać przed nią. Nie chciał jednak nic o nich powiedzieć i jej pytania pozostawały bez odpowiedzi. Conan nie był bowiem pozbawiony pewnej szorstkiej rycerskości w tych sprawach. Mogła krzyczeć, robić wymówki, ciskać sprzętami; on tak czy owak pozostawał niewzruszony z bladym uśmiechem na ustach.

— A ta pulchna, mała biała dziewczka, którą Ghanaci złapali razem z tobą? — grzmiała Nzinga. — Była twoją kochanką, co? Pragnąłeś pewnie jej miękkiego, wyperfumowanego ciała, czy nie tak? Bardziej pociągająca od Nzingi, co?

Patrząc na błyszczące w złości oczy i tańczące hebanowe owale jej piersi, Conan musiał przyznać, że nigdy od czasu

pierwszej wielkiej miłości, Bélit od Czarnych Korsarzy, nie spotkał wspanialszej kobiety. Teraz jednak, wiedząc, że jest zazdrosna o Chabelę, musiał być ostrożny, niezwykle ostrożny. Musiał znaleźć jakiś sposób, by ugasić jej podejrzenia, gdyż ucierpieć mogła Chabela. Nzinga była zdolna rozkazać, by ścięto głowę komukolwiek, kobiecie czy mężczyźnie, kto tylko stanąłby na jej drodze.

Conan zrobił dotąd wszystko co mógł, a było tego niewiele, by ulżyć Chabeli w niedoli. Teraz jednak nie śmiał nawet tego próbować, gdyż Nzinga mogłaby się czegoś domyślić. Ziewnął.

— Chabela? Ledwie znam to dziecko — powiedział. — Jest wysoko urodzoną Zingaranką, a one przesadnie wysoko cenią sobie dziewictwo. Gdybym z nią spał, nie byłoby jej teraz tutaj.

— Co masz na myśli?

— Zasztyletowałyby się, jak to one mają w zwyczaju.

— Nie wierzę ci! Chcesz ochronić...

Conan objął Nzingę ramieniem w potężnym uścisku, rzucił ją w tył na pierzyny i wysysał pocałunki z jej omdlałych ust. Wiedział, do którego momentu może pozwolić jej się złościć. W obecnej sytuacji był tylko jeden sposób, by odwrócić uwagę królowej od wytworów jej zazdrosnej wyobraźni...

## ROZDZIAŁ XIV

### CHŁOSTA

Przez następnych kilkanaście dni nic się nie wydarzyło. Później jednak... Nzinga wylegiwała się na poduszkach w swym haremie lub prywatnej rezydencji. Od dwóch dni biała niewolnica, Chabela z Zingary, wyznaczana była do najcięższych i najbardziej poniżających prac, a działa się to na oczach Conana. Nzinga dopilnowała tego poprzez starannie opracowany system przemyślnych forteli.

Świadom skupionej na nim uwagi królowej, Conan przybierał maskę obojętności, mimo że często kipiał chęcią wymierzenia ciosu w imieniu więzionej księżniczki.

Gdy królowej nie udało się sprowokować Cymeryjczyka, zaaranżowała ostatnią scenę mającą wydobyć z Conana jego prawdziwe uczucia. Wydała niewielkie przyjęcie dla swych oficerów-Amazonek, wielkich, pokrytych bliznami, groźnych Murzynek, w których było tyle kobiecości co w toporze wojennym. W czasie przyjęcia Zingaranka usługiwała swej pani i jej faworytowi. Gdy podawała wino, jedna z Amazonek podstawiała jej nogę, o którą dziewczyna się potknęła.

Ze zdławionym okrzykiem, tracąc równowagę, Chabela wywróciła dzban z winem na kilka biesiadniczek. Jedna z nich, olbrzymi oficer imieniem Tuta, wstała z przekleństwem na ustach i wymierzyła skulonej dziewczynie straszliwy cios otwartą dłonią w twarz. Dziewczyna upadła na klepisko.

W oczach Amazonki pojawił się błysk sadyzmu; widok skulonej, nagiej białej dziewczyny wzmógł jeszcze jej furję. W zupełnej ciszy zbliżyła się do niewolnicy jak pantera do swej ofiary. Pokiereshowaną, muskularną ręką dobyła ostrego sztyletu z brązu, który miała przypięty u boku.

W sali nadal zalegała cisza, jeśli nie liczyć cichego świstu wyjmowanego z pochwy rdzawego ostrza, połyskującego w świetle pochodni. Tuta, przybrawszy krwiożerczy wyraz twarzy, pochyliła się nad niewolnicą i uniosła sztylet w górę. Chabela skamieniała i z zapartym tchem obserwowała zbliżające się ostrze. Wiedziała, że musi skoczyć na nogi i uciekać, mimo że z pewnością zostanie schwytana. Jednak przerażenie i beznadziejność położenia odjęły jej władzę w nogach, tak że mogła jedynie patrzeć bezsilnie. W następnej sekundzie ostrze zatopi się w jej falującej piersi...

Nagle Tuta zamarła w uścisku, który jak imadło trzymał jej nadgarstek i kark. Miażdżąca siła olbrzymich rąk sparaliżowała ją tak, jak ona sparaliżowała swym atakiem Chabelę. Sztylet upadł na ziemię z cichym metalicznym brzękiem. Następnie Conan napiął potężne mięśnie i cisnął nią przez całą salę, aż półprzytomna zatrzymała się na przeciwległej ścianie.

Conan w pełni zdawał sobie sprawę z sytuacji, w którą wpędziła go Nzinga. Nie mógł pozwolić, by zasztyletowano córkę króla Ferdruga; jednak z drugiej strony wiedział, że Nzinga weźmie jego czyn za dowód zainteresowania rywalką, a jej zazdrość ściągnie niebezpieczeństwo na głowę jednego z nich lub obojga. Zmusił się do śmiechu.

— Królowa Gamburu z pewnością nie jest tak rozrzutna, by pozwalać na zabijanie swych niewolników za kilka kropel wina! — rzekł, uśmiechając się tak jowialnie, jak tylko potrafił.

Królowa Nzinga zmierzyła go chłodnym wzrokiem bez wyrazu. Następnie dała znak Chabeli, która wstała i wymknęła się z sali. Napięcie opadło. Conan wrócił na miejsce. Dzbany z winem zaczęły znów krążyć. Rozpoczęły się rozmowy na różne tematy.

Conan miał nadzieję, że sprawa została zamknięta i starał się zalać swe myśli potężnymi łykami bananowego wina. Nie uszło jednak jego uwagi, że królowa Nzinga co chwila przypatruje mu się w zamyśleniu.

Gdy Chabela opuściła salę jadalną, nagle chwyciły ją silne czarne ręce. Zanim zdołała krzyknąć, wepchnięto jej do ust zwitek sukna, zabezpieczając go paskiem takiego samego materiału zawiązanego wokół twarzy i szyi. Na głowę naciągnięto jej płócienny worek, ręce wykręcono do tyłu i związane rzemieniem. Następnie uniesiona została przez kręte korytarze schodami w dół, do części pałacu, której przedtem nie знаła. Potem rozwiązano jej ręce, by przywiązać je tym razem nad głową do miedzianej obręczy zwisającej z sufitu na łańcuchu. W końcu zostawiono ją samą.

Ból w rękach powoli ustępował, gdyż rzemienie odcięły dopływ krwi powodując drętwienie. Chabela kołysała się z lekka w pustej sali modląc się, by Conan w jakiś sposób dowiedział się o jej tarapatach.

Conan jednakże był w tym momencie sam bezsilny. Wyciągnął się na poduszkach w sali jadalnej, zamknął oczy, pochylił głowę i zachrapał jak odległy grzmot. Mimo że wypił umiarkowanie dużo, zmogło go nagle zmęczenie. Przyszło mu na myśl, że może Nzinga uspiła go czymś; zanim jednak zdołał cokolwiek zrobić, zapadł w sen tak głęboki, że nie obudziłoby go nawet trzęsienie ziemi.



Nzinga spojrzała na Conana zmrużonymi oczami i rozkazała wynieść go z sali. Później wstała i poszła korytarzami do komnaty, w której więziono Chabelę. Gdy szła, w jej sercu wzmagała się furia jak płomień zamknięty w mosiężnym palenisku, a okrutne postanowienie zabłysło w dzikich oczach.

Chabeli zdjęto z głowy worek i wyjęto knebel z ust. Znalazła się twarzą w twarz z uśmiechniętą dziko Nzinga, wpatrującą się w nią płonąącym wzrokiem. Niewolnica wydała okrzyk grozy.

Czarna Amazonka roześmiała się.

— Krzycz sobie ile chcesz, białoskóry mięczaku. Nic ci to nie pomoże.

Nzinga omiotła drapieżnym wzrokiem wiszące giętkie ciało ofiary. Następnie odwróciła się i wybrała bicz spośród licznych narzędzi tortur zawieszonych na ścianie. Bicz — prawie dwa metry elastycznej skóry hipopotama, od plecionej rękojeści po cienki koniec — wił się po posadzce jak pełzający wąż. Chabela patrzyła z przerażeniem. Królowa znów roześmiała się szorstko.

— Usta Conana nigdy nie przejęły cię takim dreszczem — powiedziała — jakiego dostarczy ci pocałunek tego oto mego ulubieńca. Nigdy też jego ręce nie pieściły twego ciała tak jak zrobi to bicz!

— Co takiego ci zrobiłam, że musisz mnie tak dręczyć?

— Zabrałaś mi serce Conana, odkąd zobaczyliśmy się po raz pierwszy — warknęła Nzinga. — Nigdy nie znałam takiego mężczyzny. Ale jego ramiona ścisnęły cię, a wargi składały płomienne pocałunki na twoim białym łonie... Wiem o tym i nie mogę tego znieść! Gdy ciebie nie będzie, wróci do mnie i będzie mnie kochał całym swym wielkim sercem. Uczynię go królem Gamburu — żaden mężczyzna nie piastował tego urzędu od tysiąca lat!

Bicz świsnął w powietrzu.

— To nieprawda! — jęknęła Chabela. — Nigdy mnie nie dotknął!

— Kłamiesz! Ale pocałunek bicza wyciągnie z ciebie prawdę!

Nzinga zamachnęła się i bicz owinął się z trzaskiem wokół talii Chabeli. Dziewczyna krzyknęła jak pchnięta śmiertelnie nożem. Bicz zostawił szkarłatną pręgę, z której sączyły się kropelki krwi.

Nzinga powoli wzięła zamach, by uderzyć ponownie. Jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu był głośny oddech Chabeli.

Bicz opadł znowu i krzyk bólu wydarł się z piersi dziewczyny, gdy rzemień owinął się wokół jej lędźwi. Z twarzą wykrzywioną niepohamowaną żądzą Nzinga patrzyła, jak niewolnica wiję się i skręca w swych więzach. Uderzyła jeszcze raz, a jej hebanowe ciało pokryło się lśniącymi kropelkami potu. Chabela znowu krzyknęła. Królowa roześmiała się, oblizując pełne wargi.

— Krzycz ile chcesz, płaczliwa niewolnico! Nikt cię nie słyszy. A gdyby nawet słyszał, nie ośmieliłby się przyjść ci z pomocą. Conan leży uśpiony i nie obudzi się przez kilka godzin.' Nikt na świecie ci nie pomoże!

Twarz płonęła diabelską pasją, a oczy wielkiej Amazonki obejmowały kształty niewolnicy błyszczące potem i krwią. Wzięła następny zamach, zamierzając upajać się swą perwersją do końca, aż dziewczyna wyzionie ducha pod jej razami.

Chabela nigdy nie wyobrażała sobie, że ciało znieść może takie tortury. Rozpieszczona luksusami dworskiego życia księżniczka nie doświadczyła nigdy prawdziwego bólu. Tymczasem do tortur cielesnych doszły jeszcze cierpienia wynikające z poniżenia. Będąc jedyną córką dobrotliwego starego króla, mogła robić, co chciała, nie napotykając na opór sędziwego, zapracowanego rodzica. Teraz, gdy jej ciało wstrząsane było uderzeniami bicza,

dusza równocześnie wstrząsana była poniżeniem.

Zingarańska arystokracja często trzymała niewolników — Kuszytów przywiezionych przez stygijskich i shemickich łowców — i Chabela wiedziała, że często karano ich za prawdziwe lub wyimaginowane winy, tak jak to działo się z nią teraz. Jednak w najbardziej zwariowanych wyobrażeniach nie przypuszczała, że role mogą się odwrócić i że czarna kobieta będzie ją chłostać na pręgierzu jak najpodlejszego robotnika z zingarańskiej plantacji.

Gdy bicz spadał raz za razem, Chabela wpatrzyła się przez czerwoną mgłę bólu w lśniący przedmiot, który leżał na drugim końcu komnaty na małym taborecie. Była to złota korona w formie zwiniętego węża, wysadzana niezliczonymi klejnotami. Ależ tak! Rozpoznała w niej Koronę Kobry, którą Conan zabrał z czarnej świątyni na Bezimiennej Wyspie. Starła się skupić na Koronie, by nie myśleć o bolesnej chłości...

Przypomniała sobie niejasno, że Koronę skradziono Conanowi w Kulalo, tylko jak dawno temu? Wydawało się, że to już wieki. Jak więc znalazła się tutaj? Łowcy niewolników, którzy schwytali ją i Conana, też musieli odebrać ją złodziejowi, który skradł ją pierwszy.

Nzinga przerwała swe zajęcie, by napić się wina, po czym wróciła do szkarłatnych uciech bicza. Prężąc się w oczekiwaniu na kolejny cios, Chabela zmusiła się, by otworzyć oczy. Przez plątaninę zmierzwionych włosów ujrzała zdumiewającą scenę.

Za półnagą Nzingą zaczęło dziać się coś dziwnego. Najpierw ukazała się delikatna poświata — fosforyzujące światełko ulotnego promieniowania, jak kuszący zew nawiedzonych przez duchy mokradeł.

Po chwili słabe zielone światło rozbłysło jaśniej i rozeszło się szerzej. W ciągu tuzina uderzeń serca przyjęło wrzecionowaty

kształt wielkości człowieka.

Chabela zasapała. Nzinga natomiast, widząc, że dziewczyna okrągłymi oczyma wpatruje się w coś za nią, odwróciła się. Wrzeciono rozbłysło oślepiającym szmaragdowym płomieniem, po czym przygasło i znikło. Na jego miejscu stał mężczyzna.

Mężczyzna ów miał ciemną cerę, był wysoki i silny. Na twarzy miał chropowatą maskę z brązu, spod której widać było bystre, czarne oczy i spiczasty nos przypominający ptasi dziób. Głowę miał niedawno ogoloną, pokrytą puszką tak krótkim, iż przeświecała przezeń brunatna skóra. Ubrany był w prostą białą szatę, odsłaniającą muskularne ramiona.

Thoth-Amon wyglądał starzej niż wówczas, gdy Zarono i Menkara odwiedzili go w podziemnej sali tronowej. Kropelki potu pokrywały śniade czoło, gdyż magiczna operacja, która przeniosła go z oazy Khajar do Gamburu, była jedną z najpotężniejszych sztuk znanych bractwu czarnoksiężników. Niewielu czarowników na świecie to potrafiło, a wysiłek umysłowy wyczerpał do cna nawet siły Thoth-Amona.

Nzinga zdumiała się, że obcy — a do tego godny pogardy mężczyzna — wszedł nie zapowiedziany do jej karnej komnaty. Najście to było tak niewiarygodnym afrontem, że natychmiast postanowiła, iż przybysz zapłaci za nie głową. Otworzyła usta, by przywołać strażę, równocześnie biorąc zamach ręką uzbrojoną w bicz.

Stygijczyk przyglądał się jej ze stoickim, zagadkowym uśmiechem na posępnej twarzy. Gdy bicz powędrował do góry, czarownik, wyciągnął rękę w kierunku czarnej królowej. Jego palce otoczyła poświata nefrytowozielonego promieniowania, która jaśniała coraz mocniej, aż w końcu zmieniła się w strumień szmaragdowego światła, który skąpał w blasku hebanową

sylwetkę Nzingi z Gamburu. Królowa wydała dziki okrzyk, wyprężyła się jak po dźgnięciu nożem, po czym osunęła się bezwładnie na klepisko. Promień zbladł i zniknął.

Jakieś złe przeczucie kazało Chabeli zwisnąć bezwładnie na paskach mocujących jej nadgarstki do kółka nad głową. Głowa opadła jej do przodu, tak że gęsta masa lśniących, czarnych włosów przykryła jej twarz.

Thoth-Amon ledwie na nią spojrział. Z pewnością była niewolnicą karaną za jakieś przewinienie, co zupełnie go nie interesowało. Nie widział nigdy Chabeli z bliska, nie zdawał więc sobie sprawy, że jest to księżniczka, którą Menkara i Zarono ścigali po całym Czarnym Wybrzeżu. Czarownicy bowiem, tak jak prości ludzie, też popełniają błędy.

Gdy Thoth-Amon wysłał swoje ka na płaszczyznę akaszy, Conan i Chabela byli jeszcze w Kulalo, a Bwatu nie ukradł jeszcze Korony Kobry. Wtedy przyszłość była wciąż zbyt mglista wielością alternatyw, by czarownik mógł ją przewidzieć.

Gdy jego asystenci wyruszyli, by schwytać ponownie księżniczkę, Thoth-Amon raz jeszcze posłużył się swą magiczną kamienną kulą. Chciał jak najdokładniej zlokalizować Koronę Kobry, zanim użyje potężnego czaru, który przeniesie go w to miejsce. Ponieważ mógł tam pozostać tylko przez jakiś czas, nie mógł pozwolić sobie na to, by zmaterializować się w punkcie o mile odległym od przedmiotu, który był jego celem.

W międzyczasie jednak Bwatu ukradł Koronę i został zabity przez łowców niewolników. Zuru ukrył ją następnie i zabrał do Gamburu, gdzie królowa Nzinga wypłaciła mu dość piór złotego pyłu, by uczynić go bogatym na całe życie. Dlatego też, gdy Thoth-Amon starał się ustalić położenie Korony metodą krystalomancji, odkrył ku swemu zdumieniu, że nie jest ona już

w Kulalo, lecz w Gamburu. Conan i Chabela nie zajmowali go. Chabela, jak przewidywał, była wciąż w Kulalo, skąd Zarono i Menkara we właściwym momencie ją zabiorą. Zresztą czar, który przeniósł go do Gamburu, nie umożliwiał mu zabrania ze sobą innej osoby.

Co do Conana, Thoth-Amon traktował Cymeryjczyka jako niewielką dokuczliwość; mniej więcej jak bzyzącego komara. Gdyby wszedł mu w drogę, rozgniółby go jak owada, nie miał jednak czasu na ściganie go. Grał o wyższe stawki niż życie jakiegoś barbarzyńskiego awanturника.

Gdyby Thoth-Amon skoncentrował swą okultystyczną wizję na Chabeli, z łatwością rozpoznałby, kim jest. Teraz jednak cała jego uwaga skupiona była na Koronie Kobry. Błysk zachwytu rozjaśnił jego surowe oblicze, gdy rozpoznał przedmiot na taborecie. Szybko przeszedł przez ciało leżącej bez czucia królowej Amazonek i podszedł do Korony. Pieszcząc ją w rękach, z nabożeństwem, podniósł ją do góry i obejrzał dokładnie w świetle pochodni, delikatnie przesuwając palce po owalnych splotach i zdobiących je białych kamieniach.

— Nareszcie — odetchnął, a w jego ciemnych oczach pojawił się płomień nienasyconej ambicji. — Mając to będę miał w ręku imperium całego świata! A święte rządy Ojca Seta zostaną znów ustanowione w krainach dalekich i bliskich!

Z nienaturalnym na zazwyczaj obojętnej twarzy uśmiechem Thoth-Amon wypowiedział zakłęcie i wykonał przedziwny gest. Wirująca pajęczyna zielonego światła omotała go i zakryła. Potem światło przygasło, zmieniając się w fosforyzujące wrzeciono i zniknęło zupełnie.

Pozostawiona w komnacie z leżącym ciałem królowej Chabela z trudem otrząsnęła się z oszołomienia i przerażenia. Odkryła, że

stojąc na palcach, potrafi rozluźnić napięte paski krępujące jej nadgarstki nad głową. Mimo że więzy były mocno zaciągnięte, jej dłonie i nadgarstki były tak złane potem, że można było paski zsunąć. Spróbowała najpierw jedną ręką, potem drugą. Po chwili, która wydała jej się wiecznością, jedna ręka wyslizgnęła się wreszcie z rzemienia. Z drugą poszło już łatwo.

Wyczerpana Chabela upadła na podłogę. Ręce miała tak zdrętwiałe, że nie potrafiła nawet zgiąć palców. Wkrótce jednak rozżarzone igiełki płynącej krwi zaczęły wkłuwać się do nich. Jęknęła z bólu, lecz zaraz umilkła, gdyż głos mógł obudzić jej wroga — królową.

Stopniowo, powoli ręce Chabeli odzyskały czucie. Wstała lekko się zataczając i pochyliła się nad Nzingą. Wspaniałe piersi królowej wznosiły się i opadały w miarowym oddechu, jak gdyby zwyczajnie spała.

Chabela pokuśtykała przez salę do kielicha z winem, którym orzeźwiała się Nzinga. Łapczywie pociągnęła kilka łyków słodkiego, łagodnego trunku. Wstąpiły w nią nowe siły.

Teraz jej uwaga skupiła się ponownie na nieprzytomnej królowej. Oczy Chabeli odnalazły sztylet przyпасany do boku Nzingi. Czy powinna wyjąć go z pochwy i zatopić w łonie królowej? Zatrzęsła się z nienawiści. Pragnęła zabić ją z pasją, jakiej nigdy do nikogo nie czuła.

Zawahała się jednak z pewnej przyczyny. Nie wiedziała, jak głęboki jest sen Nzingi. Gdyby wyjęła sztylet, ruch ten mógłby obudzić królową, która — będąc daleko większą i silniejszą od śmiałej księżniczki — chwyciłaby ją za ręce i albo zabiła osobiście, albo też wezwałaby strażę, by ją pojmały. Nawet gdyby Chabeli udało się dobyć broni nie budząc przeciwniczki, pierwszy cios musiałby koniecznie spowodować natychmiastową

śmierć. W przeciwnym razie królowa zdołałaby co najmniej przywołać strażę, zanim wyzionęłaby ducha.

Powstrzymywała ją jeszcze inna myśl. Rycerski kodeks Zingary, który wpajano jej od dziecka, surowo zakazywał zabijania śpiącego wroga. Co prawda Zingaranie łamali swe własne zasady równie często, jak to robią i inne narody, Chabela jednak starała się zawsze być w zgodzie z najwyższymi ideałami jej rodu. Gdyby potrafiła zabić królową bez żadnego zagrożenia z jej strony, mogłaby również pozbyć się własnej, instynktownej odrazy dla takiego zdradzieckiego czynu. Skoro więc tak rzeczy się miały...

Przemknęła szybko przez komnatę i odsunęła zawieszony płótno maskujące wejście. Zbierając całą odwagę ruszyła przed siebie w ciemność.

W komnacie pochodnie dopalały się, rzucając czerwone światło na pustą obręcz zwisającą z sufitu, zakrwawiony bicz i rozciągnięte na podłodze czarne ciało królowej.



## ROZDZIAŁ XV

# CZARNY LABIRYNT

Opuściwszy komnatę kar, Chabela zawahała się. Nigdy przedtem nie była w tej części pałacu, nie wiedziała więc, dokąd iść. Była jednak przede wszystkim zdecydowana, by za żadną cenę nie dać się ponownie schwytać. Patrząc w głąb pustego, kamiennego korytarza stwierdziła, że musi znajdować się w kryptach, które, jak powiadano, leżały pod pałacem królowej Amazonek. Pomieszczenia te, jak sądziła, były zazdrośnie strzeżone przed intruzami; mogła więc w każdej chwili natknąć się na strażę. Wybrała korytarz, który wydawał się prowadzić w górę i pomknęła nim co siłą.

Panowała tam cisza zmacona jedynie kapaniem wody w oddali i od czasu do czasu skrobaniem małych pazurków. Co jakiś czas pochodnia z zanurzonej w nafcie szczapy oświetlała korytarz migoczącym żółtym światłem. Były one jednak tak bardzo oddalone jedna od drugiej, że pomiędzy nimi ciemność gęstniała prawie do doskonałej czerni. W tych ciemnych miejscach Chabela dostrzegała pary drobnych, rubinowych oczu na poziomie ziemi, gdy ruchliwe gryzonie przystawały, by na nią popatrzeć.

W złowroziej ciszy naga dziewczyna przemykała przez mrok jak widmo, a jej nerwy napięte były ze strachu do granic wytrzymałości. Czuła na sobie wzrok niewidzialnych oczu, a może były to tylko nerwy?

Korytarz wił się, zakręcał i rozwidlał. Zmuszona do odgadywania, w którą stronę trzeba iść, Chabela wkrótce zdała sobie sprawę, że zabłądziła i idzie na oślep. Mogła oczywiście wracać po własnych śladach, ale to znów zaprowadziłoby ją w przerażające szpony Nzingi. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko brnąć dalej i modlić się do Mitry, by wyprowadził ją z powrotem na powietrze.

Po dłuższym marszu Chabela stwierdziła, że doszła do lochów. Po obu stronach znajdowały się okratowane drzwi do cel. Za nimi, w mroku, leżeli więźniowie. Niektórzy z nich jęczeli i zawodzili, większość jednak milczała.

Dziewczyna zajrzała do pierwszych kilku cel, które mijala, ale widok był tak odrażający, że odwróciła zaraz oczy i wpatrzyła się w prowadzącą ją ścieżkę. Niektórzy więźniowie wychudli do kości, jak po wieloletnim głodzeniu. Niektórzy patrzeli pusto obłąkanymi oczyma spod splątanych włosów. Ich ciała były pokryte wszelkiego rodzaju wrzodami i grubą warstwą brudu. Niektórzy umarli już, a padlinożerne szczury ogryzły mięso z ich kości, zostawiając jedynie szkielety. Mijając zakręt korytarza ze zdumieniem stwierdziła, że w jednej z cel znajduje się Conan Cymeryjczyk. Olbrzymie ciało rozciągnięte było na grubej słomie za kratami. Stała jak wryta, zastanawiając się, czy oszalała, czy też był to naprawdę on.

Był to w rzeczy samej Cymeryjczyk. Z początku wydawało się jej, że nie żyje, leżał bowiem bez ruchu. Później, gdy jej oczy przywykły do mroku celi, zauważyła, że jego potężna pierś unosi się i opada. Był z całą pewnością nieprzytomny.

Ostrożnie wymówiła jego imię, lecz wywołało to jedynie potężne chrapnięcie barbarzyńcy. Sprawdziła drzwi do celi, były jednak starannie zamknięte.

Chabela zawahała się nie wiedząc, co począć. W każdej chwili zza zakrętu korytarza mogły wyłonić się strażniczki Nzingi i schwytać ją. Oczywiście ucieczka byłaby rozsądnym rozwiązaniem, nie mogła jednak pozostawić własnemu losowi nieustraszonego korsarza, który uratował ją na Bezimiennej Wyspie.

Jeszcze raz wymówiła jego imię rozpaczliwym szeptem. Potem jej oczy rozbłysły, gdy dostrzegła gliniany kubek stojący pod ścianą. Po próbnym zanurzeniu palca w cieczy stwierdziła, że jest to zimna woda. Była to pewnie ta sama woda, którą podawano codziennie nieszczęśnikom w celach.

Podniosła naczynie i podeszła do Conana. Na szczęście nieprzytomny Cymeryjczyk ułożony był w celi w taki sposób, że jego głowa, zwrócona twarzą w górę, znajdowała się tuż przy kratkach. Zingaranka zdołała więc wylać zawartość naczynia na jego twarz. Kaszląc, parskając i pomrukując, Conan zaczął wracać do przytomności. Usiadł i rozejrzał się wokół zamglonym wzrokiem.

— Co, na mroźne piekło Ymira... — burknął, a jego wzrok zatrzymał się na poblądłej, przerażonej twarzy nagiej zingarańskiej księżniczki. Wróciła mu przytomność.

— Ty tutaj? Na Croma, co się dzieje, dziewczyno? — zamruczał i rozglądając się wokół zdumionym wzrokiem, mówił dalej. — Gdzie my jesteśmy, na tuzin szkarłatnych piekieł! Co się stało? Czuję się, jakby wszystkie demony Otchłani grały w piłkę moją głową...

W kilku krótkich słowach dziewczyna opisała mu swoje ostatnie przygody. Lwie oczy Conana zwięzły się, gdy w zamyśleniu podrapał się w szczękę.

— A więc to Nzinga mnie uspiła? Mogłem się tego spodziewać.

Niech diabli wezmą jej czarne serce! Bała się, że mógłbym jej przeszkodzić w wymierzeniu ci kary. Uznała, że mój pokój w haremie nie jest dość bezpieczny i kazała swym służkom na wszelki wypadek znieść mnie tutaj — zaśmiał się tubalnie, mnąc w palcach słomę z posłania. — Ta słoma to w jej pojęciu luksus. Wygląda na to, że chciała pozbyć się ciebie, a mnie zatrzymać dla zabawy.

— Co więc zrobimy, kapitanie Conan? — spytała Chabela bliska płaczu. Ostatnie przeżycia prawie wyczerpały jej znaczne skądinąd zasoby odwagi.

— Co zrobimy? — mruknął Conan i splunął. — Wyniesiemy się stąd! Odsuń się od drzwi.

— Co też... Przecież nie mam kluczy...

— Do diabła z kluczami! — warknął chwytając oburącz jeden z prętów. — Te kraty są z miękkiej miedzi i tkwią tu już od wieków. Korozja wżera się w nie, a jeśli wżarła się dość mocno, nie potrzebuję żadnych kluczy. No już, odsuń się!

Conan oparł nogę o kratę, ugiął ramiona i uwiesił się na prętach, które pokryte były śniedzią. Wszystkie jego mięśnie napięły się w tytanicznym wysiłku. Twarz mu pociemniała, oddech zrobił się ciężki, a na szerokim czole pojawiły się perliste krople potu błyszcząc w świetle pochodni. Muskuly przypominały płaskorzeźbę z brązu lub też splecione metalowe liny.

Chabela wstrzymała oddech i przygryzła wargi.

Pręt z jękiem wyskoczył z framugi, wyginając się i pękając z hukiem podobnym do uderzenia olbrzymim biczem.

Conan upuścił pręt, który upadł na słomiane posłanie ze stłumionym brzękiem. Korsarz oparł się o ścianę ciężko dysząc. Następnie precyzyjnie przesunął się przez lukę między prętami i stanął

wolny w korytarzu.

Chabela patrzyła w zdumieniu.

— Nigdy jeszcze nie widziałam takiej siły! — wykrztusiła.

Conan rozmasował ramiona.

— Nie chciałbym robić tego codziennie — powiedział z uśmiechem, po czym, rozglądając się po korytarzu, dodał:

— W którą stronę trzeba iść? Jak się stąd wydostać? A kto cię chłostał? Nzinga?

Skinęła głową i w krótkich słowach opisała mu wypadki, które rozegrały się po incydencie w jadalni. Conan zamruczał gniewnie, a jego oczy rozżarzyły się.

— Osobliwa historia — rzekł — a najdziwniejsze było to magiczne pojawienie się stygijskiego czarnoksiężnika, gdyż sądzę, że był to właśnie jeden z nich. Miałem już z takimi do czynienia w moich podróżach. Zastanawiam się jednak, który to z nich przyszedł po Koronę? Jesteś pewna, że nie był to ten pies o twarzy kościotrupa, Menkara? W Kordafie chował się za plecami Zarona.

Chabela potrząsnęła głową, co wprawilo w ruch jej lśniące czarne włosy.

— Nie. Widziałam Menkarę wiele razy na „Petrelu”, poznałabym go więc natychmiast. To chudy, ponury człowiek średniego wzrostu, mówiącym matowym, słabym głosem, jakby cały świat straszliwie go męczył. Tamten natomiast, choć mógł należeć do tej samej rasy, był zupełnie inny: o wiele wyższy, silny, nawet dość przystojny; biła od niego energia i władczość.

Słuchając ledwie jednym uchem, Conan rozglądał się bacznie po korytarzu. Czuł potrzebę działania. Jeśli mieli kiedykolwiek wydostać się z miasta Amazonek, trzeba to było zrobić właśnie teraz, gdy królowa Nzinga leżała nieprzytomna. Nie wiedzieli

zresztą, jak długo jeszcze pozostanie uśpiona mocą zielonych promieni Stygijczyka.

Conan poszedł pierwszy krętym korytarzem. Przystanął na chwilę, by zdjąć ze ściany ciężką pochodnię. Podniósł ją z pomrukiem zadowolenia. Miał teraz przynajmniej jakąś broń. Pochodnia zrobiona była z twardego, lśniącego drewna, a jej górny koniec nasmołowano i owinięto skrawkami grubej tkaniny zamoczonej w lepkim oleju. Olej ten dawał migotliwy żółty płomień i sporo dymu. Jednym z zadań Chabeli jako niewolnicy była wymiana takich pochodni w pałacu na nowe.

Za jednym z zakrętów korytarza Conan i księżniczka natknęli się na oddział wojowniczek. Były to wielkie, mocno zbudowane kobiety o silnych ramionach, płaskich obwisłych piersiach i szerokich twarzach. Miały na sobie skórzane napierśniki z naszytymi kwadratami brązu i spódnice z pasków skórzanych przyozdobionych w podobny sposób. W dłoniach dzierżyły oszczepy i krótkie miecze z brązu.

— Brać ich! — krzyknął ochrypy głos, a w tym momencie za złowrogim murem Amazonek Conan zauważył Nzingę we własnej osobie. Piękna, czarna twarz królowej wykrzywiona była gniewem. Na twarzy Conana pojawił się ponury uśmiech: pozostawała tylko walka.

Conan był barbarzyńcą z Cymerii i wiele zwyczajów Południa uważał za miękkie, zniewieściałe i zepsute. Sam jednak nie był pozbawiony pewnej dozy rycerskości, nie zachwycała go więc perspektywa walki i, być może, zabijania kobiet. Jeśli jednak alternatywą miała być znów niewola, wołał walczyć.

Nie czekał, aż zostanie zaatakowany, lecz sam jednym susem skoczył między wojowniczeki, wywijając płonąca pochodnię na lewo i prawo. W mgnieniu oka powalił dwie z ociężałych

Amazonki, które legły z roztrzaskanymi czaszkami. Inna próbowała pchnąć go mieczem, lecz Conan wpakował jej w twarz pochodnię. Upadła krzycząc i próbując ugasić płonąca czuprynę. Próbowano też wbić mu w brzuch dzidę, ale wytrącił ją natychmiast z rąk napastniczki, którą następnie rzucił na ścianę. Z szybkością atakującej pantery wzniósł pochodnię do kolejnego ciosu...i zamarł.

Nzinga okrążyła kotłowaną walczących i teraz stała przytrzymując nagą księżniczkę, a wolną ręką przystawiła ostry sztylet do gardła Chabeli.

— Rzuć pochodnię, biały psie, albo twoja suka zachłyśnie się własną krwią! — rozkazała królowa budzącym grozę głosem.

Conan zaklął straszliwie, jednak nie mógł nic zrobić. Pochodnia potoczyła się po kamieniach.

Amazonki otoczyły go. Grube sznury splecione z suszonej trawy skrepowwały mu nadgarstki. Podobnymi sznurami przywiązano ramiona do tułowia. Metalurgia zacofanego kraju Amazonek wciąż nie dorównywała sztuce wytwarzania przemysłowych więzów i zamknięć. Zamki na drzwiach cel, jak przypuszczał Conan, były spuścizną po pierwszych budowniczych miasta.

— Jest już niegroźny, Królowo — zagrzmiała jedna z wojowniczek. — Może potraktować go od razu mieczem?

Nzinga otaksowała wzrokiem błyszczący od potu tors.

— Nie — rzekła w końcu. — Mam inną karę dla zdrajcy. Kto odrzuca mą miłość, nie ujdzie mej nienawiści. Wtrąćcie ich na noc do zagrody dla niewolników. O świcie zaś zabierzcie i rzućcie drzewom kulamtu na pożarcie!

Conanowi wydało się, że nawet najtwardsze Amazonki zadrżały na dźwięk tego niezrozumiałego słowa. Cóż jednak

mogło być straszego w zwyczajnym drzewie?



## ROZDZIAŁ XVI

# ŻARŁOCZNE DRZEWO

Conan zmrużył oczy spoglądając w promienie słońca wschodzącego nad wierzchołkami drzew w odległej dżungli, następnie rozejrzał się dookoła z ciekawością.

Amazonki zaciągnęły go wraz z Chabelą na centralny plac w Gamburu. Po jednej stronie wznosił się pałac królewski z dwoma podniszczonymi przez wieki tajemniczymi posągami po obu stronach bramy. Conan leżał w obszernym, płytkim zagłębieniu na środku placu. Dno zagłębienia wysypane było piaskiem. Widząc je po raz pierwszy po przybyciu do Gamburu, Conan zauważył podobieństwo niszy do areny, którą oglądał w czasie, gdy służył jako najemnik w argijskiej Messantii. Tamta arena miała jednak drzwi, przez które posyłano do walki gladiatorów lub dzikie bestie. Tu zaś wejść takich nie było.

Inną osobliwością była kępa drzew na środku piaszczystego podłoża. Były to pewnie drzewa kulamtu, o których mówiła królowa Nzinga. Przyjrzał się najbliższemu, by stwierdzić, że nie przypomina ono żadnego ze znanych mu drzew, choć posiadało kilka cech właściwych bananowcom. Pień był gąbczasty i włóknisty, lecz zamiast zwęzać się do wierzchołka, zwieńczony był na szczycie okrągłym, wilgotnym otworem podobnym do ust. Nieco niżej wyrastał wieniec ogromnych liści: długich, szerokich i grubych; każdy wielkości dorosłego człowieka, pokryty po wierzchniej stronie włosowatymi wyrostkami długimi na

grubość palca.

Amazonki, przystrojone w lamparcie skóry, ptasie pióra i prymitywną brzęczącą biżuterię, wypełniały powoli rzędy kamiennych ław okalających arenę. Wiele było między nimi osobistości znanych Conanowi z uczt u Nzingi.

Ukradkiem sprawdził moc więzów. Mięśnie jak postronki zarysowały się na jego stalowych ramionach, brwi zmarszczyły się w wysiłku, plecione liny opierały się jednak jego wysiłkom, ustępując nieco, lecz utrzymując nieubłagany uchwyt na rękach i nogach, które były też związane razem wokół kostek. Ironią losu było to, że on, który w swoim czasie rozrywał żelazne łańcuchy, pokonany został przez sznury z plecionej trawy. Te jednak, które związały mu ręce i nogi, znały swe rzemiosło.

Prawie wszystkie miejsca były już zajęte. Na rozkaz siedzącej wśród starszyny królowej Nzingi strażniczki zaciągnęły Conana i Chabelę w pobliże dziwacznych drzew i oddaliły się w pośpiechu, pozostawiając bezbronnych więźniów na piasku.

Amazonki na widowni wszczęły ożywione rozmowy. Wymachiwały rękami w podnieceniu, krzyczały i śmiały się.

Chabela krzyknęła głośno. W tym momencie Conan poczuł dotyk na stopie i odwrócił się, by zobaczyć, co się dzieje.

— Na Croma! — zagrzemiał.

Oto jeden z olbrzymich liści drzewa kulamtu obniżył się, owijając się powoli wokół jego kostki. Chabela znów krzyknęła, gdy liść innego drzewa oplótł i jej nogi. Conan zacisnął zęby.

Ta część Kush była mu nieznana. Jednak wiele lat temu, gdy razem z Bélit pustoszyli Czarne Wybrzeże, słyszał od jej murzyńskiej załogi opowieści o okropnościach kryjących się w sercu dżungli. Legendy te mówiły również o drzewie-ludożercy, ale Conan uznał to za jeszcze jeden wymysł zabobonnych

barbarzyńców.

Teraz jednak zbladł pod ciemną opalenizną, zrozumiał bowiem, co oznaczały walające się pod drzewami ludzkie kości. Oto za chwilę lepkie liście owiną się wokół jego ciała, gwałtownie uniosą go w górę i wrzucą do tej obrzydliwej dziury. Diabelskie drzewo połknie go żywcem. Kwasy wydzielane przez tkanki wewnętrzne rozpuszczą jego ciało i wreszcie drzewo wypluje jego kości.

Już teraz trzy liście owinęły się wokół niego pomimo jego wysiłków, by wyczołgać się poza zasięg drzewa. Powoli uniosły go w górę. Każdy z włosowatych wyrostków kłuł jak szerszeń w miejscu zetknięcia z ciałem. Zgroza i obrzydzenie przydały nowych sił potężnym mięśniom Cymeryjczyka.

Później, poprzez zgiełk na widowni, usłyszał słaby dźwięk, który również dodał mu sił. Był to mianowicie trzask pękającego sznura. Za chwilę zerwał się i inny.

Conan natychmiast zorientował się, że również liście wydzielają jakąś żrącą substancję, która rozpuściła i osłabiła trawiaste sznury. Gwałtownie napiął mięśnie i jeszcze kilka sznurów pękło. Uwolnił jedną rękę, którą oderwał następnie oplatający mu już głowę liść, zerwał jeszcze więcej sznurów, oswobodził się z lepkich liści i jednym susem skoczył na piasek. Jego kończyny w miejscach zetknięcia z rośliną pokryte były piekącymi czerwonymi kropkami.

Po ryku dochodzącym z widowni zorientował się, że jeszcze nigdy przedtem nic podobnego się nie wydarzyło. Niewątpliwie Amazonki były do tej pory na tyle ostrożne, że żywiły ludożercze drzewa tylko ofiarami osłabionymi torturą lub więzieniem. Nigdy nie dostarczały roślinie skazańców niezwykłego wzrostu i siły, z której na dodatek potrafili zrobić użytek. Conan

postanowił jak najlepiej wykorzystać błąd Amazonek.

Chabela, owinięta grubymi liśćmi od stóp do głów jak mumia, była w połowie drogi do paszczy drzewa, gdy Conan podbiegł do niej. Wskoczył w górę, chwycił liście unoszące dziewczynę i uczepił się ich. Nie wytrzymały dodatkowego ciężaru. Niektóre z nich rozerwały się w połowie, inne oderwały się całkowicie od pnia. Conan spadł na gorący piasek z Chabelą w ramionach. Szybko oderwał owijające ją liście, które zwijały się powoli jakby pod wpływem bólu. Tak jak i jego własna, skóra Chabeli pokryta była czerwonymi plamkami w miejscach, gdzie przylegały do niej liście. Pociągnął za krępujące ją sznury. Były one również mocno nadwerężone, rozerwał więc je bez trudu.

Wśród Amazonek zakotłowało się. Grupa strażniczek wskoczyła na arenę i rzuciła się w jego stronę pobłyskując w słońcu pancerzami i bronią. Conan oderwał ostatni liść z twarzy Chabeli, by mogła swobodnie oddychać i skoczył, by stawić czoła tym razem ludzkim przeciwnikom.

Wojowniczkami nie rzuciły się jednak na niego z dzidami, mieczami i pałkami, jak się spodziewał, lecz zatrzymały się kilka kroków przed nim wymachując bronią i obrzucając go wyzwiskami i groźbami. Zdał sobie wtedy sprawę, że boją się nie tylko jego, Conana, stojącego przed nimi z gołymi rękami i niemal nagiego, lecz przede wszystkim drzew za nim. Ich niezdecydowanie wynikać mogło po prostu z lęku przed straszliwymi żarłocznymi roślinami, albo może też drzewa uważane były za bóstwa. Bez względu jednak na przyczynę, moment ich zawahania poddał mu pewną myśl.

Odwróciwszy się Conan wparł się ramieniem w pień drzewa, które próbowało zrobić z niego przekąskę. Zwijało się ono teraz i potrzasało porwanymi liśćmi jakby w bólu, nie próbując już

nawet go chwytać. Pień nie wyglądał zbyt mocno i pewnie nie był silniejszy od drzewa bananowego, które przypominał. Conan pchnął z całej siły i poczuł, jak drzewo poddaje mu się z trzaskiem. Jeszcze jedno pchnięcie i pień wyrwany został z piaszczystego podłoża, które nie było mocnym oparciem dla białych pnączy służących drzewu jako korzenie.

Nieludzki ryk oburzenia rozległ się na widowni, gdy Conan powalił drzewo. Uniósł je następnie pod pachą jak taran. Miało ono ponad trzy metry długości od korzeni do paszczy, około trzydziestu centymetrów grubości i było zdumiewająco lekkie jak na swoje rozmiary.

Conan zaatakował wojowniczkę drzewem jak taranem. Te rozbiegły się w popłochu. Roześmiał się triumfująco. Amazonki widać bały się znaleźć w pobliżu świętego drzewa. Zakreślił pniem powalając dwie strażniczki. Pozostałe wycofały się na widownię.

Za chwilę poszybował w jego kierunku śmiercionośny deszcz oszczepów. Jeden z nich wbił się w pień o kilka cali od jego ramienia. Nad głową przeleciało kilka kanciastych noży na kształt bumerangów.

— Chabela! — wrzasnął. — Bierz jedną z tych dzid i za mną!

Pobiegli w kierunku kamiennych ław. Conan biegł pierwszy. Grupa Amazonek przed nimi rozproszyła się, gdy machnął pniem w ich stronę, rozpryskując krople trawiennego soku. Conan z Chabelą wspięli się zwinnie po ławach do poziomego placu i pomknęli ulicą w kierunku Zachodniej Bramy.

Wychodząc z zagłębienia Conan spodziewał się napotkać połowę żeńskiej armii Gamburu gotowej do walki. Oczom jego ukazał się jednak zgoła inny widok. W powietrzu fruwały płonące strzały, dachy pobliskich domów paliły się. Kilkanaście

trupów leżało w kałużach krwi z wystającymi z ciał drzewcami włócznie. Chór wojennych okrzyków rozbrzmiewał w powietrzu. Miasto Amazonek zostało zaatakowane.

Tłum czarnych wojowników, bez wątpienia mężczyzn, sunął ulicą od Zachodniej Bramy. Posuwali się w karnym szyku bojowym wypuszczając lawinę strzał i tnąc zastępy Amazonek zagrządzających im drogę.

Ponad głowami łuczników Conan dostrzegł swego starego przyjaciela, Jumą, zawołał go więc po imieniu. Juma zauważył go, uśmiechnął się i wydał rozkaz w ojczystym języku jego ludzi. Szeregi przeformowały się, a łucznicy otoczyli Chabelę i Conana, który odrzucił już drzewo, by zapewnić im ochronę. Następnie oddział zaczął wycofywać się tą samą drogą, konsekwentnie odpierając ataki z tyłu.

Conan roześmiał się i poklepał Jumą po plecach.

— Ciekaw byłem, czy przyjdiesz — powiedział. — Jesteś w samą porę.

Juma uśmiechnął się i wyłapał długą amazońską strzałę na tarczę z twardej skóry hipopotama.

— Czy ja wiem? Wygląda na to, że świetnie sobie radzisz, Conanie.

Gdy wycofywali się do Zachodniej Bramy, Juma wyjaśnił, że jego ludzie tropili łowców niewolników aż do Gamburu. Następnie zebrał oddział swych czarnych wojowników i ruszył na amazońską stolicę.

— Bałem się, że nie znajdziemy cię żywego — zakończył. — Powinienem był przewidzieć, że nie nazywałbyś się Conan, gdybym nie zastał cię jak zwykle walczącego i to w pojedynkę z całym miastem Amazonek.

Gdy doszli do bramy, Conan ujrzał rudą brodę i niebieskie

oczy Sigurda, który z oddziałem uzbrojonych marynarzy pilnował, by nikt nie odciął odwrotu murzyńskiej armii. Conan i Sigurd wydali równocześnie okrzyki i pomachali do siebie, ale nie było czasu na rozmowy.

Wychodząc z bramy Conan uśmiechnął się, że nie musi już oglądać miasta królowej Nzingi. Królowa była wspaniałą kobietą i partnerką w łóżku, ale Conan za nic nie chciałby na zawsze pozostać „Panem Królową”. Podejrzewał zresztą, że niejednym był kochanek królowej znalazł się w paszczy drzew-ludożerców, gdy tylko zmienna i uparta Nzinga znudziła się ich objęciami.

— Teraz wiem, co znaczy, że twoi łucznicy szkoleni są w stylu turańskim — rzekł do Jumy. Pościgowa grupa Amazonek wypadła za nimi z bramy, lecz ludzie Jumy ustawili szyk, zwarli szeregi i posłali salwę w tłum, aż te, które przeżyły, zaczęły uciekać z powrotem do miasta.

Wkrótce dotarli do lasu. Gdy oddział zatrzymał się na odpoczynek, Conan z Sigurdem przywitali się serdecznie. Sigurd spojrział na Chabelę i przykląkł.

— Księżniczko! — rzekł zgorszony. — Na sutki Ishtar i ognisty brzuch Molocha, powinnaś mieć coś wdziane! Co pomyślałby sobie twój królewski rodzic? Proszę, weź to!

Zdjął koszulę i podał dziewczynie, która włożyła ją i zawinęła rękawy. Ze względu na wielkie rozmiary Sigurda koszula była dość długa, by okryć kształtne ciało Chabeli.

— Dzięki, mistrzu Sigurdzie — odpowiedziała. — Masz oczywiście rację, lecz zostałam zmuszona do chodzenia nago wśród nagiego ludu, więc przywykłam już do tego.

— Dokąd ruszamy, Conanie? — spytał Sigurd. — Nie wiem, jak ty, ale ja dość już mam palącej dżungli. Jeśli nawet moskity i pijawki nie zjedzą cię żywcem, lwy z przyjemnością dokończą

dzieła.

— Z powrotem do Kulalo — rzekł Conan — a potem zaraz na „Łobuza”. Jeśli ci, którzy zostali, odpłynęli pozostawiając nas tu, obedrę ich żywcem ze skóry.

— Najpierw weźmiecie udział w naszej uczcie zwycięstwa — zaprotestował Juma. — Teraz, gdy moi wojownicy pokonali Amazonki z Gamburu, moje imperium z pewnością obejmie całą tę ziemię. Moi ludzie tęsknią, by spić się do nieprzytomności dobrym bananowym winem...

Conan potrząsnął głową.

— Dziękuję ci, stary przyjacielu, obawiam się jednak, że nie mamy czasu do stracenia. Mamy jeszcze w Zingarze zadanie do dokończenia. Szykuje się spisek przeciw ojcu księżniczki Chabeli, królowi Ferdrugo, musimy więc natychmiast odwieźć ją do domu. Wygląda na to, że połowa czarowników ze Stygii jest zamieszana w tę sprawę, a zatem uczta zwycięstwa będzie musiała poczekać. Nasze zwycięstwo, jak widzisz, dopiero musimy sobie wywalczyć.



## ROZDZIAŁ XVII

# WRAK „ŁOBUZA”

Podróż przez dżunglę z Gamburu do stolicy króla Jumy, Kulalo, a stamtąd do ujścia Zikamby, gdzie zostawili „Łobuza”, zabrała im parę dni. Chabela była zbyt wyczerpana, by iść pieszo, więc Murzyni Jumy szybko przygotowali dla niej lektykę z bambusa i tkaniny, w której księżniczka mogła podróżować w miarę wygodnie. Co do Conana, wystarczyło mu kilka godzin odpoczynku, pół bukłaka mocnego wina i spory kawał pieczeni, by doszedł do siebie. Nie po raz pierwszy zdumiewająca, zwierzęca wręcz witalność barbarzyńskiej spuścizny dawała mu przewagę nad słabszymi, mniej odpornymi ludźmi z krain, po których podróżował, napotykał w drodze wiele przygód. Nie czuł jednak jakiejś wielkiej dumy z powodu swej fizycznej przewagi nad innymi, rozumiejąc, iż jest ona zasługą przodków czy też bogów i w związku z tym nie powinna prowadzić do zarożumiałości.

Słońce prawie zachodziło, gdy doszli do porośniętych palmami brzegów Zikamby. Gdy dotarli do ujścia, księżyc wschodził już jak miedziana tarcza. Strumień przy ujściu rozlewał się szeroko. Leniwy prąd mieszał jego słodką, ciemną od osadu wodę z huczącym morzem. Tam właśnie oczekiwał ich wstrząsający widok.

Sigurd zaniemówił, a gdy odzyskał głos, rzucił siarczystą wiązaną przekleństw. Conan milczał, lecz niewzruszona,

brązowa maska jego twarzy pociemniała jeszcze bardziej ze wściekłości.

Powodem takiego zachowania był „Łobuz”, który leżał na wpół zatopiony na mieliźnie, a jego pokład obmywały fale. Z masztów pozostały jedynie zwęglone kikuty, a pokład również był spalony. Z faktów tych oraz tuzina usypanych na skraju dżungli mogił Cymeryjczyk wywnioskował z niezadowoleniem, że musiała odbyć się tu bitwa, w której „Łobuz” poniósł klęskę.

Odgłos zbliżających się oddziałów Jummy postawił na nogi czujne strażę. Rozległy się ostrzegawcze okrzyki i dudnienie kroków. Zapalono pochodnie, których światło rozbłysło na obnażonych mieczach w rękach grupy krzepkich żeglarzy. Conan odsunął swych towarzyszy i ruszył przed siebie.

Załoga była w opłakanym stanie. Większość poowijana była w brudne bandaże, niektórzy wspierali się na drągach i szczudłach. Oficer Zeltran krzątał się między nimi. Jego prawa ręka owinięta była bandażem; w lewej dzierżył miecz.

— Kapitanie! — zawołał. — Czy to ty? Zabij mnie, nie sądziliśmy, że jeszcze kiedyś cię zobaczymy. Już myśleliśmy, że dżungla cię pochłonęła!

— Żyję, Zeltranie — powiedział Conan — ale co tutaj się stało? Widzę, że mieliście kłopoty, kto jednak był ich sprawcą?

Zeltran potrząsnął głową niepocieszony. Mały, krępy oficer wychudł bardzo.

— Ten pies Zarono! — warknął. — Trzy dni temu jego „Petrel” napadł nas z nienacka...

— Z nienacka?! — ryknął Conan. — Jak się to mogło stać? Czy nie mieliście wart?!

Zeltran zaklął.

— Mnóstwo wart, kapitanie, tylko że żaden wartownik na

świecie nie byłby w stanie zobaczyć „Petrela”! Spowiała nas gęsta mgła, taka mgła, jakiej ludzkie oko nie widziało. Nie było widać więcej niż przez granitową skałę...

— Tak, kapitanie, to prawda! — wtrącił jeden z żeglarzy. — To były czary, kapitanie, czarna magia. Usmaż me wnętrzności, jeśli tak nie było!

— A pod przykryciem tej tajemniczej mgły podpłynął „Petrel” i zmiotł wasz pokład, czy tak? — wrzasnął Conan.

— Właśnie tak — odrzekł Zeltran — tak właśnie było. Usłyszeliśmy tylko, jak burta statku Zarony uderza o naszą, a potem jego ludzie przeskoczyli przez poręcz i napadli na nas. Walczyliśmy, bogowie zaświadczą, widzisz zresztą nasze rany, oni jednak mieli przewagę liczebną i działali z zaskoczenia. Wyparli nas w końcu za burtę do wody. Próbowałem osłonić odwrót załogi...

— Tak, kapitanie — potwierdził inny z żeglarzy — szkoda, żeś go wtedy nie widział, byłbyś z niego dumny; wywijał mieczem za trzech.

— ...ale wtedy coś uderzyło mnie w głowę. Gdy przyszedłem do siebie, byłem przywiązany do masztu, a psy Zarony stały wokół, szydząc ze mnie. Za chwilę przyszedł sam Czarna Zarony, wystrojony w koronki, razem z tym węzowym mnichem, Menkarą. „No, chłopie”, mówi Zarony, „a gdzie jest twój pan, ten barbarzyński prostak — Conan?” — „Poszedł na ląd, panie”, odpowiadam.

Zarony uderza mnie w twarz i mówi: „To widzę, głupcze, ale gdzie na ląd?”

„Nie wiem, panie”, i widząc, że rozjuszanie go nie przyniesie nic dobrego, dodaję, „Ma tu gdzieś znajomą bandę czarnych wojowników i poszedł ich odwiedzić”.

„A ta Zingaranka, która z nim była?”, pyta dalej Zarono.

„O ile wiem, poszła z nim”, odpowiadam.

„Ale w którą stronę, człowieku? W którą stronę i jak daleko?”, pyta znów. Udałem, że nie mam pojęcia, gdzie może się podziewać król Juma, nawet gdy przysmażali moje prawe ramię rozżarzoną węglą. Pokażę ci pęcherze, kapitanie, gdy jeszcze je trochę podleczę. Potem Zarono i stygijski mnich odeszli na bok i naradzali się po cichu. Mnich ustawił swój magiczny aparat na nadbudówce, po czym zaczął mamrotać i mrużyć, a wokół niego migotały dziwne światełka. W końcu rzekł do Zarono: „Widzę ją niesioną w lektyce przez dżunglę w otoczeniu silnej armii czarnych wojowników. Nic więcej nie potrafię powiedzieć.”

Strasznie to Zarono zdenerwowało, mówię ci. Walnął mnie kilka razy w twarz, po to tylko, żeby się wyładować.

„Co, do wszystkich diabłów, mam przeczesać wszystkie dżungle Kush, by znaleźć dziewczkę, a potem wyrwać ją z rąk setek wojowniczych barbarzyńców? Równie dobrze mógłbyś mi kazać przeskoczyć księżyc!”

Po dłuższej dyskusji Zarono i Menkara postanowili zniszczyć „Łobuza” i ruszać natychmiast do Kordafy. Planowali jechać przez Stygię, by zabrać sprzymierzeńca zwanego Thoth-Amonem, jeśli dobrze usłyszałem.

— Thoth-Amon? — rzekł Conan. — Miałem już z nim do czynienia. Z tego, co wiem, to trudny przeciwnik. Ale mów dalej. Wygląda na to, że te dwa psy nie kryły przed tobą swych planów.

— To prawda, kapitanie, nie zamierzali jednak zostawić mnie przy życiu, bym o tym opowiadał. Zarono wydał odpowiednie rozkazy. Część załogi wsiadła do łodzi i wyrąbała dziurę w kadłubie na poziomie wody. Druga grupa obłożyła maszty materiałami palnymi i podpaliła.

— A ciebie przywiązali do jednego z masztów?

— Właśnie tak, panie. Do grota. Oczywiście niezbyt podobala mi się perspektywa spłonienia żywcem, więc gdy ludzie Zarona wycofywali się na „Petrela” i odpływali w obawie, by i ich statek się nie spalił, zacząłem modlić się do Mitry, Ishtar, Asury i wszystkich innych bogów, o których słyszałem, by wyciągnęli mnie z tej opresji. Nie wiem, czy moje modlitwy zostały wysłuchane; w każdym razie ledwie „Petrel” rozplynął się we mgle, zaczął padać deszcz.

W tym czasie „Łobuz” zanurzał się coraz bardziej, aż oparł się na dnie, jak widać. Ja natomiast szarpałem się, dopóki nie wyswobodziłem rąk z więzów, gdyż tamci z „Petrela” nie związali mnie jak prawdziwi żeglarze. Gdy byłem już wolny, udało mi się wyrzucić większą część chrustu za burtę, a resztę ugasił deszcz, choć maszty i żagle były już spalone. I to już cała historia.

Conan chrząknął.

— Gdyby był mądrzejszy, nie usiłowałby zatopić statku i spalić go równocześnie. Albo jedno, albo drugie; naraz nie zdaje to egzaminu.

Poklepał Zeltrana po ramieniu, wywołując dreszcz bólu w obolałej ręce marynarza.

— Wiem, że ty i twoi chłopcy zrobiliście wszystko, co było możliwe. Teraz musimy jednak starannie zaplanować nasz następny ruch, którym będzie doprowadzenie „Łobuza” do stanu używalności jak najszybciej się da.

Twarz Zeltrana posmutniała.

— Niestety, kapitanie, nie wiem, jak to zrobić w czasie krótszym niż kilka miesięcy. Nie mamy tu przecież stoczni, a wyszkoleni stoczniovcy nie wybiegną tłumnie z dżungli na nasze

zawołanie.

Juma podszedł do nich w milczeniu.

— Moi ludzie pomogą wam naprawić statek. Dla wielu silnych rąk to drobnostka.

— Może masz rację i dziękuję ci za to — rzekł Conan w zamyśleniu — ale czy twoi wojownicy wiedzą coś o remontach statków?

— Zupełnie nic; nie jesteśmy narodem żeglarzy. Ale jest nas wielu i jesteśmy silni; mamy też wśród nas wielu dobrych cieśli. Jeśli twoi ludzie pokażą im, co trzeba zrobić, będą pracować jak tytani, dopóki zadanie nie zostanie wykonane.

— Świetnie! — powiedział Conan i podniósł głos, by usłyszała go przygnębiona załoga. — Kamraci, przegraliśmy bitwę, ale jeszcze nie przegraliśmy wojny! Czarny Zarono, który pokonał was przy pomocy zdradzieckiej magii, płynie teraz do Zingary, by obalić naszego przyjaciela i patrona, starego króla Ferdruga. Ludzie króla Jumy pomogą nam naprawić statek, a potem ruszamy na morze, by wyrównać rachunki z tym łajdakiem i uratować naszego króla przed intrygą Zarono! Co wy na to?

— Straciliśmy wielu dobrych marynarzy — rzekł bosman wskazując na rząd mogił.

— Tak, ale mamy Argijczyków Sigurda! Jeśli połączycie się w jedną załogę, zapominając o głupich waśniach, możemy podjąć się tego. Co na to powiecie? Chcę to usłyszeć głośno i wyraźnie!

Żeglarze wydali gromki okrzyk uznania, a ich miecze zabłyśły w świetle księżyca.

Nigdy jeszcze nie widział Conan ludzi pracujących tak ciężko. Przywiązano liny do kikutów masztów i podniesiono statek. Nurkowano do zalanej wodą ładowni, by wydobyć narzędzia. Ścinano drzewa, cięto je na deski i załatano dziurę w burcie

„Łobuza”. Wypompowano wodę, aż statek zakołysał się znów na powierzchni wody przytrzymywany jedynie linami kotwicy.

Następnie ścięto kolejne drzewa i ociosano je starannie, by mogły zastąpić spalone maszty i reje. Podczas gdy kobiety w stolicy szyły nowe żagle, mężczyźni zbierali żywiczne drewno, układali je w stosy, podpalali i zbierali wyciekający dołem dziegieć. Pracowano dzień i noc, a chłopcy z wioski trzymali zapalone pochodnie.

Nadszedł wreszcie dzień pożegnania. Korsarze chwiali się na nogach ze zmęczenia lub po wypiciu większej ilości wina bananowego, albo też z obu tych przyczyn; „Łobuz” był jednak gotowy do drogi.

Przez całą noc ludzie Jumy — ustawieni w długi łańcuch biegnący przez kuszycką dżunglę aż na plażę — podawali zapasy na drogę: beczki z wodą, beczułki twardych ciastek z prosa, naręcza świeżych owoców, kawały wędzonej wieprzowiny, beczki słodkich ziemniaków i innych warzyw. Było tego dość nawet na podróż na koniec świata.

Gdy świt rozjaśnił niebo na wschodzie, Conan pożegnał się z Jumą. Walczyli kiedyś razem w legionach króla Turanu, Yildiza; przemierzali śnieżne bezdroża w Górach Talakmas, stawiali czoła wyjącej hordzie małych, skośnookich wojowników w dziwacznych zbrojach z lakierowanej skóry i chodzącemu kamiennemu bożkowi w nieznannej dolinie Meru. Teraz ostatni raz walczyli ramię przy ramieniu w gorącej kuszyckiej dżungli.

W milczeniu, z uśmiechem powstrzymując napływające do oczu łzy, wymienili serdeczny uścisk dłoni. Nie mówili nic, gdyż obaj przeczuwali, że nie zobaczą się już w tym wcieleniu.

Postawiono żagle na „Łobuzie”. Płótno załopotalo naprężone przez wypełniającą je morską bryzę. Czarni wojownicy z

kobietami i nagimi dziećmi tłoczyli się na brzegu, machając rękami na pożegnanie. „Łobuz” wypłynął na głęboką wodę i wziął kurs na Zingarę.



## ROZDZIAŁ XVIII

# KRÓLESTWO W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

O zachodzie słońca Conan wprowadził „Łobuza” do portu w Kordafie. Z nadejściem zmroku ciemne chmury przesłoniły świecące gwiazdy. Niewielu ludzi zauważyło wpływający do portu wysmukły statek, który zacumował przy dalszym końcu nabrzeża. Conan uważał, że lepiej będzie przybyć do miasta możliwie niepostrzeżenie, gdyż nie wiedział, czy książę Villagro nie zdołał już przejąć władzy i czy Zarono wraz z Thoth-Amonem są już w mieście. To, że przybyli przed nim, stało się pewne, gdy Zeltran chwycił go za ramię i wyciągnął rękę:

— „Petrel” Zaron! — zasyczał oficer. — Kapitanie, myślę, że skoro nikogo nie ma w pobliżu, możemy skoczyć i spalić go...

Conan uśmiechnął się w ciemności.

— Nie daj się ponieść, waleczny kogucie — mruknął. — I kto teraz jest nierozważny? Gramy o wyższą stawkę. Naszych przyjaciół zapewne tam nie ma; pewnie są w zamku Ferdruga i knują spisek, by go usidlić.

Księżniczka niecierpliwie wczepiła się w ramię Conana.

— Spieszmy do pałacu, kapitanie Conan! Twoi ludzie mogą dołączyć później. Musimy natychmiast ostrzec ojca przed spiskiem, bo ci zdrajcy Villagro i Zarono mogą...

— Spokojnie — odrzekł Conan z uśmiechem — nie spiesz się tak, dziewczyno! Dawno temu życie nauczyło mnie, by nie pchać

się w pułapkę, jeśli można ją ominąć. Zbuntowany książę i jego czarownik Thoth-Amon mogli już przejąć władzę, a wtedy pójdzie prosto do pałacu byłoby atakiem muchy na sieć pajęczą. Nie, mam inny pomysł...

— Jaki? — pytała dziewczyna. Uśmiechnął się ponuro.

— Odwiedzę najpierw pewne miejsce w Kordafie, w którym będę bezpieczny: „Dziewięć Nagich Mieczów”.

— „Dziewięć Nagich Mieczów”? — powtórzyła.

— Nie jest to miejsce, które mogłoby spodobać się damom o twojej pozycji, ale nadaje się dla naszych celów. Zaufaj mi, dziewczeczko! Zeltran, biorę dziesięciu ludzi. Przyniesiesz peleryny i latarnie i dopilnuj, by byli dobrze uzbrojeni.

Na ulicach panowała cisza jak na cmentarzu. Sigurd, przesądny jak wszyscy żeglarze, drżał krocząc przez kałuże u boku Conana, a jego ręka pieściła rękojeść miecza pod czarną peleryną.

— Ani chybi wszyscy nie żyją albo są zaczarowani — mruzczał, rozglądając się bacznie dokoła. Conan kazał mu trzymać język za zębami, by nie zaalarmował straży.

Nikt więc, nie licząc kordafańskich kotów, nie widział grupy żeglarzy, którzy owinięci w czarne żeglarskie peleryny, zakrywając twarze, przemykali się alejami w kierunku „Dziewięciu Nagich Mieczów”. Gdy weszli do środka, nadszedł sapiąc stary Sabrał, wycierając ręce w fartuch.

— Przykro mi, ale zamykamy na noc — powiedział. — Władze nakazały zamknąć dziś na noc wszystkie tawerny o zachodzie słońca. Zmuszony jestem więc prosić...Och!

Conan zdjął kapelusz, odrzucił pelerynę i zbliżył ciemną, ponurą twarz do twarzy karczmarza.

— Co mówisz, przyjacielu? — mruknął.

— Ach, że też nie poznałem cię od razu... Oczywiście „Dziewięć Nagich Mieczów” zawsze stoi otworem dla kapitana Conana, bez względu na zarządzenia. Wchodźcie, chłopcy, wchodźcie. Trochę czasu zajmie, nim rozpalę ogień i przyniosę trunki, ale dostaniecie wszystko, czego sobie życzycie.

— A dlaczegoż to władze kazały wam dziś wcześniej zamykać gospody? — spytał Conan, rozsiadając się wygodnie w miejscu, z którego mógł obserwować drzwi.

Gruby oberżysta wzruszył ramionami.

— Jeden Mitra wie, kapitanie. Królewski dekret pałacowy; wyszedł wczoraj wieczorem... Dziwne to czasy, naprawdę dziwne. Najpierw przybywa kapitan Zarono, diabli wiedzą skąd, z zastępem ciemnych Stygijczyków wśród załogi i idzie wprost do królewskiego pałacu jakby do siebie. Nikt nie mówi mu na to ani słowa, jakby zaczarował wszystkich ludzi króla. A potem te nowe dekry: zamknąć o zachodzie słońca miejskie bramy i tak dalej. Książę Villagro szefem ochrony państwa, a w mieście stan wyjątkowy. Dziwne rzeczy się dzieją, kapitanie, dziwne rzeczy. Nic dobrego z tego nie wyniknie, wspomnisz moje słowa!

— To ciekawe — rzekł Sigurd.

— Co ciekawe? — spytał Conan.

— Hm, na oko Dagdy i paluch Orvandela! Twój przyjaciel mówi, że miasto jest zamknięte na cztery spusty, a my wpłynęliśmy sobie spokojnie do Kordafy. Czy nie należałoby się spodziewać, że Villagro pošle swoich rzezimieszków do ochrony portu?

— Myślą, że „Łobuz” wciąż leży na burcie przy ujściu Zikamby — odrzekł Conan.

— Ach tak, zapomniałem! — zgodził się Sigurd. — Zarono

nigdy by nie przypuszczał, że z pomocą ludzi Jummy tak szybko naprawimy statek.

Conan skinął głową.

— Właśnie, ruda brodo. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, król Ferdrugo zawdzięczał będzie tron czarnemu wojownikowi, o którym nigdy nie słyszał i którego nigdy nie zobaczy!

— Nigdy nie myślałem dobrze o czarnych — rzekł Sigurd. — Zawsze wydawali mi się bandą zabobonnych, dziecinnych dzikusów. Jednak twój przyjaciel Juma otworzył mi oczy. Jest prawdziwym wodzem, nawet tobie dorównuje. Tak, tak. W każdym narodzie są wielcy i mali.

Nie było czasu na rozmowy. Conan wypytał o wszystko Sabrala, który ze swadą opowiedział mu o wielu rzeczach, których korsarz domyślił się i których się obawiał. Villagro nie objął jeszcze tronu, lecz mogło się to stać lada chwila. Lokalne garnizony pod byle pretekstem porosyłane zostały na granice. Oficerów znanych z lojalności dla rodziny panującej wysłano za granicę, zdymisjonowano lub aresztowano pod zmyślonymi zarzutami. Od zmroku pałac królewski odgradzony był od reszty miasta. Kluczowe posterunki strażnicze obsadzone zostały poplecznikami Villagra. W pałacu miała się odbyć jakaś ceremonia, ale Sabral nie miał pojęcia, jaka.

— Myślę, że abdykacja — zagrzmiał Conan, przechadzając się po sali jak lew w klatce. — Musimy dostać się do pałacu. Tylko jak? Villagro i Zaron zabarykadowali się. Ten Thoth-Amon mocno musi trzymać w garści Ferdruga. Gdyby jednak udało nam się skonfrontować króla z córką, szok mógłby złamać czar... Wtedy moglibyśmy zająć się zdrajcami. Gdzie jest ten przeklęty Ninus? Powinien już tu być od pół godziny...

Sigurd zmarszczył brwi. Conan pytał już Sabrala o zdrowie

małego znajomego mnicha. Karczmarz powiedział mu, że były złodziej wyzdrowiał i wrócił do sanktuarium swej świątyni. Słyszając to, Cymeryjczyk wysłał jednego z żeglarzy, by sprowadził go do tawerny.

— Kto to jest Ninus? — spytał Sigurd. Conan wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Poznałem go wiele lat temu, gdy obaj byliśmy złodziejami w Zamorze. Wrócił do rodzinnej Zingary, gdy nawet tam, w Zamorze zrobiło mu się za gorąco. Tutaj poznał misjonarza kultu Mitry, który przekonał go, że księża opływają w dobra wykorzystując przesady i strach spokojnych mieszczan i znudzonych gospodyń. Będąc zaś człowiekiem, który zawsze wie, jak się ustawić, chętnie przyjął tę religię i został kapłanem Mitry. Jeśli ktokolwiek w Kordafie zna tajemne przejście do pałacu Ferdruga, to na pewno jest to właśnie on.

Jest najzręczniejszym złodziejem, jakiego znam; zręczniejszym nawet od Taurusa z Nemedii, którego nazywano księciem złodziei. Potrafił znaleźć drzwi do...

Dostojny dźwięk gongu dobiegł uszu Conana. Chabela zeszytniała i wbiła paznokcie w ramię korsarza.

— Dzwony w wieży, na wszystkie bóstwa! — zasapała. — Och, Conanie, spóźniliśmy się!

Spojrzał uważnie na jej pobladłą twarz.

— Co to znaczy, dziewczyno? Szybko!

— Dzwony... one obwieszczają, że król udziela audiencji! Spóźniliśmy się, już się zaczęło...

Conan i Sigurd wymienili szybkie spojrzenie i otworzyli okno, by przyjrzeć się pałacowi na wzgórzu.

Widać było przesuwające się tam i z powrotem światła. Chabela miała rację: ceremonia rozpoczęła się.



## ROZDZIAŁ XIX

---

# KRÓL THOTH-AMON

W sali tronowej króla Ferdruga rozgrywały się dramatyczne wydarzenia. Na zewnątrz niebo rozświetlane było co chwila błyskawicami szalejącej burzy, a w szybach spiczasto zakończonych okien migotały niebieskawe światełka. Sala była ogromna i wyniosła. Okrągłe ściany i pierścień potężnych kolumn z ciężkiego granitu wyłożonych nieregularnymi płytkami gładkiego marmuru wspierały olbrzymią kopułę wysoko w górze. Kopuła ta była największym cudem architektury w królestwie Ferdruga.

Wielkie świece, grube jak bicepsy wojownika, rzucały migotliwe światło z Lichtarzy z kutego złota. Światło pochodni, lamp i błyskawic odbijało się od wypolerowanych tarcz i pierzastych hełmów strażników rozstawionych na obrzeżach sali. Strażników było zresztą znacznie więcej niż zwykle przy takich okazjach. Sam ten fakt był już powodem niepewności i podejrzeń notabli i wysokich urzędników wezwanych na uroczystość przez królewskich heroldów.

Wydane w pośpiechu tajne zarządzenie nakazywało ich obecność podczas odczytywania proklamacji tronowej.

Innym powodem do niepokoju był strój strażników. Część z nich ubrana była w mundury Legii Tronowej — prywatnej ochrony króla — jednak ogromna większość występowała w barwach Villagra, księcia Kordafy.

Na środku sali wzniesiono podium z błyszczącego, zielono-czarnego malachitu, na którym ustawiono historyczny tron dynastii Ramirów. Zasiadł na nim Ferdrugo III.

Zebrani dygnitarze rzadko widywali swego władcę w ostatnim czasie. Patrzyli na niego w zamyśleniu, gdyż mocno się w tych dniach postarzał. Ciało miał zwiotczałe, kończyny przykurczone, a policzki zapadnięte tak, że wyraźnie wystawały kości policzkowe, które rzucały głębokie cienie na oświetloną świecami twarz. Również oczy starca kryły się w cieniu pod siwymi krzaczastymi brwiami. Oświetlenie w połączeniu z jego mizerną aparycją nadawało sędziwemu monarsze niesamowity wygląd kościotrupa.

Na głowie, która sprawiała wrażenie zbyt wielkiego ciężaru dla wątłej szyi, spoczywała starożytna korona legendarnego króla Ramira, założyciela dynastii. Była to gładka, złota elipsa, której górną krawędź ozdobiono wypukłymi prostokątnymi wycięciami, nadającymi jej wygląd baszty z jej blankami i strzelnicami.

W niemal przezroczystych, woskowych dłoniach król ścisnął wielki arkusz pergaminu opatrzonego licznymi pieczęciami. Słabym, niepewnym głosem zaczął czytać dokument. Długi, formalny wstęp, niekończąca się lista tytułów i żargon prawny — wszystko to wzmogło jeszcze spekulacje wśród obserwatorów. Wszyscy przeczuwali nadchodzące złowrogie wydarzenia.

Na posadzce przed podium stało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był książę Kordafy. Pod nieobecność księcia Tovarra, młodszego brata króla, Villagro był pierwszym po władcy dostojnikiem w królestwie. Jego koścista, chciwa twarz wyrażała pełne samozadowolenia oczekiwanie przemieszane z nerwową obawą.



U boku Villagra stał drugi mężczyzna, nie znany nikomu z obecnych. Sądząc po wygolonej głowie, jastrzębich rysach, śniadej cerze i silnej posturze, wyglądał na Stygijczyka. Cała jego postać tonęła w ciężkich szatach, tak że widać było jedynie głowę.

Na wygolonej czaszce spoczywało osobliwe nakrycie: korona w kształcie zwiniętego spiralnie złotego węża, inkrustowana tysiącem białych lśniących klejnotów. Gdy przybysz odrzucił w tył kaptur swej szaty, dostojnicy jęli poszturchiwać się i szeptać między sobą na widok niezwykłego przedmiotu. Jeśli bowiem klejnoty były w istocie szlifowanymi diamentami, których wyrób nie był jeszcze znany w erze hyboryjskiej, to wartość korony musiała przekraczać wszelkie kalkulacje. Gdy tylko mężczyzna poruszył się nieznacznie, kamienie rozsyłały po całej sali tysiące odbitych od lamp na ścianach promieni we wszystkich kolorach tęczy.

Człowiek o ciemnej twarzy sprawiał wrażenie niezwykle skupionego. Był tak pochłonięty własnymi myślami, iż wydawało się, że nie dostrzega zgromadzonych wokół ludzi, jakby cała jego energia skoncentrowana była na jednym przedmiocie.

Wśród świty księcia Villagra dostrzec można było posepną twarz korsarza Zarena i zakapturzoną postać, w której niektórzy rozpoznali setyckiego mnicha, Menkarę, poplecznika Villagra.

Ferdrugo mówił wciąż słabym, monotonnym głosem, zbliżając się już do końca dokumentu. Słuchacze osłupieli ze zdumienia, gdy do ich uszu doszły ostatnie słowa:

— ...dlatego też, mocą niniejszego dokumentu, my, Ferdrugo, król Zingary, zrzekamy się tronu na rzecz naszej córki i spadkobierczyni, księżniczki Chabeli, oddając równocześnie in absentia jej rękę waszemu nowemu królowi, wielmożnemu

księciu Thoth-Amonowi ze Stygii! Niech żyje królewska para! Niech żyją Chabela i Thoth-Amon, król i królowa odwiecznego i niezwyciężonego królestwa Zingary!

Szczęki zebranych opadły, a oczy rozwarły się w zdumieniu. Żadna jednak z twarzy nie wyrażała większego szoku niż oblicze księcia Villagra z Kordafy. Wlepił wzrok w starego króla, a jego ziemista cera przybrała barwę ołowiu. Wąskie, wypomadowane wargi wywinęły się w niemym pomruku ukazując poźółkłe zęby.

Villagro odwrócił się, jakby chciał przemówić do wysokiej milczącej postaci obok niego. Niewzruszony Stygijczyk posłał mu spokojny uśmiech, odsunął jego rękę na bok i wstąpił na podium, jak gdyby zamierzał odebrać wiwaty tłumu. Zamiast wiwatów rozległ się jednak coraz głośniejszy pomruk zdumienia i oburzenia. Ponad nasilającym się wrzeniem dał się słyszeć drżący głos króla Ferdruga:

— Uklęknij, synu!

Wysoki Stygijczyk zatrzymał się przed królem i przykląkł na jedno kolano. Następnie uniósł ręce, zdjął z głowy Koronę Kobry i ostrożnie położył ją obok siebie na czarno-zielonym kamiennym podium.

Ferdrugo podszedł do niego i również zdjął z głowy gładką, starą koronę legendarnego króla Ramira, obrócił ją w drżących dłoniach i ostrożnie nałożył na wygoloną czaszkę Thoth-Amona.

Z twarzą wykrzywioną świadomością zdrady swego sprzymierzeńca, Villagro chwycił ozdobny sztylet przypasany u boku. Prawdopodobnie zamierzał cisnąć ostrożność w diabły i wbić ostrze w plecy klęczącego czarnoksiężnika. Za chwilę puścił jednak sztylet, a jego wzrok zatrzymał się jak w hipnozie na Koronie Kobry, spoczywającej obok klęczącego Thoth-Amona. Wiedział co nieco, lub też wydawało mu się, że wiedział o jej

mocy. Meldując się u niego, Zarono powiedział mu:

„Z tego, co opowiadał mi Menkara i co wyrwało się Thoth-Amonowi podczas podróży, Wasza Miłość, wnioskuje, że działa to w następujący sposób. Otóż wzmacnia to i pomnaża zdolność ludzkiego umysłu do oddziaływania na umysły innych. Na przykład Menkara, który jest co najwyżej średniej klasy czarownikiem, potrafi opanować umysł jednej osoby — w tym przypadku naszego zniedołężniałego króla. Thoth-Amon, czarnoksiężnik nieporównywalnie potężniejszy, jest w stanie kontrolować umysły kilku osób równocześnie. Ten natomiast, kto włoży Koronę, jeśli wie, jak jej używać, może rządzić setkami, czy nawet tysiącami istnień. Może na przykład poprowadzić oddział nieświadomych niczego żołnierzy na stracenie. Może też wysłać lwa, jadowitego węża czy inną straszliwą bestię, by odnalazła jego wroga i zniszczyła go.

Nikt nie jest w stanie stawić czoła posiadaczowi Korony Kobry. Nie można zabić go w zasadzce czy poprzez spisek, gdyż Korona ujawni mu myśli knujących intrygę, a nic w promieniu strzału z katapulty nie może się dziać bez jego wiedzy. Zwykli śmiertelnicy, jak ty i ja, panie, ciągle nękani jesteście nieudolnością ludzi wykonujących nasze polecenia, jak wtedy, gdy moi marynarze pozwolili księżniczce wymknąć się z naszych rąk. Thoth-Amon nie musi lękać się takich błędów. Rozkaz wydany siłą woli wykonany zostanie precyzyjnie nawet za cenę życia najemnika”.

Tymczasem, by przypieczętować wyniesienie Thoth-Amona na tron, Ferdrugo własnymi rękami wkładał historyczną królewską koronę Zingary na ciemny łeb Stygijczyka. Aby to jednak było możliwe, Thoth-Amon musiał zdjąć Koronę Kobry. Książę Villagro zobaczył w tym swą szansę.

Ruszywszy z niewiarygodną jak na swój wiek szybkością, książę odrzucił na bok aksamitne okrycie i wskoczył na podium. Ponieważ Thoth-Amon nie miał na sobie Korony, nie został ostrzeżony o zamiarach swego byłego współnika, który złapał Koronę Kobry i włożył sobie na głowę.

Gdy książę ruszył do akcji, usłyszał zdławiony, gardłowy okrzyk, w którym rozpoznał głos stojącego opodal Menkary. Z Koroną na głowie Villagro odwrócił się, by ujrzeć chyżo zbliżającego się mnicha z obnażonym sztyletem w kościstej dłoni.

Gdy tylko Korona Kobry znalazła się na jego farbowanej, kędzierzawej czuprynie, Villagro poczuł, jak przez umysł przebiega mu tysiące wrażeń. Wydawało mu się, że wszystkie nie wypowiedziane myśli każdego z obecnych w sali kłębią się bezładnie w jego głowie. Nie będąc czarownikiem, nie potrafił ich poukładać.

Zdesperowany książę skoncentrował uwagę na zbliżającym się Menkarze, kierując w jego stronę rozpostarte palce, co w jego pojęciu miało być czarnoksięskim gestem. Całą swą wolę skupił na obrazie padającego na plecy mnicha, powalonego jak gdyby potężnym ciosem pięści.

Menkara istotnie zwolnił i zatrzymał się przed dolnym stopniem podium, po czym zatoczył się jak po ciosie. Sztylet uderzył z brzękiem o posadzkę.

W tej chwili Villagro odwrócił się ponownie, słysząc za plecami dziki ryk. To wrzasnął Thoth-Amon, który wstał i spojrzał za siebie.

— Psie! Zginiesz za to! — zawył Stygijczyk, mówiąc po zingarańsku z gardłowym akcentem.

— Sam giń! — odpowiedział Villagro wyciągając palce w kierunku Thoth-Amona.

Niełatwo było jednak pokonać potężnego czarnoksiężnika, nawet przy pomocy Korony Kobry, gdyż obecny właściciel nie potrafił należycie jej wykorzystać. Przez dłuższą chwilę dwaj przeciwnicy stali naprzeciw siebie w nierozstrzygniętej walce umysłów. Moc Villagra uzbrojonego w Koronę równoważyła mniej więcej potęgę Thoth-Amona, jednego z największych czarnoksiężników tamtych czasów. Wyteżali swą wolę i zataczali się, żaden jednak nie ustępował.

Poniżej stali notable i oficjele, obserwując zmagania w niemym zdumieniu. Było między nimi wielu dzielnych ludzi, którzy natychmiast pospieszyliby z pomocą temu, który walczyłby o dobro Zingary; jednak w całym tym chaosie nikt nie był w stanie powiedzieć, kogo należałoby poprzeć. Ubezwłasnowolnionego króla, złowrogię czarownika z obcego kraju, czy też knującego intrygi, pozbawionego skrupułów księcia?... Któż mógł wiedzieć, gdzie leży prawda?

Villagro usłyszał nagle za plecami mamrocącego zaklęcia Menkarę. Poczuł, jak siła jego umysłu topnieje. Równocześnie wydało mu się, że stojący przed nim Thoth-Amon potężnieje i nabiera nowych sił...

W tym momencie nagły hałas wstrząsnął pomieszczeniem, a wszystkie oczy zwróciły się w stronę jego źródła. W wejściu na balkon nad salą pojawił się tłum groźnych, obdartych żeglarzy. Na ich czele stał brązowy olbrzym ze zmierzwioną grzywą kruczoczarnych włosów i błękitnymi oczyma płonącymi wulkanicznym blaskiem pod ciężkimi, czarnymi brwiami, z olbrzymim mieczem w zaciśniętej dłoni.

Zarono wydał okrzyk zdumienia:

— Conan! — Na wszystkie bogi i demony — tutaj!

Na widok ogromnego barbarzyńcy ziemista, wilcza twarz korsarza pobladła i spochmurniała, a czarne oczy rozbłysły gniewem. Wyciągnął rapier z pochwy.

Zdarzenie to odwróciło również uwagę Thoth-Amona, który zwrócił swą śniadą, zwieńczoną złotą koroną głowę w stronę przybyłych. Gdyby miał na sobie Koronę Kobry, wiedziałby o zbliżaniu się Conana i jego ludzi zanim jeszcze weszli do zamku; zdjął jednak magiczne nakrycie głowy tuż przed ich wejściem w zasięg jego percepcji.

Rzuciwszy okiem na intruzów, Villagro skupił znów uwagę na Thoth-Amonie. Wiedział, że Stygijczyk jest o wiele groźniejszym przeciwnikiem. Gdyby udało mu się, niewprawnie nawet posługując się Koroną, pokonać Thoth-Amona, mógłby bez trudu w podobny sposób pozbyć się Conana. Gdyby jednak zajął się teraz Conanem, Thoth-Amon rozgniótłby go jak owada.

Conan stanął na szczycie schodów i zamachał rękami jak wiatrak, by skupić na sobie uwagę.

— Hej, lordowie Zingary! — zagrzemiał. — Podła zdrada i czarna magia wplątała waszego króla w ich sidła! — wyciągnął rękę w kierunku milczącej postaci Stygijczyka. — On nie jest żadnym księciem Stygii; to cuchnące diabelskie nasienie!

Czarownik z piekielnych otchłani Stygii przybył tu, by odebrać święty tron Zingary królewskiej rodzinie. Nigdy jeszcze nie nosiła ziemia łotra większego nad Thoth-Amona! Rozum króla waszego padł łupem magicznej sztuczki; nie wie on, co mówi, powtarza jedynie myśli, które niedoszły uzurpator wkłada mu do głowy!

Zgromadzenie zawrzało; jednych przekonały słowa Conana, inni nie dali się przekonać. Pewien gruby szlachcic zakrzyknął:

— Cóż to za szaleństwo? Dziki, nieokrzesany pirat wdziera się do pałacu podczas świętej uroczystości, wymachuje mieczem i

wykrzykuje bzdury? Straż! Aresztować tych łajdaków!

Wezbrał tumult, przez który dał się słyszeć głos Conana:

— Spójrzcie na króla, a przekonacie się o prawdzie moich słów, głupcy!

Pobladły, przygarbiony Ferdrugo chwiał się na nogach, szarpiąc swą rzadką siwą brodę.

— Co tu się dzieje, panowie? — przemówił drżącym głosem. Zdumionym wzrokiem wodził po twarzach zebranych. Wtem zauważył dokument, który trzymał w ręku.

— Co... co to? Czy ja to czytałem? — wymamrotał. — To jest bez sensu...

Oczywistym było, że król Ferdrugo nie poznaje proklamacji, którą właśnie przeczytał. Thoth-Amon, zajęty zmaganiem z Villagrem i nagłym pojawieniem się Conana, stracił kontrolę nad wolą monarchy. Jego cała moc skoncentrowała się ponownie na osobie księcia.

Gdy Thoth-Amon zwrócił się na moment w stronę Conana, Villagro uderzył tyśiąckroć wzmocnioną wolą w groźną postać Stygijczyka. Ten zachwiał się pod ciosem, prawie upadł, chwytając jedną ręką za poręcz tronu, by utrzymać równowagę. Królewska korona Zingary, za mała na jego głowę, zsunęła się z czoła i spadła z brzękiem na kamienny podest.

Jeszcze raz zebrał siły. Z hipnotycznym blaskiem w oczach posłał w stronę Villagra zabójczy cios swej woli.

— Oddaj Koronę, głupcze! — warknął Thoth-Amon.

— Nigdy! — zawył Villagro.

Książę poczuł, jak rosną siły zmagające się z nim. Czuł za plecami siłę umysłu Menkary, który pospieszył z pomocą swemu mistrzowi. Villagra znów ogarnęła słabość, a jego moc zaczęła się kruszyć.

Oczy wszystkich jeszcze raz powędrowały w miejsce, w którym stał Conan ze swymi korsarzami. Atmosfera była napięta i pełna nerwowego oczekiwania. Była to właśnie jedna z owych chwil, gdy losy narodów ważą się na ostrzu miecza; gdy jedno słowo, spojrzenie czy gest przeważać mogą szalę i zburzyć całe imperia.

W tym momencie rozbrzmiały słowa. U boku Conana pojawiła się młoda, zgrabna dziewczyna o lśniącej oliwkowej skórze, błyszczących ciemnych oczach i jedwabistych kruczoczarnych włosach. Mimo iż zmysłowe ciało okrywał prosty żeglarski ubiór, lordowie Zingary stwierdzili, że osoba ta jest im znana, choć widywali ją w daleko wspanialszych szatach.

— Księżniczka! — wykrztusił jeden z baronów.

— Co? Chabela? — zawtórował stary król, rozglądając się nerwowo dookoła. Wszyscy przekonali się już, że to rzeczywiście ona. Zanim jednak zasypała ją lawina pytań, księżniczka przemówiła sama:

— Dostojni panowie, kapitan Conan mówi prawdę! Ten oto stygijski intrygant o czarnym sercu schwytał mego ojca w swe magiczne sieci. Conan wyzwolił mnie z jego rąk i wróciliśmy razem do Kordafy, by powstrzymać zapędy uzurpatora! Straż, obezwładnić go!

Kapitan straży królewskiej wydał krótki rozkaz i wydobył miecz, aż zazgrzytała stal, po czym postąpił naprzód na czele swego oddziału.

Conan i dziewięciu marynarzy zbiegło w dół po schodach, błyskając ostrzami mieczy w świetle lamp. Chabela została na górze wraz z Ninusem, kapłanem Mitry. Człowieczek upadł na kolana jak obłąkany i wysokim głosem zaintonował modlitwę do boga:



— O Mitro, Panie Światłości! Wspomóż nas w walce z nieczystą mocą Seta! Na święte imię Craoshy i Zunrana, władcy nieskończonego czasu, wzywamy cię tą modlitwą! Uderz swym świętym ogniem, by spłonął Stary Wąż i strąć go z wysokości!

Czy Thoth-Amon osłabł od tytanicznego napięcia umysłu, czy też praktyka spowodowała coraz lepsze wykorzystanie Korony Kobry przez Villagra, czy wreszcie Mitra włączył się w całą sprawę, dość, że Stygijczyk pobladł, przygarbił się i osłabł, po czym cofnął się o krok. Villagro otworzył usta do triumfalnego okrzyku.

Zanim jednak ktokolwiek okrzyk ten usłyszał, Thoth-Amon zagrał swą ostatnią kartą. Wyciągnął długi ciemny palec wskazujący w kierunku księcia Kordafy. Wokół palca rozbłysła zielona poświata, która po chwili zmieniła się w smugę szmaragdowego światła. Strumień promieniowania uderzył w głowę Villagra i osadzoną na niej koronę zdobną w diamenty. Klejnoty rozjarzyły się oślepiającym szmaragdowym blaskiem, a złota korona zalśniła czerwienią.

Villagro wydał przesywający krzyk, zatoczył się i chwycił za głowę, jakby próbował zderzyć z niej koronę. Jego farbowane na czarno włosy stanęły w płomieniach, wydzielając kłęby ciemnego dymu.

Za chwilę komnatę wypełniło oślepiające błękitne światło pioruna, który uderzył na zewnątrz, przydając wysokim oknom wściekłego blasku. Jedna z szyb pękła z brzękiem. Do środka zaczęła wlewać się wąska struga deszczu. Niektórym z zebranych, na wpół oślepionych błyskawicą i całkowicie ogłuszonych potwornym grzmotem, który po niej nastąpił, wydało się, że świetlna macka wpadła przez rozbite okno do sali, by spaść jak kosmiczny bicz na zdruzgotanego księcia Kordafy.

Villagro upadł twarzą na posadzkę, a Korona Kobry potoczyła się po marmurze. Włosy księcia były doszczętnie wypalone, a skóra na głowie w miejscu, gdzie dotykała jej Korona, spieczona została na węgiel.

Tak skończyły się ambitne marzenia księcia Villagro, któremu nie wystarczyła piastowana godność i — który tęskniąc za królewską koroną — zginął przez swą wygórowaną ambicję.

## ROZDZIAŁ XX

# CZERWONA KREW I ZIMNA STAL

Ta przerażająca scena zmroziła na moment wszystkich obecnych na sali. Pierwszy otrząsnął się Thoth-Amon. — Menkara! Zarono! — wrzasnął. — Do mnie!

Gdy kapłan Seta i korsarz z obnażonym rapierem w dłoni byli już przy nim, stygijski czarnoksiężnik rzekł:

— Zbierzcie waszych ludzi i stronników Villagra! Uderzcie szybko i zdecydowanie. Jeśli tego nie zrobicie, zapłacicie głowami! Skoro Conan stanął po stronie króla, nie możecie już pogodzić się ze starym reżimem!

— A gdzie twoje zaklęcia? — warknął Zarono. — Dlaczego nie zmieciesz wrogów jednym ruchem ręki?

— Zrobię, co będę mógł, ale moc czarów też jest ograniczona. Do broni!

— Masz rację — odrzekł Zarono odwracając się na pięcie. — Kamraci! — krzyknął. — Villagro nie żyje, ale żyje książę Stygii! Jeśli dzięki naszym mieczom zasiądzie na tronie, wszyscy będziemy lordami! Do mnie!

— Wszyscy lojalni Zingaranie do mnie! — ryknął Conan. — Do boju za króla i księżniczkę! Uchrońcie Zingarę przed rządami diabła z piekieł Stygii!

Przez chwilę trwało zamieszanie, gdy przeciwne strony zbierały się przy swych przywódcach. Większość zwolenników

Villagra ruszyła w stronę Zarony, podczas gdy przeważająca część szlachty i oficjeli skupiła się wokół Conana i jego marynarzy. Niektórzy, niezdecydowani lub po prostu bojaźliwi, chyłkiem wymknęli się z sali.

Już na pierwszy rzut oka widać było, że ludzie skupieni wokół Zarony mają przewagę liczebną. Mimo, iż część straży pałacowej dołączyła do Conana, większość zbrojnych, będąc najemnikami Villagra, przyłączyła się do Zarony. Wszyscy ci żołnierze ubrani byli w półzbroje dające im przewagę w bitwie.

— Jest nas więcej! — krzyknął Thoth-Amon z wysokości podium. — Poddajcie się, a pozwolę wam ujść z życiem!

Conan w odpowiedzi głośno i nieprzyzwoicie zasugerował czarownikowi, co powinien zrobić ze swą propozycją.

— Naprzód za Thoth-Amona, króla Zingary! — wrzasnął Zarono, nacierając na najbliższego człowieka z partii Conana.

Dał się słyszeć szcęk mieczy. W bitewnym zamieszaniu obie grupy przemieszały się. Wciąż rozbrzmiewał zgrzyt żelaza o żelazo. Sala tętniła walką i bojowymi okrzykami zmagających się mężczyzn. Miecz uderzał o miecz, hełm, pancerz i tarczę. Tu i ówdzie padał zboczony krwią wojownik. Z ran wypływały purpurowe strumienie i słychać było jęczących w agonii śmiertelnie rannych.

Conan uśmiechnął się z zadowoleniem, błyskając białymi zębami na tle ciemnej twarzy o ostrych rysach. Czas słów skończył się. Mimo że minione lata nauczyły go rozwagi i odpowiedzialności, pod powłoką dojrzałości wciąż krył się ponury barbarzyńca przedkładający nade wszystko zażartą walkę, a ta zapowiadała się na najciekawszą od dobrych kilku miesięcy.

Zeskoczył ze schodów i ruszył na pierwszego z brzegu

poplecznika Zarena, obalając go, a następnie depreczając po nim, aż nieszczęśnikowi pękł kręgosłup. Lądując jak kot na cztery łapy, Conan kopnął następnego w brzuch i wbił miecz między żebra mężczyzny, który usiłował przyjść z pomocą koledze w tarapatach.

Cymeryjczyk rzucił się znów w wir walki ze zwinnością atakującej pantery, tnąc przeciwników jak dojrzałą pszenicę. Górował nad nimi wzrostem, zwłaszcza, że Zingarianie nie są z natury narodem ludzi wysokich. Lekkie miecze, którymi usiłowali parować potężne uderzenia Conana, pękały, a ludzie padali przed nim z odrąbaną głową lub ramieniem. Za nim szaleli jego korsarze wywijając mieczami.

Większość Zingaran po obu stronach była biegła w szermierce; byli oni bowiem potomkami ludzi, którzy podnieśli tę umiejętność do rangi sztuki. Mimo że Conan urodzony był i wychowany jako barbarzyńca, to jednak walka wypełniała mu całe życie, a sztukę władania mieczem poznawał z zaangażowaniem konesera. Spędzając zimę w Kordafie poświęcił swój czas na doskonalenie sztuki fechtunku, ucząc się od samego mistrza Valeria, którego akademia szermiercza miała opinię najlepszej również w sąsiednich krajach.

Tak więc nieszczęsnych młodych zwolenników Villagra spotykała przykra niespodzianka, gdy atakowali Conana, spodziewając się zmylić jego obronę i nadziać go na ostrze miecza z łatwością równą nabiciu jabłka na sztylet. Mimo swego wzrostu i ciężaru broni, bez trudu parował ich cięcia. Na nic zdawały się najbardziej przemyślnie ze znanych im ciosów; Conan rozciągał ich na posadzce jednego po drugim martwych lub z ciężkimi, obficie krwawiącymi ranami. Młodzi arystokraci pierzchali w przerażeniu przed owym zdumiewającym

gigantem, który bił się jak tygrys skrzyżowany z szalejącym tornadem.

Nagle wysoka, szczupła postać w szacie z czarnego aksamitu przedarła się przez tłum walczących i Czarny Zarono stanął przed Conanem. Kilka drobnych skaleczeń na ciele Cymeryjczyka krwawiło, lecz trzymał swój miecz lekko jak zawsze.

Zarono nie był tchórzem, lecz twardym, bezwzględny wojownikiem. Był szubrawcem, lecz nikt nie kwestionował jego odwagi i dzielności. Nie brakowało mu też sprytu i umiejętności korzystania z nadarzających się okazji. Gdyby pomyślał racjonalnie, starałby się pewnie uniknąć bezpośredniego spotkania z Conanem. Przepęniała go jednak bezbrzeżna nienawiść do korsarza, który już kilka razy wszedł mu w drogę i którego uporczywie obwiniał o upadek Villagra i jego — Zaron — trudną sytuację, w której właśnie się znalazł. Płonął żądzą zemsty od czasu owej burdy w „Dziewięciu Nagich Mieczach”, gdy pięść Conana omal nie zmiotła mu głowy z karku.

Zarono nie miał złudzeń co do nagrody, jakiej mógł spodziewać się od Thoth-Amona, gdyby udało się Stygijczykowi objąć tron Zingary. Wszystkie kluczowe stanowiska byłyby bez wątpienia zarezerwowane dla kapłanów Seta. Mógł jednak chyba liczyć na posadę, która pozwoliłaby mu zarobić na życie. Gdyby zaś zwyciężyli zwolennicy starej dynastii, czekałby go tylko topór i szafot.

Rapier Zaron, cięższy niż większość mieczy jego ludzi, zazgrzytał na ostrzu broni Conana. Cymeryjczyk sparował cios, zamarkował uderzenie i wymierzył straszliwe cięcie w głowę Zaron. Zaron wykonał jednak unik, a estrze ze świstem przeszło powietrze.

Wokół nich wrzała walka. Padało coraz więcej ludzi, aż

komnata przypominać zaczęła jatkę. Znaczenia zaczęła nabierać liczebność zwolenników Zarona. Lojalistów rozbito na dwie grupy. Jedną wyparto w kierunku schodów, druga broniła się w kącie sali wraz z chwiejącym się na nogach starym królem.

Conan i Zarono wciąż walczyli. Zarono zaczął zdawać sobie sprawę, że żądza walki z osobistym wrogiem wpędziła go w trudną sytuację. O ile bowiem jego szermiercze umiejętności dorównywały umiejętnościom Conana, o tyle nie dysponował tak wielką siłą, zręcznością i wytrzymałością. Zaczęły powoli opuszczać go siły, jednak gniew i zawziętość kazały mu walczyć dalej. Chciał zabić wielkiego barbarzyńcę lub zginąć próbując tego dokonać.

Tymczasem Thoth-Amon, jak zwykle niewzruszony, zszedł z podium. Omijając walczących szedł spokojnie przez zalaną krwią i zasypaną trupami posadzkę, w kierunku leżącej opodal, nie zauważonej przez nikogo Korony Kobry. Wielokrotnie znajdował się w zasięgu ludzi Conana, lecz żaden z nich nie próbował nawet go zaatakować. Wydawało się, że jest dla nich niewidzialny.

W rzeczywistości widzieli go doskonale, jednak moc umysłu czarownika pozbawiła ich wszelkiej chęci podejmowania jakichkolwiek wrogich działań przeciw niemu. Był tak zajęty psychiczną ochroną swej osoby, że nie był już w stanie kontrolować umysłów przywódców przeciwnej partii. Nie mógł też bez magicznej aparatury i niezbędnego spokoju i samotności posłużyć się bardziej skomplikowanymi czarami. Wykorzystawszy zielony promień, mógł użyć go ponownie dopiero za kilka godzin.

Thoth-Amon minął obojętnie leżące ciało Menkary, zakłutego przypadkową ręką. Wielki Stygijczyk pochylił się i podniósł Koronę. Wciąż jeszcze była gorąca, lecz po Thoth-Amonie nie

było widać żadnych oznak bólu. Obejrzał ją pobieżnie ze wszystkich stron, po czym z gardłowym przekleństwem odrzucił na bok, tak jak odrzuca się bezużyteczne świecidełka.

W tym momencie dał się słyszeć nowy hałas dobiegający z góry. To pozostała część załogi Conana, z Sigurdem i Zeltranem na czele, zbiegła w dół po schodach wymachując dzidami i mieczami. Gdy Conan wyruszył z Ninusem do pałacu, wysłał równocześnie na statek Sigurda z instrukcjami otrzymanymi od Ninusa, które umożliwiały pozostałym marynarzom z „Łobuza” przedostanie się do pałacu tajemnym przejściem. Posiłki te natychmiast zmieniły oblicze walki. Przyparciu do schodów lojaliści przeszli do kontrataku. Szyki grupy stygijskiej załamały się pod uderzeniem. Conan i Zaron, uniesieni wirem walki, stracili ze sobą kontakt.

Zaron nie dawał za wygraną i starał się utorować sobie łokciami drogę do przeciwnika. Gdy wydostał się już z ciżby, poczuł nagle potężny uścisk na uzbrojonej w miecz prawicy. Próbując się wyswobodzić dostrzegł, że chwycił go Thoth-Amon.

— Dość już strat — huknął Stygijczyk, starając się przekrzyczeć zgiełk. — Korona zniszczona, spalona!

— Puść mnie! — krzyknął gniewnie Zaron. — Mamy wciąż szansę, a ja jeszcze zabiję tego wieprza!

— Bogowie zdecydowali, że Conan tym razem wygra.

— Skąd wiesz?

Thoth-Amon wzruszył ramionami.

— Wiem wiele. Ja idę, a ty możesz iść ze mną lub zostać; zrobisz jak zechcesz.

Stygijczyk odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi. Zaron ociągając się pospieszył za nim.

— Stać! — zagrzemiał głos Conana. — Nie ujdziecie mi tak



łatwo, psy!

Przeciskając się przez gąszcz walczących, rzucił się za oddalającą się dwójką wywijając zakrwawionym mieczem. Thoth-Amon uniósł gniewnie brwi.

— Zaczynasz mnie męczyć, barbarzyńco.

Stygijczyk wyciągnął środkowy palec lewej ręki, na którym tkwił masywny miedziany pierścień w kształcie węża połykającego własny ogon i skierował go w stronę arrasu zawieszzonego między dwoma wąskimi oknami.

— N'ghokh-ghaa nafayak ftbangug! Vgoh nyekh! Wydawało się, że arras ożył. Zaczął marszczyć się i falować, po czym oderwał się z trzaskiem od ściany i jak olbrzymi nietoperz runął w dół na walczących. Spadł wprost na głowę Conana, owijając go swymi fałdami.

— Pospiesz się teraz, jeśli nie chcesz zostać skrócony o głowę — rzekł Thoth-Amon do Zarona.

W chwilę później, gdy Conan z trudem usiłował wydostać się spod arrasu, Thoth-Amon i Zarono zniknęli, a ich poplecznicy gremialnie poddawali się rzucając broń.

Conan z mieczem w dłoni rzucił się przez przedsionek do wyjścia. Tam jednak usłyszał już tylko cichnący tupot stóp uciekinierów.

Rześki poranny wiatr wiał silnie, niosąc ze sobą cząsteczki soli. Naprężone żagle unosiły „Łobuza” z portu w Kordafie w stronę otwartego morza.

Na nadbudówce, świeżo ostrzyżony, ogolony i odziany w nowy strój — od kapelusza z piórami po błyszczące żeglarskie buty — Conan wciągał w płuca powietrze z głośnym westchnieniem zadowolenia. Dość już tych cuchnących zakłéc i walki z cieniami pozbawionymi ciała. Solidny statek, grupa dzielnych

rzezimieszków, miecz u boku i skarb do odnalezienia wystarczały mu za wszystkie radości tego świata.

— Na sutki Ishtar i przyrodzenie Nergala, przyjacielu, według mnie jesteś skończonym głupcem — mruknął Vanir Sigurd.

— Dlaczego? Bo nie dałem się poślubić Chabeli? — uśmiechnął się Conan.

Rudobrody człowiek z Północy skinął głową.

— Właśnie. To miła, krągła i hoża dziewczka, która powiła by ci silnych synów; a i berło Zingary samo pcha ci się w ręce. Naturalnie po tych wszystkich przeżyciach stary król Ferdrugo już długo nie pożyje, a wtedy dziewczyna odziedziczy koronę, królestwo i całą resztę!

— Dziękuję, nie chcę być królewskim małżonkiem — mruknął Conan. — Próbowałem już tego w Gamburu, nie mając zresztą żadnego w tej sprawie wyboru. Nzinga zaś była ponętną, dobrze zbudowaną dziewczką, a nie głupiutkim, romantycznym dzieciakiem o połowę młodszym ode mnie. Poza tym Ferdrugo może żyć dłużej niż ci się wydaje. Gdy jego umysł nie jest już opętany stygijskimi czarami, wygląda jakby miał dziesięć lat mniej i załatwia wszystkie sprawy w iście królewski sposób. Oczywiście na samym początku unieważnił tę idiotyczną proklamację o abdykacji i ślubie Chabeli z Thoth-Amonem.

Co do Chabeli — no cóż... lubię ją, a nawet kocham po ojcowsku. Między nami mówiąc, przyznam ci się, że może nawet przyjąłbym jej ofertę, gdybym nie zapoznał się z tym, co czekałoby mnie w takim przypadku.

— Jak to?

— Ano było to już po bitwie, gdy leczyłem skaleczenia. Jadałem obiady z królem i jego córką, a Chabela wciąż opowiadała mi o swoich planach przerobienia mnie na innego człowieka. Moja

mowa, mój ubiór, maniery przy stole, upodobania — wszystko to miało być zmienione. Miałem zostać idealnym zingarańskim dżentelmenem machającym przed nosem wyperfumowaną chustką podczas występów królewskiej trupy baletowej.

Może nie jestem tak mądry jak Godrigo, ulubiony filozof króla, ale wiem, co lubię. Nie, Sigurdzie, sam zdobędę sobie kiedyś tron, jeśli Crom pozwoli; wolałbym jednak zdobyć go mieczem, niż otrzymać w prezencie ślubnym.

W ogóle Ferdrugo był aż nieprzyzwoicie hojny. Dał mi Koronę Kobry, którą zastawiłem u złotnika Julia; stąd właśnie to nowe ożaglowanie i nowy sprzęt dla chłopców — Conan zachichotał. — Jak widzisz, nie mam jeszcze czterdziestki, a już zostałem drobnym ciułaczem. Lepiej zajmę się uczciwym korsarskim rzemiosłem, bo wkrótce może być za późno i zamienię się w brzuchatego skąpca.

Ratowanie królestw to nie jest dobre zajęcie dla porządnych zabijaków jak my, a z pewnością napotkamy masę tłustych kupców płynących z Argos i Shemu. Nie dręcz się już moim odrzuceniem oferty nawiedzanej dziewczki; pomyślmy lepiej o interesach. Chodź, przejrzymy kilka map w mojej kajucie. — Po czym podniesionym głosem dodał:

— Mistrzu Zeltran! Pozwól do nas do kajuty, jeśli łaska!

Conan odszedł. Rudobrody Vanir patrzył za nim przez moment z rozdziawionymi ustami. Potem wzruszył ramionami w geście rezygnacji i ruszył za kapitanem.

— Na zieloną brodę Llyra i młot Thora — zamruczał — Cymeryjczyka nigdy nie przekonasz!

Żagle trzeszczały, dziób z jękiem pruć fale, a mewy krzyczały piskliwie, gdy „Łobuz” unosił Conana na południe, ku nowym przygodom.